

The image shows a dark, abandoned underground space, possibly a bunker or a tunnel. The floor is covered in debris and has several circular pits or depressions. The walls are made of concrete and show signs of wear and damage. The lighting is dim, creating a somber and mysterious atmosphere. The text is overlaid on a dark horizontal band at the top of the image.

# RAFAŁ DEBSKI LABIRYNT VON BRAUNA



**Rafał Dębski**

**Labirynt von Brauna**

# Labirynt von Brauna

Copyright © by Rafał Dębski

Copyright © for the cover illustration Łukasz Ciesielski, used under the Creative Commons Attribution-Share-Alike license

Redakcja i korekta: Paweł Dembowski

Projekt graficzny okładki: Mariusz Cieśla

Ilustracja na okładce: Wnętrze jednego z budynków kombinatu DAG Alfred Nobel w Krzystkowicach (obecnie Nowogród Bobrzański)

Wszelkie prawa zastrzeżone

All rights reserved

ISBN 978-83-936840-7-6

Wydawca: Code Red Tomasz Stachewicz

ul. Sosnkowskiego 17 m. 39

02-495 Warszawa

<http://www.bookrage.org>

## Prolog

Człowiek w pokrytym pyłem mundurze otarł spoconą twarz. Brudna dłoń pozostawiła na skórze długie, ciemne smugi. Dawniej, a tak naprawdę jeszcze całkiem niedawno, jego wojskowy uniform prezentował się o wiele lepiej. Wyczyszczony, w kolorze feldgrau, wyprasowany i wymuskany, z odznaczeniami, po których pozostały obecnie tylko niewielkie otwory. Był dumą właściciela. Dzisiaj przypominał zmiętą szmatę, którą ktoś wytarł brudy z ulic całego miasta. Człowiek oparł się na szpadlu, patrząc ponuro na oświetlone niepewnym płomieniem karbidówki śmieci pod nogami. Papiery przemieszane z cegłami i odłamkami wapienia.

— Panie Obersturmführer — zwrócił się do stojącego obok oficera — tu mamy kopać?

— Tutaj, Heinz — potwierdził zapytany. Miał aksamitny, starannie modulowany głos. Heinz pomyślał, że ten miły głosik potrafi na pewno wrzasnąć, znienacka zamieniając się w przykry skrzek. Oficerowie SS mieli to opanowane do perfekcji. — Róbcie swoje, a ja zajmę się planem.

Usiadł pod ścianą w niewygodnej pozycji. Feldfebel wzruszył ramionami. W takim miejscu trudno zająć wygodną pozycję — w podziemnym korytarzu, gdzie ściany zbiegają się w niskie sklepienie, wszystko jest krzywe i jakieś mało przyjazne. Ale i tak zazdrościł przełożonemu. Hrabia Wilhelm de Berg, esesowski prominent, przyświecając sobie latarką, będzie teraz nanosił poprawki na dokumenty, zaznaczał jakieś tajemnicze miejsca, a zwykli żołnierze mają się zająć czarną, niewdzięczną robotą. Toż tutaj trzeba się przebić przez solidną ceglaną nawierzchnię, żeby dotrzeć do miększej ziemi!

— Szlag by ich, tych naszych inżynierków — warknął od swojego kilofa Johann. — To stary korytarz. Pewnie sobie doskonale radził bez ich pomocy. Ale nie, musieli wyłożyć wszystko nowymi cegłami!

— Pewnie żeby się nie kurzyło — dorzucił trzeci.

— Co chcesz, Georg, nie przewidywali takiego końca wojny. Tysiącletnia Rzesza...

— Zamknijcie się — Obersturmführer podniósł wzrok znad

papierów — i do roboty! Za trzy godziny wszystko ma być gotowe! Skrzynie są już w drodze. Jeśli złapiemy opóźnienie, soweci nas tu zastaną. Hołota z Wehrmachtu — dodał pod nosem — na dyskusje im się zbiera.

Żołnierze zamilkli, spoglądając spode łba na dowódcę. A potem posłusznie wzięli się do rozbijania podłogi. Wilhelm de Berg od czasu do czasu sprawdzał postępy, marszcząc niechętnie brwi.

— Marna coś ta podłoga — rzekł po kilku minutach Heinz. — Kilof wchodzi jak w masło.

— Bo to najgorszy sort! — Georg, w cywilu murarz, wziął odłamek cegły, pociągnął szorstką powierzchnią po wnętrzu dłoni. — Żle wypalone, z marnej gliny. A i na spoiwo pożałowali materiału.

— Cisza! — tym razem de Berg podniósł głos. — Gadać będziecie potem! Kopać!

Heinz zmiął przekleństwo. Tylko wpojone wieloletnią służbą nawyki posłuszeństwa sprawiły, że nie rzucił jakiegoś zgryźliwego słowa. To i ostrzegawcze spojrzenie Johanna. Obersturmführer de Berg to znana kanalia. Potrafi postawić przed sądem wojennym za mniej poważne przewinienia niż niesubordynacja. Podobno nie zawaha się strzelić w głowę nieposłusznemu żołnierzowi. Przekłęty arystokrata! Podobno, zanim przyszedł dowodzić kompanią, był szefem obozu koncentracyjnego w Gross Rosen. Ale czy to prawda? Co zresztą za różnica. Najważniejsze, że gnojek z niego czystej wody! A jeszcze rok temu, gdyby taki esesman przyszedł do ich dowódcy, ten w życiu nie oddałby swoich ludzi do roboty, o której nie raczono go poinformować! Wehrmacht od początku nie lubił się z SS. Wprawdzie ludzie z trupią czaszką na czapkach zawsze mieli wyższą pozycję od zwykłych żołnierzy i oficerów, ale generałowie obawiali się niezadowolenia w szeregach, więc stawiali opór roszczeniom esesowskich przywódców. Teraz, pod sam koniec wojny, to policyjna formacja zyskała przewagę... przynajmniej tutaj, na terenie Rzeszy, gdzie jeszcze nie zaczęły się działania frontowe.

Wściekle zaatakował kilofem ceglana nawierzchnię. Ukazała się wreszcie czarna ziemia. Georg odsunął go, wziął garść, powąchał.

— Pachnie zupełnie inaczej niż ta na polu, z odwalonej pługiem skiby. Jakoś dziwnie. Obco. Jakby kto prochu w nią nasypał.

Zatęsknił nagle za rodzinną wsią, za domem i matką. Która może być godzina? Zerknął na zegarek. Druga w nocy... Tam pewnie wszyscy śpią. Ale niebawem zaczną ryczeć krowy, dopominając się o wydojenie, mateczka wstanie i zanim pójdzie do obory, jak zawsze przeżegna się przed krzyżem, stojącym pod świętym obrazem naprzeciw łóżka.

— Róbcie swoje! — rozmyślenia przerwał ostry głos dowódcy — nie jesteście w kawiarni! Znów przystąpili do kopania. Teraz już poszło szybciej. Heinz pracował łopatą, mając nieprzyjemne wrażenie, jakby kopał własny grób. Zresztą otoczenie sprzyjało takim skojarzeniom. Znajdowali się w samym środku podziemi, u zbiegu korytarzy. Było ich pięć, każdy prowadził w inny rejon miasta. Łączyły podobno miejscowy zamek i ratusz z innymi ważnymi miejscami. Podobno, bo trudno się było zorientować, gdzie są po długiej podróży krętymi przejściami. Esesman podejrzewał, że de Berg celowo ich tak prowadził, by stracili orientację.

Pracowali w pocie czoła, nie rozmawiając już, bo szkoda było sił, kaszląc co trochę, kiedy wapienny pył podnosił się, poruszony padającymi grudami ziemi, żeby osiąść w płucach drażniącymi drobinkami.

— Panie Obersturmführer — Georg wylazł z głębokiego już na przeszło półtora metra dołu — może już wystarczy?

De Berg zajrzał.

— Jeszcze przynajmniej metr — odparł sucho. — I pośpieszcie się. Zostało niewiele czasu.

Zmordowani i złani potem, znów wzięli się za łopaty. Ale nie szło już pracować we trzech. Dół był zbyt głęboki, przeszkadzali sobie nawzajem, narzędzia obijały się o ściany. Zmieniali się więc co pięć minut. Dowódca spoglądał krzywo, ale nie odzywał się. Najważniejsze, żeby zdążyli.

— Co tu ma być? — odważył się zapytać odpoczywający właśnie Johann.

— Jak to co? — De Berg wzruszył ramionami. — Przywiozą nam skrzynię zawierającą ważne dokumenty.

— A może złoto? — uśmiechnął się krzywo Johann.

— Na pewno nie złoto — potrząsnął głową Obersturmführer. — Ale może coś jeszcze cenniejszego?

Szeregowiec zastanowił się nagle, dlaczego nieprzystępny oficer stał się nagle dziwnie rozmowny. Może i jemu już dojadło zalegające od

dobrych dwóch godzin milczenie?

— A co może być cenniejszego? — postanowił skorzystać z okazji i pociągnąć przełożonego za język.

— Może ważne dokumenty, żołnierzu? Archiwa, które nie mogą wpaść w ręce wroga.

— Nie lepiej to po prostu zniszczyć? Odpowiedziało mu przenikliwe spojrzenie.

— Nie mnie decydować, co ma się stać z takimi papierami — rzekł groźnie. — Tym bardziej wam.

— Dobrze już, dobrze — wycofał się Johann. Z takimi jak ten nigdy nie wiadomo, kiedy strzelą człowieka w pysk, chociaż niby miło rozmawiają. — Moja kolej kopać.

— A może i złoto — rzucił za nim oficer. — Co jest w skrzyniach to tajemnica. A jeszcze większa, że w ogóle one istnieją.

\*

Wreszcie de Berg był zadowolony. Dół osiągnął głębokość, jakiej oczekiwał. I to w sam czas. Gdzieś z bocznego korytarza dobiegł bowiem zgrzyt i głosy. Po kilku minutach wtoczył się wózek. Dwaj esesmani zatrzymali go tuż przed wałem ziemi, okalającym dół. Na widok oficera stanęli wyprężeni, wyrzucili przed siebie prawe dłonie. Obersturmführer odpowiedział niedbałym machnięciem.

— Wszyscy pochodzicie z tych terenów — zwrócił się do zmęczonych pracą esesmanów. — Wszyscy znacie polski. Który najlepiej?

— Chyba ja — odezwał się Heinz. Przed wojną mieszkał blisko granicy, prowadził ożywioną działalność handlową. A poza tym w tym regionie żywioł polski był bardzo silny. Chyba każdy Niemiec miał możliwość przyswoić język, tylko nie wszystkim się chciało.

— Doskonale.

De Berg wyjął pistolet. Szybki ruch dłonią, szcęk zamka, a zaraz potem wystrzał. Johann padł z przestreloną głową. Nie zdążył się nawet zdziwić. Georg, na widok otworu lufy kierującej się w jego stronę, padł na kolana.

— Za co? — jęknął. — Przecież nic nie zrobiłem!

— Za nic — w głosie oficera zabrzmiała stal. — Dla dobra i odrodzenia trzeciej Rzeszy!

Żołnierz chciał jeszcze coś powiedzieć, przedłużyć choć kilka chwil życia, ale bezlitosna kula wwierciała się w czaszkę, przerywając korowód obłądnych myśli. Heinz zasłonił się odruchowo ręką, jakby to mogło powstrzymać egzekucję. Przymknął oczy i czekał. Nie ma sensu błagać o litość. W SS takie pojęcie nie było znane. Został na nich wydany wyrok. Nieważne czy są winni. Zresztą, czy w czasie wojny można mówić o niewinnych? Przed oczami stanęła mu białoruska wioska. Wielka kołchozowa stodoła płonęła wesołym, jasnym ogniem. Ze środka dobiegało wycie i złorzeczenia. Między palącymi się domami biegały przerażone dzieciaki, a żołnierze bawili się łapiąc je i wrzucając w płomień. Sam włókł kilkuletniego chłopczyka. W ostatniej chwili ruszyło go sumienie, przypomniał sobie swojego słodkiego Karla. Jednak było za późno. Chciał puścić malca, ale wtedy chwycił go któryś z towarzyszy broni i cisnął do ognia. Śniło mu się to potem po nocach, utkwiało w pamięci, choć przecież potem widział o wiele gorsze rzeczy.

Czekał, ale nie słyszał strzału. Czy można usłyszeć nadlatującą kulę? Ta myśl przemknęła przez głowę jak błyskawica. A może już nie żyje, ale jeszcze to do niego nie dotarło?

— No, już — usłyszał. — Opuść rękę i otwórz oczy.

Niepewnie rozchylił powieki. Przybyli esesmani szczyrzyli zęby, na ustach de Berga też błąkał się blady uśmiech.

— Ty jesteś nam potrzebny, Heinz. Dlatego przeżyjesz.

— Ale dlaczego? — szepnął pobladłymi wargami. — Czemu pan ich zabił?

— Dla bezpieczeństwa i zachowania tajemnicy. O takim miejscu nie może wiedzieć zbyt wielu ludzi. A teraz do dzieła.

\*

Heinz zrozumiał dopiero teraz, dlaczego dół był tak głęboki. Żeby zmieściła się nie tylko skrzynia, ale i ciała. Najpierw wrzucili do dołu Johanna i Georga, przysypali ich grubą warstwą ziemi, a potem dopiero poszła tam skrzynia. Pracował wraz z podoficerami, machał gorliwie łopatą, zabezpieczał skrzynię, żeby wreszcie na wierzchu położyć cegły i zapuścić zaprawę. Materiały zostały zgromadzone w korytarzu z prawej strony, była tam nawet woda. Ktoś dobrze obliczył, ile tego będzie trzeba, bo nie zostało prawie nic. Jeszcze tylko trzeba coś zrobić z pozostałą ziemią. Załadowali ją na wózek i pociągnęli z wysiłkiem. Trzeba było



kilka razy przystawać, żeby de Berg zaznaczył coś na swoich planach. Heinz przez cały czas czuł mrowienie w krzyżu. Obawiał się, że w każdej chwili może jeszcze podzielić los zastrzelonych. Może potrzebowali go tylko po to, żeby dokończyć roboty i ciągnąć wózek? A przed samym wyjściem czeka śmierć? Ciężko myśleć o niej, jeśli bardzo niedawno przeszła obok, nie zawadziwszy ostrą, wielką kosą.

— Rozsypcie ziemię tutaj — rozkazał Obersturmführer. — I rozgarnijcie dokładnie. Nie będziemy jej taszczyć na linach razem z wózkiem. Heinz ze mną, a wy tutaj załóżcie sznury. Podeprzecie to gówno od dołu, ile będziecie mogli.

Wyszli na górę po skrzypiącej drabinie. Po chwili nad otworem pojawiła się czarna od ziemi ręka, podając końcówki liny. Tym razem sam de Berg musiał wziąć się do pracy. Podciągali ciężki wózek, słyszeli stękanie esesmanów na dole. Potem na chwilę ciężar zwiększył się, bo tamci nie sięgali wyżej, nawet stojąc na palcach. Zdawało się, że esesman z feldfeblem nie utrzymają sznurów, ale już pokazała się rama z poprzeczką. Heinz natychmiast uwolnił jedną rękę, chwycił drewno, zaparł się i zaczął ciągnąć. Natychmiast dołączył do niego oficer. Któryś z ludzi na dole poszedł po rozum do głowy, podparł wózek drabiną, podepchnął. Pojazd wyskoczył na powierzchnię nagle, mało nie przejeżdżając Heinzowi po stopach.

Żołnierz rozejrzał się dopiero teraz. Stali opodal zamku, wśród krzewów, obok starej baszty. To i tutaj jest wyjście z podziemi? Zdumiał się. Przecież wiele razy tu bywał, w dzieciństwie bawił się w tym miejscu. A podobno dzieci potrafią wszystko odkryć... Z dala dolatywał odgłos kanonady, głośniejszy niż jeszcze wczoraj.

— Zbliżają się, łajdaki — mruknął de Berg. — Ale my tu jeszcze wrócimy. Odzyskamy nasz Vaterland.

Tymczasem podoficerowie wyszli na powierzchnię.

— Trzeba to zamaskować — powiedział dowódca.

Ułożyli na otworze deski, przysypali je ziemią.

— Niebawem ktoś przyjdzie dokończyć robotę — De Berg otrząpał mundur. — A teraz...

Dwa suche strzały, dwie strugi krwi i głuchy odgłos padających ciał. Obaj esesmani leżeli na ziemi, jeden na drugim, a z lufy lugera ulatywała strużka dymu.

— Nie patrz tak! — warknął Obersturmführer. — Pomóż!

Załadowali ciała na wózek.

— A ja? — spytał Heinz. Było mu już wszystko jedno.

— Co ty?

— Kiedy mnie pan zastrzelili?

De Berg roześmiał się. Co ta wojna robi z ludźmi, pomyślał feldfebel. Przed chwilą ten oficer zabił dwóch Niemców, jeszcze przedtem bez zmruczenia okiem wykończył też dwóch. W normalnych czasach pewnie by wymiotował dwa dni. Ale on się śmieje. A ty, Heizu? — natychmiast przeleciało przez głowę — ty też nie myślisz o ofiarach. Bardziej jesteś ciekawy niż oburzony.

— Ciebie nie mam zamiaru zastrzelić — de Berg klepnął go w ramię.  
— Jesteś teraz potrzebny tutaj bardziej niż ja.

— Nie rozumiem.

— Nie ma co rozumieć. Zostaniesz na straży. Nie ewakuujesz się.

— Ale...

— Nie ma żadnego „ale”, mój drogi. Od dzisiaj, a właściwie od pojutra, bo wtedy tu dotrą komuniści, masz na imię nie Heinz, ale, powiedzmy, Henryk. Nazwisko sobie sam wymyśl, byle szybko, bo muszę ci wyrobić dokumenty. Niemiec polskiego pochodzenia, byłeś prześladowany przez hitlerowców. To wyjaśni akcent. Wiele nie będziesz musiał na pewno tłumaczyć, bo to właśnie sowieci uwolnią cię z więzienia, z wiszącej celi.

— I co mam potem robić?

— Pilnować, żeby nikt nie znalazł tego, co dzisiaj ukryliśmy w podziemiach. Masz dotrzymać przysięgi, którą składałeś ojczyźnie, narodowi niemieckiemu i führerowi.

— A co właściwie jest w tej skrzyni?

Oficer długo patrzył mu w oczy. Tak długo, że Heinz odwrócił wreszcie wzrok.

— Jeszcze jedno takie pytanie, a będę zmuszony zmienić strażnika, zanim na dobre obejmiesz obowiązki. Wiesz, co to znaczy?

Heinz nie odpowiedział.

— Musi ci wystarczyć świadomość, że poświęcasz się dla naszego kraju. Jaki by po tej wojnie nie był i co byś o nim nie myślał, rób swoje. Za jakiś czas zgłosi się do ciebie ktoś, kto powie co dalej, może dostarczy

nawet trochę pieniędzy.

— A jeśli ktoś mnie kiedyś rozpozna? Nie mieszkałem nigdy tutaj, w Oels, ale zawsze może się zdarzyć...

— Poradzisz sobie! Jesteś żołnierzem, prawdziwym Niemcem! Każdy, kto zagraża Rzeszy zasługuje jedynie na śmierć! A teraz odbiorę od ciebie specjalną przysięgę. Jeśli ją złamiesz, znajdzie cię odpowiedni człowiek. A wtedy będziesz się modlił o szybką śmierć.

Zapadła cisza, przerywana jedynie odgłosami artyleryjskiej kanonady. Ludność w większości już uciekła, przerażona opowieściami, co czeka każdego napotkanego Niemca z rąk czerwonoarmistów.

— To wejście zalejemy betonem. Zbyt łatwo je znaleźć.

— Jak mam pilnować tajemnicy — Heinz już pogodził się z losem. — Przecież nie mam pojęcia o tych tam korytarzach. Toż to istny labirynt.

De Berg wcisnął mu w rękę plik kartek.

— Tutaj masz dokładne plany. Poradzisz sobie. Zamieszkasz w pobliżu jednego z wejść do podziemi.

— To znaczy gdzie?

— To znaczy tam — oficer wskazał oddalony o kilkaset metrów dom. — Nie jesteś głupi, poradzisz sobie. I nie obawiaj się, nie zostawimy cię samego.

Heinz westchnął w duchu. Właśnie tego się obawiał. Że nie dadzą mu spokoju. Kto raz się wplątał w pracę z SS albo Abwehrą, ten nie mógł liczyć na spokojne życie bez niespodzianek. Ale może po wojnie coś się zmieni? Może będzie mógł wszystko cisnąć i żyć po swojemu? Po raz pierwszy pomyślał z prawdziwą ulgą, że militarne awantury Hitlera mają się ku końcowi.

\*

Wernher von Braun przechadzał się nerwowo po pokoju w ekskluzywnym hotelu. Widok za oknem był tak różny od zrujnowanego, upokorzonego Berlina, miasta klęski, jakie zapamiętał z ostatnich dni wojny. Wysokie, potężne domy dumnie pięły się pod niebo, jakby chciały przebić się przez pokryte strzępami obłoków sklepienie.

Zaklął pod nosem. Przeklęci Amerykanie! Nie dość im zwycięstwa, chcą do ostatka wyzyskać jego owoce! A najgorsze, że oczekują od niego ujawnienia wszelkich tajemnic o wszelkich pracach i projektach, w których brał udział. Dzisiaj też... Kroki za drzwiami. Zaraz wejdzie oficer

śledczy. Abraham Willbein. Niski, układny, o ostrych rysach twarzy i czarnych włosach z zakolami na czole. Semicka karnacja skóry, ciemne oczy i wydatny nos. W hitlerowskich Niemczech nie chodziłby po ulicy sekundy dłużej niż czas potrzebny na przyjazd patrolu SS albo Gestapo.

— Witam, panie profesorze — uśmiechnął się w drzwiach porucznik. — Słyszał pan o naszym sukcesie? Bomba atomowa zrzucona na Japonię spełniła nasze najśmielsze oczekiwania.

— Jestem zdumiony i wręcz zszokowany — Von Braun rozłożył ręce. — Według moich obliczeń to niemożliwe!

Oficer wszedł dalej, usiadł na krześle przy stole. Wskazał naukowcowi miejsce po drugiej stronie.

— Według pana obliczeń co powinno się stać?

— Przede wszystkim do budowy bomby atomowej trzeba setek kilogramów, a może nawet ton uranu! A wy zrzuciliście jakieś maleństwo...

— Zgadza się. Ale proszę mówić dalej.

— Po drugie, czy nie obawialiście się, że reakcja łańcuchowa może objąć całą materię na ziemi? Trzeba to było wziąć pod uwagę...

— Owszem, profesor Rutheford podobno mówił coś na ten temat, ale okazało się, że to jakiś błąd w założeniach czy coś podobnego. Nie wiem dokładnie. Ale zagrożenia zagłady świata jednak nie ma. Sam pan zresztą widzi. W niewielkiej skorupie zamknęliśmy energię równą dwudziestu tysiącom ton trotylu. Imponujące.

— I straszne zarazem.

— Straszne — potwierdził porucznik. — Ale i wy chcieliście mieć swoją *Wunderwaffe*, prawda? Wielki sztab ludzi pracował usilnie nad jej zbudowaniem.

— Tylko, że nam nie wyszło.

— Czy aby na pewno? — Willbein zmarszczył brwi — Chcę panu powiedzieć, że przejeżdżaliśmy kilka miesięcy temu niemiecką transportową łódź podwodną z pewnym ładunkiem. A pan wie, jakim.

Von Braun wydał wargi. Starał się nadać twarzy wyraz znudzony i zniechęcony.

— Pojęcia nie mam, poruczniku. To jakieś dyrdymały...

Oficer poderwał się, błyskawicznie obiegł biurko, żeby stanąć twarzą w twarz z przesłuchiwanym.

— Nie wiesz, faszystowski sługusie? — wydyszał — Nie wiesz? Sam byłeś przy załadunku okrętu! Sam nadzorowałeś prace! A teraz nie wiesz? Wysłaliście tę łódź Japończykom, żeby ich rękami dokonać zemsty na aliantach!

Niemiec zagryzł wargi. Niedawno wojak w randze porucznika nie miałby do niego dostępu. A jeśli nawet, słuchałby rozkazów. A dzisiaj ten szczeniak pozwala sobie na podobne ekscesy.

— Powiem ci, co tam było — śledczy uspokoił się, wrócił na miejsce. — Całkiem sporo oprzyrządowania i materiałów do konstrukcji bomby atomowej. Przypuszczamy, że to tylko część materiałów, jakie przekazaliście Japonii. Na szczęście kapitan łodzi okazał się człowiekiem rozsądnym i na wieść o kapitulacji poddał się pierwszej napotkanej jednostce amerykańskiej. Jednak nie to jest najważniejsze, panie Braun.

— Von Braun — poprawił go naukowiec podnosząc dumnie głowę.

— Panie Braun — powtórzył z uporem Willbein. — Tam było jeszcze coś. Coś tak tajnego, że Hauptsturmführer SS biorący udział w rejsie, wysadził się z tym, gdy tylko piechota morska wkroczyła na pokład. Właściwie nie tyle się ten esesman wysadził, co spalił żywcem. Nie wiem, jakiej substancji użył, ale spłonął prawie doszczętnie. Razem z papierami, które przewoził w specjalnym pojemniku. Przypuszczam, że wcale nie miał ochoty ginąć, tylko ktoś przesadził z chemikaliami. Bywa w pośpiechu. A może chodziło o to, żeby ten człowiek nie dostał się w niepowołane ręce. Ciekawa historia?

— Bardzo ciekawa — Von Braun wykrzywił wargi w uśmiechu. — Nie rozumiem jednak, po co mi pan ją opowiedział.

— Doskonale pan rozumie, profesorze — oficer powrócił do uprzejmego tonu z początku rozmowy. — Treść tych dokumentów zapewne była panu doskonale znana.

— Po pierwsze, panie poruczniku — odparł spokojnie Niemiec — na tej łodzi nie mogło być oprzyrządowania do produkcji bomby atomowej. Ktoś pana wprowadził w błąd. Owszem, byłem przy załadunku, ale tylko ze względu na materiał rozszczepialny, jaki wysłaliśmy Japończykom. Nie przeczę. Jednak to nie moja inicjatywa. Rząd cesarski zażyczył sobie części naszych zapasów do celów naukowych. Myślałem, że oni do czegoś doszli w tym względzie. Sam pan wie, że z naszych badań wynikało, iż w najbliższych latach skonstruowanie broni masowego rażenia jest

niemożliwe.

— To się jeszcze okaże. Mamy dużo czasu na rozmowy.

— Teraz po drugie. Co do dokumentów tego esesowca — ciągnął niezrażony von Braun — nie mam nawet mglistego pojęcia, jaka była ich treść. SS nie zwykło się spowiadać ze swoich poczynań.

— Nie wierzę w ani jedno pana słowo.

Wernher von Braun uśmiechnął się uprzejmie.

— A po trzecie — podjął lodowatym tonem — może mi pan wierzyć albo nie. Może pan sobie uważać, że spędzimy jeszcze dużo czasu. Ale mam dla pana przykrą informację. Dziś rano odwiedził mnie pułkownik Gilbert. Tak właśnie — z zadowoleniem obserwował zmiany na twarzy rozmówcy. — Pułkownik Gilbert, szef wiadomej panu komórki wywiadu wojskowego. Obiecał mi, że za tydzień, najdalej dwa zostaną skierowany do pewnego ośrodka naukowego, którego nazwy nie wolno mi wymieniać. Obawiam się, że to nasze ostatnie spotkanie. Wasz kraj potrzebuje mojej wiedzy bardziej niż zaspokojenia pana rasowych kompleksów.

— Morderca — rzucił przez zaciśnięte zęby porucznik. — Z twojej przyczyny zginęły tysiące, dziesiątki tysięcy niewolników w podziemnych zakładach!

— Nikogo nie zabiłem — Von Braun również zacisnął zęby. — Nie zostałem i nie zostanę oskarżony o zbrodnie wojenne!

— Ale sumienie masz robaczywe, co?

— To moja sprawa. Nie mam sobie nic do zarzucenia.

# 1

Jak bardzo człowiek może pragnąć snu wie tylko ten, kto o drugiej nad ranem siedział w samochodowym fotelu, starając się za wszelką cenę nie zamknąć zmęczonych oczu. Powieki są wtedy niesamowicie ciężkie i zdaje się, że ich brzegi zostały posmarowane szybko schnącym klejem. Wystarczy sekunda... ba, ułamek sekundy, aby zespoliły się w nierozdzielalną całość. Koszmar. Walka ze snem jest czymś, przy czym największe życiowe wyzwanie wydaje się dziecinnie proste.

Wroński przeciągnął się, otworzył usta, ale nie ziewnął. Nie wolno ziewać, bo kiedy raz się zacznie, trudno przestać. Podobno w czasie ziewania organizm się dotlenia. Taką informację znalazł kiedyś w jakimś medycznym piśmie. Może i prawda. Dotlenia się, dotlenia, a potem zasypia.

Czytał kiedyś wspomnienia żołnierzy piechoty Pierwszego Korpusu Berlinga. Pokonywali olbrzymie odległości teatru wojny, często idąc bez przerwy dzień i noc, albo nawet dłużej. Nogi stawały się sztywne, żołnierzowi zdawało się, że nie da rady zrobić następnego kroku, a jednak szedł. Parł do przodu jakby został pozbawiony własnej woli, śpiąc z otwartymi oczami, wpadając na kolegów, staczając się w przydrożne rowy, ale szedł. Nie głód, nie pragnienie, nie samobójcze akcje bojowe były najgorsze, ale właśnie brak snu.

Przecież pozbawienie snu to jedna z najskuteczniejszych metod przesłuchań. Człowiek po pewnym czasie kompletnie głupieje, zaczyna tracić rozeznanie, staje się podatny na obróbkę, można od niego wyrwać nieopatrzne słowo, często wręcz niepostrzeżenie wydobyć całe zeznanie. Za chwilę spokoju niektórzy potrafią sprzedać przyjaciół, oddać oprawcom na pożarcie najbliższych.

Rozprostował nogi. To się nazywa koszmar obserwacji. Najgorsze chyba, co jest w policyjnej robocie. No, może poza wypełnianiem zaległych papierów. Nagle coś mignęło z prawej strony. Senność natychmiast zniknęła, sięgnął na siedzenie obok po pistolet. Pukanie w okno, znajoma twarz i ulga. Co prawda nie spodziewał się napaści, ale zawsze była to chwila nieprzyjemnych emocji. Do tego nie można się

przyzwyczajaić nawet po dziesięciu latach służby.

— Michał, kończysz wachkę — Nocny gość wsadził głowę przez uchyloną szybę. Do wnętrza wtargnął nocny chłód i ostry charakterystyczny zapach. — Mam cię zmienić.

— Miał mnie zmienić Jurek — odparł niechętnie. — Ale dopiero za cztery godziny. A ty znów piłeś. Nie możesz przecież zostać na obserwacji.

— Nie pieprz! Zdaje ci się, że przylażłem z własnej woli? Rozkaz starego. Wyrwał mnie z łóżka. Piłem, piłem! Jasne, że piłem. Gdybym się spodziewał, że cię każą zastąpić... — zawiesił głos.

Też byś się nachlał, dokończył w myślach Wroński. Skułbyś się tak samo, bo już ci wszystko jedno. A taki był z ciebie dobry glina, Miro. Stoczyłeś się.

— Dobra, wyrywaj już — zniecierpliwiał się tamten. — Masz się zaraz zjawić na Wałowej, na łąkach przy służbie.

— Stąd na piechotę? — Skrzywił się niechętnie. — To drugi koniec miasta!

— Za budynkiem straży pożarnej czeka radiowóz. No przecież nie mogli podjechać tutaj zabrać jaśnie pana hrabiego!

Michał roześmiał się. Też coś! Tak jakby Mucha był naiwną panienką i nie wiedział, że jest pod specjalnym nadzorem.

— Wiesz, o co chodzi?

Miro wzruszył ramionami.

— Znów jakiś trup. To pewnie będzie twoja działka — w jego głosie zabrzmiała nutka zazdrości. Alkoholikowi nie powierza się poważniejszych spraw. — Ja będę się nudził czekając na Jurka.

— Chyba że coś się stanie.

— A co ma się stać? Mucha śpi jak zabity. W dodatku gnojek nie martwi się nawet o bezpieczeństwo, skoro go pilnujemy.

— Gnata masz?

— A po co? — pogardliwe prychnięcie. — W naszej zapyziałej miejscinie ostatni raz broni używała jeszcze milicja. Tuż po wojnie.

Michał szedł w kierunku siedziby straży pożarnej kręcąc w duchu głową. Na obserwacji takiego gieroja jak Mucha należy mieć broń. To prawda, że w Oleśnicy rzadko była okazja jej używać, ale nie do końca jest tak, żeby strzelano ładnych kilkadziesiąt lat temu. Całkiem niedawno



Jurek musiał pociągnąć za spust, kiedy ścigali złodziei samochodów.

\*

Trup spoczywał tuż przy obmurowaniu betonowego mostku przerzuconego przez rzeczkę. Nazwać zresztą toto rzeczką stanowiło spore nadużycie. W języku wojskowym zapewne określono by coś takiego mianem „cieku wodnego pozbawionego znaczenia strategicznego”. Mostek też właściwie nie był mostkiem, ale solidną konstrukcją długości najwyżej pięciu metrów, na której umocowano mechanizm do podnoszenia drewnianej kurtyny, zwanej szumnie śluzą. Woda, wezbrana po nocnym deszczu, przelewała się górą, przeciekała przez szczeliny, szumiąc i cuchnąc bardziej niż zwykle. Kilkadziesiąt metrów dalej płynęła druga podobna struga, niepomiernie jednak brudniejsza, nazywana potocznie szambiarką albo kondoniarą. Obie rzeczutki rozszerzającymi się widłami przecinały łąki przed nasypem kolejowym.

Michał pochylił się nad zwłokami, obejrzał dokładnie ułożenie kończyn, przyjrzał się twarzy o wywróconych białkach oczu. Technik robił ostatnie zdjęcia, lekarz pogotowia czekał aż policjanci skończą pracę. Oparty o poręcz mostka żuł gumę z obojętną miną.

— Co powiedział konował? — Wroński podszedł do komendanta.

— Prawdopodobnie skręcił kark. Wypadek. Ale więcej będzie wiadomo po sekcji.

— Wypadek — prychnął Michał. — To już czwarty taki wypadek w ciągu ostatnich dwóch miesięcy. Najpierw rozbita czaszka i poważny uraz szyi — Zagiął palec. — Prawdopodobnie uderzenie o krawężnik. Potem złamany kręgosłup i uduszenie wymiocinami — Zgiął drugi. — Prawdopodobnie upadek z nasypu kolejowego. Następnie porażenie prądem podczas majstrowania przy lampie oświetleniowej — Przyszła kolej na trzeci palec. — Też wypadek. A teraz to. Wszystko w promieniu kilkuset metrów. Ile będziemy udawać, że nic się nie dzieje? Pora chyba uznać, że...

— Zamknij się! — przerwało warknięcie dowódcy. — Pogadamy na komendzie, komisarzu. A teraz przejdź się po domach. Może ktoś coś widział.

Wroński wzruszył ramionami. O jakich domach on mówi? Za plecami błonia zamkowe, po lewej miejski park, po prawej chaszczce i

ugory, dopiero za nimi osiedle domków. Jedyne zamieszkałe miejsce w pobliżu to poniemieckie domiszcze, zasłaniające zresztą widok położonym dalej zabudowaniami. Zresztą i ono jest dość oddalone od tego miejsca. Tam na pewno niczego się nie dowie.

— Poczekaj, szefie — mruknął. — Ktoś na pewno jest tutaj — wskazał grupkę ciekawskich. Błyski kogutów radiowozów i pogotowia zwabiły, mimo późnej pory, kilkunastu mieszkańców z okolicy. Niestety, nie tylko ich. — Niech to szlag! Proszę spojrzeć, kto nadciąga!

Czerwony samochód z logiem miejscowej gazety zahamował z piskiem opon. Wskoczył z niego chuderlawy osobnik o nerwowych ruchach. Zabawnie drobiąc, pobiegł w stronę służby. W połowie drogi zatrzymał go rosły funkcjonariusz. Tamten zaczął wymachiwać dziennikarską legitymacją, wołając wysokim, nieprzyjemnym głosem.

— Idź, Michał — Komendant odwrócił głowę udając, że nie dostrzega przybysza — ja nie mam cierpliwości. Wezmę kogoś i rozpytam tych ludzi.

Wroński zgrzytnął zębami. To niezaprzeczalny przywilej przełożonego wpakować pracownika w bagno. Wystarczy wydać rozkaz. Ruszył w stronę człowieka usiłującego sforsować żywy mur potężnej piersi policjanta. Przedstawiciel miejscowej śmietanki medialnej pienił się tym bardziej, im większy spokój i stanowczość wykazywał funkcjonariusz.

— Co jest, posterunkowy? — Michał podszedł ze zmarszczonymi brwiami. — Ktoś zakłóca spokój?

— Proszę nie udawać! — krzyknął łamiącym się z emocji głosem dziennikarz. — Przecież doskonale pan wie, kim jestem!

— Och! — komisarz uniósł brwi. — Rzeczywiście, sam redaktor naczelny. Nie poznałem pana. Ale jest przecież tak ciemno...

Przybysz z powątpiewaniem spojrzał na okoliczne lampy oraz reflektory policji. Jednak zanim zdążył wyrazić swoje zdanie, Wroński uprzedził go.

— Niestety, nie możemy pana wpuścić na teren zdarzenia. To zbyt poważna sprawa.

— Kolejne morderstwo? — oczy dziennikarza błysnęły.

— Morderstwo? — zdziwił się Michał — Kolejne?! O czym pan mówi? Owszem, wydarzył się śmiertelny wypadek. *Wypadek* —

powtórzył z naciskiem — nic więcej, panie Niwa.

— W takim razie proszę mnie wpuścić — redaktor znów usiłował przejść pod ramieniem mundurowego. — Mam prawo wykonać kilka zdjęć...

— Ma pan prawo — wpadł mu w słowo Wroński — stanąć sobie grzecznie z boku i nie przeszkadzać w czynnościach służbowych. Rozumiem, że truposz to gratka dla miejscowej gazetki — Z satysfakcją patrzył na wściekłość nieproszonego gościa, gdy ten usłyszał pogardliwym tonem wypowiedziane słowo „gazetka” — ale żadnych zdjęć nie będzie. Tym bardziej, że przyjechał już prokurator — zerknął nad ramieniem intruza. Szlęzak zmierzał energicznym krokiem w ich stronę.

— I bardzo dobrze! Pan Paweł na pewno pozwoli mi zrobić materiał.

Jednak pan Paweł na widok naczelnego zawrócił. Wolał nadłożyć drogi idąc wzdłuż jezdni do drugiej ścieżki.

— Obawiam się, że jednak nic z tego nie będzie — zauważył cierpko Michał.

— To skandal! Społeczeństwu należy się rzetelna informacja! Zresztą zaraz tu będzie nasza telewizja!

Komisarz z niesmakiem słuchał krzyków dziennikarza. Czy on naprawdę chce zamieścić zdjęcie nieboszczyka w gazecie? Hiena. A redaktor naczelny pienił się dalej.

— Jutro o wszystkim powiem burmistrzowi! Już on was ustawi.

Co ten pismak sobie wyobraża? Że jest w Stanach Zjednoczonych? Wroński wysunął się przed wielkiego policjanta, stanął twarzą w twarz z dziennikarzem.

— Proszę bardzo — wycedził. — Pan burmistrz na pewno poruszy wszelkie znajomości, użyje wszelkich wpływów, żeby spowodować usunięcie mnie ze służby tylko dlatego, że nie jestem dość czołobitny dla miejscowego przedstawiciela czwartej władzy. Spadaj pan stąd, zanim każę pana zatrzymać za utrudnianie dochodzenia! Mamy pilniejsze rzeczy do zrobienia niż użerać się z jakimiś nieodpowiedzialnymi idiotami.

— Pan mnie ciężko obraził! Nazwał mnie pan idiotą! Ten policjant jest świadkiem.

— A czy mówiłem o panu? Ten policjant jest świadkiem, że

mówiłem bardzo ogólnie, nie zwracałem się do pana konkretnie. Prawda, Romek? — zwrócił się do mundurowego.

Młody chłopak wytrzeszczył na niego oczy, a potem powoli, niepewnie skinął głową. Niwa, mrużąc nieprzychylnie pod nosem, cofnął się.

\*

Dym wisiał ciężką zasłoną w gabinecie komendanta. Od przeszło godziny ćmili papierosy, odpalając jednego od drugiego. Wroński miał dość. I palenia, i jałowych rozważań. Ileż można udawać, że to, co dzieje się dookoła jest czym innym niż w rzeczywistości?

— Chyba nie chce mi pan wmówić, szefie, że te wszystkie trupy to rzeczywiście tylko przypadek. Miejsce znalezienia, okoliczności i pora dnia, czy raczej nocy, a także fakt, że do tej pory nie udało się zidentyfikować żadnego z denatów. Wreszcie wszystkie ślady wskazują, że ciała zostały przeniesione z innego, tajemniczego miejsca. Powinniśmy wysłać próbki do laboratorium w Warszawie, skoro nasi nie mogą albo nie chcą sobie z tym poradzić.

Komendant zmarszczył brwi, czoło przecięła pionowa zmarszczka.

— Nie wymądrzaj się, komisarzu. Te sprawy nie wiążą się w żaden sposób. Czy to takie dziwne, że jeden z drugim popijają i skręcają sobie po ciemku kark?

— Owszem, dziwne, i dobrze pan o tym wie. Przy jednym można mówić o wypadku, przy dwóch o niesamowitym zbiegu okoliczności, ale my mamy...

— Nie potrzebuję tutaj afery z seryjnym zabójcą — przerwał obcesowo komendant — nie dociera do ciebie? Chcesz prowadzić sobie ciche śledztwo? Proszę bardzo, ale licz się z konsekwencjami, bo ja tego zabraniam. Zabraniam! — powtórzył głośniejszym, dobitniejszym głosem. — Nie będę tolerował samowoli. A ty uważaj, bo jednym bezmyślnym ruchem zmarnujesz sobie karierę.

— A czy ja mówię o seryjnym zabójcy? — zdziwił się Wroński — Ja tylko chcę panu uświadomić, że to nie przypadek.

— Jeśli nie masz na myśli patologicznego mordercy, to kogo?

— Nie wiem. Jeszcze nie wiem. Ale to nie może być zbieg okoliczności. Seryjni zabójcy mają zwyczaj pogrywać z policją, zostawiać ślady, bawić się w kotka i myszkę. Ja tego tutaj nie widzę. Znajdujemy

niezidentyfikowane zwłoki i to wszystko.

W tym momencie zadzwonił telefon. Komendant niecierpliwym ruchem poderwał słuchawkę.

— Czego?! — chwilę słuchał z coraz bardziej osłupiałą miną, potem odłożył plastikowy przedmiot, jakby ten mógł wybuchnąć przy mocniejszym wstrząsie. — Mamy problem. I to całkiem spory. Znalaziono następne zwłoki. Tym razem w parku, przy ogródku jordanowskim.

Trup leżący między kolorową huśtawką a karuzelą wyglądał dziwnie. To tak, pomyślał Wroński, jakby Freddiego Kruegera przenieść z horroru o ulicy Wiązowej do kreskówki o Bolku i Lolku. Wrażenie potęgowała zmasakrowana straszliwie twarz nieboszczyka. Coś między befsztykiem tatarskim a świeżą krwawą kiszka z domieszką potrzaskanych kości. Prokurator Szlęzak stał kilkanaście kroków dalej rozmawiając przez komórkę, zapewne z przełożonym.

— Tego będziemy identyfikować chyba po odciskach palców — Technik odwrócił się od okropnego widoku. — Jeżeli w jakichś rejestrach są w ogóle jego odciski. Kto mu to zrobił?

— Raczej czym mu to zrobił — odezwał się z boku Miro. Zszedł już z obserwacji i został ściągnięty na miejsce zbrodni. — To wygląda na pompkę. Nic innego nie robi z gęby takiej kupy mięcha.

— Shotgun? — skrzywił się komendant. — To nie film *Jak to się robi w Chicago!* Kto, u Boga Ojca, ma w naszym kraju dostęp do takiej broni? Tylko służby specjalne. I przestępcy. Ale nie tacy, jak nasze zuczki.

— Dupa tam shotgun. Raczej zwyczajny obrzyn — zabrał znowu głos technik — Na pewno zwykła śrutowa spluwa.

Wroński nie odzywał się. Patrzył uważnie na zwłoki, przyklęknął, obejrzał piasek wokół głowy trupa.

— Ciekawe, gdzie został zastrzelony — powiedział, prostując się.

— Nie wiem — Technik wzruszył ramionami — ale na pewno nie tutaj. Byłoby więcej krwi dookoła. W ogóle byłaby krew na ziemi i w ogóle. I ktoś chyba by jednak usłyszał huk broni. Na śrutowę nie założysz tłumika.

— Nadal pan uważa — szepnął Wroński komendantowi na ucho — że tamci denaci naprawdę ulegli wypadkom? Że to się nie łączy?

— Nie teraz! — Szef łypnął wściekle, odsuwając go z zdecydowanym

ruchem. Sam pochylił się nad zwłokami. — Ale pasztet!

No tak, Michał uśmiechnął się w duchu, teraz nie da rady schować głowy w piasek. Trzeba będzie potraktować rzecz naprawdę poważnie. I zawiadomić komendę wojewódzką we Wrocławiu. Góra na pewno zechce monitorować takie dochodzenie.

— No dobra — komendant poruszył ramionami, jakby chciał z nich zrzucić ogromny ciężar. — Niech go teraz obejrzy zimny chirurg. Łapiduchy przetransportują go do Wrocławia, a my na naradę. Wszyscy! — dodał groźnie na widok wyrazu twarzy Mira. — Bez kombinowania. Rozmawiałem z prokuratorem. Wdrażamy śledztwo.

\*

— Krakales, krakales i wykrakales — szef patrzył z niechęcią na Michała. — Chciales prawdziwego zabójstwa, to je masz!

— Zabójstwa? — spytał zjadliwym tonem Wroński. — Jednego zabójstwa? Myślałem, że...

— Nie myśl tak dużo — wpadł mu w słowo komendant. — Prowadzisz tę jedną sprawę, przynajmniej na razie. O tamtych możesz zapomnieć.

Pewnie — Michał poczuł ukłucie złości — stary za wszelką cenę chce uniknąć komplikacji i kłopotów z serią zabójstw. Jednak postanowił nadal udawać durnia! Trudno czasem zrozumieć myślenie wierchuszki. Zdawałoby się, że najważniejsze jest wykryć przestępstwo i ująć sprawców. A jednak bywa i tak jak teraz. Dowódca wyraźnie zakazuje łączyć sprawy, które ewidentnie mogą mieć wspólny mianownik. To jedynie chęć uniknięcia kłopotów i komplikacji czy coś więcej?

— Masz do dyspozycji tylko siebie — ciągnął tymczasem komendant. — Nie przydzielę ci nikogo, bo sam wiesz, jak jest z ludźmi.

Wroński uśmiechnął się krzywo. Stary chce mu podrzucić zgniłe jajo. Traktując to dochodzenie jako zupełnie odrębne, najpewniej niczego nie wykryje. Jeśli z kolei zacznie łączyć tropy, podważy wyraźny rozkaz przełożonego i narobi sobie kłopotów. Kolejna próba pokazania niepokornemu policjantowi kto tu rządzi, zwyczajna złośliwość czy wszystko ma jednak drugie, a może trzecie dno?

Zabójstwo wyglądało na robotę zawodowca, kogoś na tyle zimnej krwi, żeby przetransportował zmasakrowaną ofiarę w odludne miejsce. Przygodni mordercy raczej rzadko wykazują tyle opanowania, a jeśli

nawet przeniosą gdzieś zwłoki, czynią to w sposób mało zaplanowany, zostawiają więcej śladów. Wniosek — jeżeli zabójca jest doświadczonym przestępcą, zwykły przeciętny glina z małego miasta na pewno okaże się bezradny niczym dziecko we mgle.

— Burmistrz do mnie dzwonił — szef spojrział zimno na Michała. — Niwa już się na ciebie poskarżył. Podobno groziłeś mu rękoczynami, kąpielą w szambiarce i nazwałeś idiotą. Burmistrz jest bardzo niezadowolony. Oficer policji nie powinien zachowywać się w ten sposób.

— A co to ma być? — Wzruszył ramionami Wroński — Amerykański film? My nie zależyśmy od władz samorządowych. Burmistrz może się wypchać ze swoimi uwagami.

— Nie udawaj głupka, komisarzu! Administracyjnie może nie jesteśmy pod ratuszem, ale to właśnie oni współfinansowali ostatnio zakup nowych samochodów.

Co za syf, wzdrygnął się Michał. W takim grajdole wszyscy mają układy ze wszystkimi. Byle urzędas bezkarnie może pouczać policjanta, jak ma pracować.

— Może mam przeprosić tego dupka, Niwę? Że mu nie pozwoliłem wtykać wszędzie nosa i zdeptywać śladów?

— Powinieneś. Teoretycznie.

— No to niniejszym niesłychanie teoretycznie go przepraszam. Może pan to przekazać komu trzeba albo nie. Trzeba było samemu splewić redaktorka, a nie wysyłać mnie do tego śmiecia.

Komendant machnął ręką. Wroński ma twardy kark, przed byle kim go nie zegnie. Lepiej na razie zapomnieć o sprawie, bo jeśli zacnie naciskać, skutek może być odwrotny.

— Telewizji powiatowej nie potraktowałeś jednak tak źle — nie mógł sobie jednak odpuścić tej uwagi. — Czy dlatego, że przyjechały z kamerą dwie atrakcyjne laseczki?

— To dlatego — odparł Michał — że nie pchały się po chamsku, powołując na koneksje, ale grzecznie czekały aż będę miał dla nich odrobinę czasu. A że są ładniejsze od pana Niwy, to już rzecz osobna. Ale od niego jest ładniejszy nawet wyliniały szczurek mojego syna. A już na pewno sympatyczniejszy.

— Twoja niewyparzona gęba kiedyś cię zgubi — zauważył cierpko

komendant. — Ale to twój problem. Teraz jesteś wolny, prześpij się parę godzin, a potem czeka na ciebie dochodzenie w sprawie tego zastrzelonego.

\*

Pokój pamiętał lepsze czasy radosnego Gierka. „Perła” była jednym z hoteli postawionych w latach siedemdziesiątych, o architekturze tyleż siermiężnej, co obrzydliwie przewidywalnej, jakby zostały złożone z identycznych klocków, może jedynie w nieco urozmaiconych konfiguracjach. Pewnie — budynki sieci Marriott czy Holliday także wszędzie wyglądają prawie jednakowo — ale też jakże inna to architektura!

Jednak nie mógł grymasić. Praca wymaga czasem poświęceń. Bywał przecież w paryskim Ritzu, nowojorskim Waldorfie, ale nocował także w cuchnącej owczymi odchodami serbskiej chałupie, spędzał noce na deszczu pod gołym niebem.

A teraz patrzył prosto w oczy człowiekowi siedzącemu w wytartym fotelu naprzeciwko.

— Przenosimy cię do oficjalnie Wrocławia, kapitanie — powiedziała tamten. — Idziesz do roboty bezpośrednio.

— Myślałem, że mam jedynie nadzorować operację...

— Oczywiście. Jednak okoliczności się zmieniły. Zrobiło się zbyt gęsto, łatwo o dekonspirację, a to może oznaczać śmierć. Potrzeba nam tutaj doświadczonego człowieka. Trzeba też zmienić bazę wypadową, założyć ją bliżej, na miejscu zdarzeń. A poza tym koniec z czekaniem, trzeba zgromadzić więcej informacji.

— Zanim KGB, Niemcy albo MI6 zdołają dotrzeć do celu?

— Wiesz dobrze, że oni są w lepszej sytuacji. Mają więcej danych, bo to u nich siedzieli i pracowali jeńcy niemieccy, im składali zeznania. My jesteśmy zdani na domysły, przypadkowe odkrycia i wątpliwe najczęściej owoce własnej pracy.

— Rozumiem. Jednak uważam, że...

— Swoje wątpliwości możesz zawrzeć w najbliższym raporcie — przerwał ostro przełożony. — Ty, Jacek, masz swoje zadanie.

— Nie mam teraz na imię Jacek. Niech pan nie zapomina — uśmiechnął się.

— To ty masz o tym nie zapominać. Gdybym ja miał pamiętać wasze



wszystkie tożsamości, musiałbym zamienić głowę w komputer z bazą danych. A i to mógłbym się pogubić.

— Wiem, wiem. Jest pan przepracowany, pułkowniku. Poczucie humoru wtedy wysiada.

— Może. Ale nie mam też czasu na żarty.

Kapitan spowaźniał.

— Co robimy z figurantem?

— Obserwuj. To, zdaje się, sprytny gość. W każdym razie potrafi wyciągać niepokojąco trafne wnioski. Nie wiadomo czy dla kogoś nie pracuje. Jeśli posunie się za daleko, wpadnie na właściwy trop...

— Zdjąć?

Pułkownik pokręcił głową.

— To nie takie proste. Nie stosujemy metod KGB czy dawnego Stasi bez wyraźnej potrzeby. Zanim go stukniesz, musisz się skonsultować bezpośrednio z generałem. Zlikwidować obiekt łatwo. Gorzej jeśli okazuje się to pochopną i nazbyt pospieszną decyzją. Pamiętasz Karola?

Jacek kiwnął głową. Karol zlikwidował Bogu ducha winnego faceta, bo mu się wydawało, że stanowi zagrożenie dla zadania. A potem wyszło, że zabity był człowiekiem zaprzyjaźnionej agentury, na dobitkę miał przekazać polskiemu kontrwywiadowi ważne informacje. Cicha awantura trwała kilka miesięcy i skończyła się odwołaniem samego szefa służb specjalnych. Oficjalnie złożył dymisję ze względu na zły stan zdrowia, ale nieoficjalnie został do tego po prostu zmuszony.

— Myśli pan, że mój figurant też może pracować dla...

Przerwało mu niecierpliwe machnięcie ręki.

— Nie wiem — pułkownik skrzywił się niechętnie. — Ale wykluczyć na razie tego nie możemy. Pamiętaj, poruszasz się w mętnej wodzie. W gęstej mgle. Widzisz co najwyżej plecy poprzednika, a często jedynie własne pięć palców. O ile w dodatku nie zapadną ciemności. Możesz nie liczyć na zbawcze promienie słońca, albo że się mroczne zasłony nagle rozedrą, ukazując prawdziwy obraz świata. Nasza praca to zawsze ryzyko i loteria. Gra w pokera, ale w sytuacji, kiedy często nie znasz nawet własnych kart. Albo kiedy nagle walet zamienia się w asa, a as w dziewiątkę. Rozumiesz?

Kapitan wzruszył ramionami. Co za tyrada! Stary powinien zostać poetą.

— Oczywiście, rozumiem. Jak sędzę, kontakt z panem mam łapać przez naszą delegaturę we Wrocławiu?

— Nie, kapitanie — Pułkownik pokręcił głową. — W ogóle nie kontaktuj się z delegaturą. Uczyniło się zbyt niebezpiecznie, nie możemy być pewni nikogo i niczego. Masz przydzielonych trzech ludzi z centrali i na tym poprzestaniemy. A jeśli zechcesz pogadać ze mną, używaj sposobów operacyjnych. Tak jakbyś działał na obszarze wrogiego terytorium. Stawka jest zbyt wysoka. Hasło znasz.

Milczeli przez chwilę. Wreszcie kapitan podniósł się, pułkownik podał mu rękę.

— Tylko bez fajerwerków — ostrzegł jeszcze, przytrzymując dłoń podwładnego. — Ostrożność, ostrożność i jeszcze raz ostrożność. Nie stać nas na popełnianie błędów.

\*

Magda patrzyła na niego z nienawiścią czającą się na dnie ciemnobrązowych oczu.

— Znowu byłeś u tej dziwki — zasyczała. — Całą noc...

— Byłem na służbie — odpowiedział, siląc się na spokój, chociaż zaczynał go szlag trafiać. — Dobrze wiesz. Nie chodzę do żadnej dziwki!

— A ja właśnie swoje wiem. Kiedyś cię wreszcie nakryję!

— Nakrywaj sobie ile chcesz, i tak nie masz na czym! — o mało nie dodał „ty durna babo”, ale się opanował. — Wydumałaś sobie nie wiadomo co i zadręczasz siebie i mnie!

— Tak? Wymyśliłam sobie?! Wy wszyscy macie kochanice! Twoi kolesie już są po rozwodach, tylko tobie jeszcze się udało wszystko jakoś ukryć. Ale to tylko kwestia czasu, zobaczysz!

Nie cierpiał wybuchów zazdrości. A zdarzały się zawsze, ilekroć musiał dłużej zostać w robocie albo przypadał mu nocny dyżur. To znaczy, że zdarzały się kilka razy w tygodniu. Wiedział doskonale, jaka jest ich prawdziwa przyczyna. Bolało go to, ale milczał. Najważniejsze, żeby dziecko nie ucierpiało z powodu nieporozumień rodziców. A dzisiaj w dodatku był taki zmęczony... Miał nadzieję, że zje coś i położy się w miękkiej, gościnnej pościeli. Zamiast tego awantura.

— Daj już spokój — rzekł pojednawczo. — Nie kłóćmy się.

— Już daję spokój — odwróciła się na pięcie. — A ty rób jak chcesz. Możesz iść do tej swojej kochanki! Poczł górką kulę podchodzącą do

gardła. Przecież nie ma żadnych podstaw, żeby go podejrzewać! Nie dał jej w życiu najmniejszego powodu, nigdy nie odkryła znaku, żeby kogoś miał. Żadnych dziwnych telefonów, tajemniczych esemesów... nic. A ona tymczasem...

— W takim razie wracam do pracy — warknął.

— Idź — zawołała za nim — idź sobie do niej! Wiem, że już cię nie interesuję! Są młodsze i ładniejsze!

Trzasnął drzwiami. Dobrze, że Patryk jest w szkole. Dzieciak nie powinien słuchać podobnych rzeczy. Przed klatką schodową przystanął. Na komendę wracać nie ma po co. Jeszcze mu wymyślą pracę, a musi przecież wypocząć i zająć się zabójstwem. Powlókł się do parku. O dziewiątej przed południem powinien tam panować jeszcze spokój i błogi bezruch. Słońce zaczynało już mocniej dogrzewać. Koniec maja w najcieplejszym regionie Dolnego Śląska to już właściwie pełnia lata. Noce jeszcze bywają chłodne, ale w dzień potrafi naprawdę przypieć.

Usiadł na ławce tuż przy huśtawkach. Po policyjnej krzątaniu nie pozostał najmniejszy ślad. Ciekawe — przez głowę przeleciała senna myśl — gdzie został naprawdę zabity tajemniczy denat. I dlaczego tak brutalnie, ze śrutówki prosto w twarz.

Nawet nie wiedział, kiedy pogrążył się w drzemce. Zbudziło go mocne szarpnięcie.

— Masz szluga? Ty, dziadek, obudź się! Masz fajki?

Otworzył oczy. Stało nad nim trzech wyrostków w wieku gimnazjalnym. Musieli go wziąć za pijaczka, którego można obrać z papierosów, a może i z pieniędzy.

— Nie powinniście być w szkole? — spytał sennym głosem. Odpowiedział mu drwiący rechot.

— Dawaj fajki, facio, albo dostaniesz bęcki.

Sięgnął niespiesznie do kieszeni wiatrówki.

— Macie swoje fajki, chłopcy — wyjął legitymację, błysnął blachą. — To dla was kiepski dzień. Pójdziemy teraz na komendę.

Dwóch natychmiast rzuciło się do ucieczki. Jednemu podciął nogi, drugiego chwycił za kaptur bluzy. Trzeci stał skamieniały.

— Starczy tego dobrego — powiedział komisarz groźnie. — Dzisiaj wasi starzy będą naprawdę zachwyceni, bo dostaną telefon, żeby zabrać pociechy z policji.

### 3

Zdjęcia zmasakrowanych zwłok wyglądają chyba jeszcze gorzej niż taki nieboszczyk w naturze. Nie niosą, co prawda, tego charakterystycznego zapachu śmierci i krwi, ale jest w nich coś ostatecznego, jakby utrwalenie na papierze czy matrycy elektronicznej potęgowało wrażenie obcości i grozy. Na biurku leżały akta umorzonych postępowań wypadków z ostatnich dwóch miesięcy. Tych wypadków, co do których miał wątpliwości. Stary by się wściekł, a zarazem ucieszył, gdyby wiedział, że jednak postanowił połączyć tajemnicze śmierci. Mógłby zagrozić służbowymi konsekwencjami, napawać się władzą. Skrzypnęły drzwi, wszedł Jurek, usiadł przy swoim biurku naprzeciwko.

— Dziwnie się robi w naszym sennym miasteczku — mruknął otwierając gazetę.

— Co masz na myśli?

— Tak ogólnie. Nie zauważyłeś? Jakby coś się miało zdarzyć. Te wszystkie zgony, dzisiejszy zastrzelony... zastanawiające.

Nawet nie wiesz jak, pomyślał Wroński. Teraz, kiedy zebrał do kupy informacje o denatach, zaczęło się to układać w jakiś mnie więcej sensowny schemat. Wszyscy zostali znalezieni w promieniu około trzystu metrów, w rejonie łąk, błoni zamkowych, kolejowego nasypu i parku. Nikt nic nie widział. To akurat nie było specjalnie zaskakujące, bo nocą w tej okolicy właściwie nikt się nie pęta. Ale na odzieży wszystkich trupów znaleziono coś, o czym dowiedział się dopiero teraz, bo przecież nie czytał do tej pory kompletu protokołów z oględzin i sekcji. Na ubraniu każdego z nieboszczyków były ślady wapiennego i ceglanego pyłu. To zaś wskazywało jasno, że śmierć dopadła ich w tym samym miejscu. I prawie na pewno nie na zewnątrz, lecz wewnątrz jakiegoś budynku. Zerknął na podpisy pod protokołami. Za każdym razem sporządził je ten sam patolog. Nie zaprzyjaźniony doktor Mogorski, ale człowiek z Wrocławia. Czasem pracował dla komendy w Oleśnicy, chociaż dość rzadko. Czy on także nie zauważył tej prawidłowości? Chwycił za telefon, ale zrezygnował. Przecież nie może teraz dzwonić do faceta do pracy. Jurek też nie może wiedzieć, że pracuje nie tylko nad

ostatnim zabójstwem. To dobry chłop, ale miewa przydługi język. Znow sięgnął po słuchawkę.

— Pani Marto, może mi pani podać adres i domowy telefon Adama Ramiszewskiego? — słuchał przez chwilę z uśmiechem. — Potrzebny mi. Nie wiem, może się zakochałem? Teraz to podobno modne, żeby chłop z chłopem... Dobrze, kochana, zaraz przyjdę.

\*

Ramiszewski mieszkał we Wrocławiu przy Wybrzeżu Wyspiańskiego. Michał dźwięknął domofonem. Zamek zabrzączał bez pytania. Niektórzy mają taki zwyczaj, żeby nie wypytywać każdego, kto chce wejść. Tylko po co im domofon? Drzwi mieszkania otworzyła młodzianka blondynka. Na żonę doktora na pewno zbyt młoda.

— Zastałem pana Adama? Byłem umówiony.

Przez chwilę przyglądała się uważnie jego twarzy, potem odsunęła się bez słowa, przepuszczając gościa do środka. Zaprowadziła go do sporego pokoju o wielkich oknach, wskazała skórzany klubowy fotel. Lekkim krokiem pobiegła gdzieś w głąb mieszkania. Po chwili zjawił się Ramiszewski.

— Słucham? — zmarszczył brwi. — Co pana sprowadza?

Wroński wstał, wyciągnął rękę.

— Nie poznaje mnie pan? Komisarz Michał Wroński z Komendy Powiatowej w Oleśnicy.

— Rzeczywiście — gospodarz rozjaśnił twarz — teraz skojarzyłem. To pan dzwonił. Wie pan, w pracy wszyscy wyglądamy jakoś inaczej. Poza tym rzadko się widzimy.

Michał kiwnął głową. Co racja to racja. Na służbie człowiek nieco się zmienia, jakby zakładał drugą skórę.

— Kawy, herbaty, coś zimnego? Agnieszka zaraz przyniesie.

— Coś zimnego, jeśli można.

Lekarz zwrócił się do dziewczyny.

— Przynies naszemu gościowi wody cytrynowej, skarbie.

Natychmiast zniknęła, poruszając wdzięcznie biodrami.

— Ma pan bardzo miłą córkę. Ale chyba jest nieco małomówna.

— To nie jest moja córka — odparł Ramiszewski. Wroński zdziwił się. Przecież ten facet ma koło sześćdziesiątki! Wcale niepiękny, może tylko bogaty. Co ona w nim zobaczyła? Kobiety są bytami

nieodgadnionymi. A lekarz ciągnął — W każdym razie niezupełnie córka. Bratanica. Parę lat temu straciła rodziców, więc się nią zająłem — Michałowi zrobiło się trochę głupio. — A że małomówna... No cóż, jest po prostu głuchoniema.

Tak, to wyjaśniało brak pytania, kto idzie. Ale nie wyjaśniało innej kwestii. Wroński był zbyt długo policjantem, żeby od razu nie nabrać wątpliwości i nie zadać pytania.

— Ale to ona otworzyła mi drzwi na klatkę schodową, prawda?

— Mamy założoną sygnalizację świetlną domofonu i lampkę w każdym pomieszczeniu.

Tymczasem Agnieszka wróciła ze szklanką i kryształową karafką. Wroński pił bez przyjemności, żeby czymś zająć ręce, zyskać nieco na czasie. Ramiszewski przyglądał mu się przez chwilę, wreszcie sam zagaił.

— Proszę więc mówić. Nie przyjechał pan do mnie na towarzyską pogawędkę.

— Rzeczywiście. Przyjechałem w pewnej sprawie. Dziś w nocy i nad ranem znaleziono w Oleśnicy dwa trupy. Jeśli się orientuję, oba trafiły do pana. Chciałbym w związku z tym zadać kilka pytań.

— Ma pan oczywiście jakieś upoważnienie od przełożonego? Prowadzi pan te sprawy?

— Prowadzę jedną z nich. Co do drugiej, upoważnienia nie posiadam, ale mam poważne powody, żeby pytania zadawać.

— Czyli nasza rozmowa nie jest oficjalna?

— W żadnym razie. Jestem tutaj prywatnie.

— Prywatnie nie rozmawiam o sprawach zawodowych.

— Nie chcę od pana wyciągać żadnych tajemnic. Moje wątpliwości dotyczą raczej rzeczy, które są mi chociaż po części wiadome.

— Dobrze — patolog usiadł wygodniej. — Słucham. Ale jeśli się pan zapędzi z ciekawością, skończymy rozmowę.

— Zgoda. Po pierwsze, badał pan zwłoki znalezione w Oleśnicy w ciągu ostatnich dwóch miesięcy. Chodzi o wypadki.

— Być może. Nie pamiętam wszystkich ciał.

— Te miały cechę wspólną. Ślady wapiennego i ceglanego pyłu na ubraniach i odsłoniętych częściach skóry.

— Rzeczywiście — lekarz wydał dolną wargę. — Przypominam sobie. Trzy ciała, na wszystkich właśnie takie substancje. Udało się wam

któregoś zidentyfikować?

— Właśnie, doktorze. To bardzo ciekawe. Żaden nie miał dokumentów, żadnej wskazówki, kim może być, żadnego, choćby najmniejszego, punktu zaczepienia. Nikt się nie zgłosił, nie pytał o nich, nie wykazał śladu zainteresowania. A przecież nie można przyjąć, iż wszyscy byli samotni, bez rodzin i przyjaciół. To bardzo dziwne. Przekazaliśmy materiały do rejestru osób zaginionych, ale sam pan wie, jak wglądają takie sprawy. Nie znaleźliśmy nawet nikogo, kto by tych ludzi gdzieś widział. Jakby spadli z Księżycy.

— Ciekawe. Oleśnica to małe miasto. Obcy chyba powinni zostać zauważeni, ktoś musi...

— To niezupełnie tak. Owszem, to nieduże miasto, dziura nawet, ale dość spora, żeby wchłonąć przyjezdnych. W końcu liczy ponad czterdzieści tysięcy mieszkańców. Poza tym mamy kwestię ruchu ludności. Może gdzieś na ścianie wschodniej w podobnej miejscowości nowe osoby wzbudzają zainteresowanie. Ale w tym rejonie Dolnego Śląska jest inaczej. W pobliżu Wrocław, nie tak znowu daleko Ostrów Wielkopolski i Kalisz, parę całkiem sporych ośrodków... Po mieście kręci się mnóstwo przyjezdnych i bawiących tylko przejazdem, parę godzin. Sam mijam na ulicach ludzi, których widzę po raz pierwszy i może ostatni. Dlatego wykrywalność przestępstw bywa u nas dość mała. Jeśli popełni je ktoś, kto zaraz wyjeżdża, naprawdę trudno coś ustalić. Ale ta sprawa jest inna. I głównie chodzi mi o te ślady. Zwrócił pan przecież uwagę, że każdy denat ma je na skórze i ubraniu. Nie zgłosił pan tego nikomu?

— Zgłosiłem. Ma mnie pan za durnia? Protokoły są chyba jasne. Wasz komendant także jest dokładnie poinformowany. A poza tym przecież sam musiał czytać dokumenty. To jego sprawa zrobić z tego użytek.

— Jasne. Ale chciałem jeszcze zapytać, jak wypadła dzisiejsza obdukcja?

— Wyniki dostaniecie jutro — patolog znów zmarszczył brwi. — Nie noszę protokołów ze sobą. Poza tym nie wiem, czy jest pan upoważniony do zapoznania się z ich treścią.

— Oczywiście. Niech jednak zgadnę. Na tych ciałach też pan odnalazł wapienny i ceglany pył.

— To pytanie czy stwierdzenie?

— Przypuszczenie. Słuszne?

— Powiedzmy, że słuszne.

— Dziękuję — Wroński uśmiechnął się. — Prawdę mówiąc, trzeba by dokładnie to zbadać.

— Może, ale nie ja o tym decyduję.

— Tak, wiem. Ale przydałaby mi się jakaś próbka do badania. Czy mógłbym liczyć na pana współpracę?

Remiszewski podniósł się.

— A mnie przydałby się roczny urlop, drogi panie — powiedział lodowatym tonem. — Dowody nie są ani moją własnością, ani pańską. A nasza rozmowa wykroczyła poza ramy towarzyskiej pogawędki.

— Rozumiem. Ale zostawię panu wizytówkę — Michał podał lekarzowi kartonik. Ten przyjął go z wahaniem — Gdyby pan jednak zechciał udzielić mi jakichś informacji, jestem zawsze osiągalny pod tym numerem komórki. I bardzo proszę o dyskrecję w sprawie naszej dzisiejszej rozmowy.

— Jakiej rozmowy? Mnie nie wolno rozmawiać z postronnymi osobami o sprawach służbowych. Panu przecież też nic nie powiedziałem.

— To oczywiste.

Wychodząc uśmiechnął się do dziewczyny. Odpowiedziała nieśmiałym skrzywieniem warg.



Protokół z sekcji rzeczywiście dotarł następnego dnia. Oczywiście Wroński otrzymał tylko ten, który dotyczył zastrzelonego. Żadnych rewelacji. Użyto strzelby niewiadomego pochodzenia. Trzeba jeszcze czekać na wyniki laboratoryjnych badań balistycznych, które pewnie tylko to potwierdzą. I tak nie uda się ustalić właściciela spluwy. Śrut gruby, dwa strzały. Coś takiego nie powaliłoby może od razu żubra, ale na człowieka wystarczyło z zapasem. Już pierwszy strzał był śmiertelny. Drugi został oddany albo odruchowo, albo dla pewności, albo żeby dodatkowo utrudnić identyfikację. A może w grę wchodziły wszystkie te możliwości. Jednak dla komisarza najważniejsze było potwierdzenie podejrzeń — na ciele ofiary znaleziono pył wapienno-ceglany. Właściwie powinien pójść z tym do starego, ale po wczorajszej rozmowie z patologiem upewnił się ostatecznie, że szef coś kombinuje. Może ktoś wywiera na niego nacisk, żeby ukręcić łeb sprawie, a może to tylko zwyczajne kunktatorstwo? Tak czy inaczej, nie ma sensu o niczym go informować. Odpowiedź może być tylko jedna: „nie wtykaj nosa w nie swoje sprawy”. Amen. Trzeba sprawdzić, czy są jakieś informacje o nieboszczykach wprowadzonych do rejestru osób zaginionych. Wprawdzie oleśnicka komenda powinna zostać natychmiast zawiadomiona, ale diabli wiedzą. Różnie bywa. Tym w Warszawie zdaje się często, że Polska kończy się na tabliczce z nazwą stolicy. Włączył komputer, wprowadził hasło i zaczął przeglądać dokumenty.

— Cholera jasna, co jest?

Nie mógł znaleźć najmniejszej wzmianki o zwłokach z Oleśnicy. Przecież nawet gdyby zostały zidentyfikowane, pozostałby w zapisach przez jakiś czas ślad, a w miejsce skąd wysłano materiał musiałyby dotrzeć informacja. A tak wyglądało, jakby nigdy nie wprowadzono danych do systemu. To mógł wyjaśnić tylko jeden człowiek.

\*

— Masz swoją sprawę, to ją prowadź — komendant wyglądał na mocno poirytowanego. Jak zawsze w takich chwilach, zacinał się lekko co jakiś czas. — A ty grze... grzebiesz w dokumentacji, jakbyś był na swoim

forwal... folwarku!

— Słyszał kiedyś pan inspektor o uzasadnionych podejrzeniach? To one są mięszem pracy policjanta.

— Daruj sobie te barw... barwne porówn... nania.

Wroński patrzył na szefa uważnie. Czuł, że w tej chwili ma nad nim przewagę, bo to komendant czuje się zagubiony, przyłapany na gorącym uczynku, na jakimś tajemniczym szwindlu.

— Dlaczego? — zapytał spokojnie, chociaż i w nim się gotowało. — Dlaczego pan ukrył dokumenty, położył łapę na tych niby nie łączących się, nieistotnych sprawach?

— Gównu cię to obchodzi — komendant mówił przez zaciśnięte zęby, żeby w ten sposób ograniczyć zacinięcie się. — Nie twój cyrk, nie twoje małpy. Dochodzenia umorzono. Koniec kropka.

— A może jednak mój cyrk? Jeśli tamte sprawy łączą się z prowadzoną przez mnie, a łączą się na pewno, mam chyba prawo, a nawet obowiązek interesować się, co dokładnie zostało ustalone. To mogłoby pomóc. Umorzenie umorzeniem, a warto by chyba jednak je wznowić, nie uważa pan?

Inspektor poczerwieniał. Michał doskonale wiedział, co się dzieje z przełożonym. Został przyparty do muru, ale prędzej połknie własny język niż powie, co sprawiło, że nie zgłosił niezidentyfikowanych zwłok do bazy poszukiwań. Postanowił dolać oliwy do ognia.

— Wie pan, szefie, że powinienem zawiadomić wydział wewnętrzny o takim zaniedbaniu?

Wiedział, pewnie, że wiedział. Podniósł się groźnie zza biurka. Zwalista postać zawisła nad Wrońskim jak groźący zawaleniem nawis skalny. Komisarz nie był ułomkiem, ale komendant zdawał się w tej chwili dwa razy większy od niego.

— Nie próbuj mi grozić, komisarzynie — wysyczał. — Nie strasz wy... wydziałem wewnętrznym. Zresztą możesz do nich pójść. Ale zapewniam, że to tobie dobiorą się do tyłka. Chociażby za niesłuchanie rozkazów.

— Ani przez chwilę nie zamierzałem ich powiadamiać — Michał zdawał się nie przejmować wściekłości dowódcy. — Tylko tak powiedziałem, żeby pan sobie nie myślał. Doskonale wiem, co jest grane. Interweniował ktoś z wysoka, może nawet z samej góry. Mylę się?

Komendant opadł z powrotem na fotel. Uśmiechnął się krzywo.

— Powinieneś pisać książki fantastyczne — powiedział drwiąco. — Wy... wymyśliłeś sobie. Kolejne zająknięcie jasno wskazywało, iż cały czas jest wzburzony. Wroński pokręcił głową, otworzył usta, żeby podrażnić jeszcze przełożonego, ale ten nie dał mu dojść do słowa. Sam przystąpił do ataku.

— Nie masz prawa łązić do współpracujących z nami patologów. Każda taka wizyta powinna być uzgodniona ze mną! Co tak patrzysz? Wiem, że wczoraj zapętałeś się do Ramiszewskiego.

— On to panu powiedział?

— On. Dzwonił dzisiaj rano.

Nieprawda, miał ochotę krzyknąć. Ramiszewski nie miał najmniejszego powodu, żeby powiadamiać komendanta.

— Jestem śledzony? — ta ewentualność wpadła mu do głowy w tej chwili. Twarz komendanta znów poczerwieniała. Trafiony zatopiony. — Kto? Kto mnie śledzi? Nikt z naszych, bo bym zauważył.

— Nie cipiej — odparł szorstko inspektor. — Nikt cię nie śle... śledzi, idioto. Powinieneś się leczyć.

\*

Stuk, stuk, stuk... człap, człap... W ciemnej przestrzeni pod niskim sklepieniem głos rozchodził się w przedziwny sposób. Wracił to z bliższej, to z dalszej odległości, mamił słuch wrażeniem, że ktoś jeszcze przebywa w pobliżu. Nieprzyjemne doznanie, ale i miejsce mało przyjazne. Miał wrażenie, jakby wtargnął do wielkiego grobowca. Wrażenie ciasnoty i mrowienie na plecach sprawiały, że zaczynał się dusić. Ale musi przecież zrobić, co do niego należy! Jak będzie się potem tłumaczył? Że porzucił obowiązki, bo bał się nieprzyjaznych ciemności?

Poruszał się ostrożnie. Nie chciał natknąć się na jakąś pułapkę, wpaść zagłębienie, nabawić kontuzji. Wchodząc tu pozostawił za plecami rozświetlone pomarańczowymi lampami ulice miasta. Ludzie jeszcze biegają w swoich sprawach, ostatnie sklepy zbierają się do zamknięcia. A on tutaj, w zupełnym mroku, znalazł się jakby w innym świecie. Nasunął na oczy ciężkie okulary, pstryknął przełącznikiem. Sinozielone światło noktowizora. Na filmach wygląda to tak, jakby urządzenie dawało doskonały obraz. W istocie rzeczy nie jest to takie proste. Ekraniki trochę śnieżą, świat zdaje się mocno zniekształcony. Trzeba do tego

przywyknąć. Jeszcze gorzej jest, jeśli trzeba używać noktowizora pasywnego. Odczytywanie plam ciepła wymaga sporego doświadczenia. Ale w takich miejscach trzeba używać maszyny aktywnej, emitującej snop podczerwonych promieni. Z jakim trudem przyszło odnaleźć wejście! A teraz jeszcze większego wysiłku będzie wymagało dotarcie do celu.

Niebezpieczeństwo, jak to zawsze z nim bywa, nadeszło niespodziewanie. Mijał boczną odnogę. Odruchowo rzucił okiem w tamtą stronę. Po chwili przystanął i znów spojrzał, z niedowierzaniem. To niemożliwe! Wszystko mówiło, że to wykluczone. Ale w sinozielonym świetle noktowizora wyraźnie dostrzegł zarys postaci. Czasem cienie sprawiają takie niespodzianki. Ale to wyglądało na człowieka! Z łomoczącym w gardle sercem podszedł pół kroku. Z jednej strony, jeśli to rzeczywiście człowiek, może być chyba tylko martwy... z drugiej nie można przecież zostawić za plecami nieznanego zjawiska. Ostrożnie zbliżał się do postaci. W tej chwili pożałował, że nie ma jednak noktowizora pasywnego. Wtedy wiedziałby, czy to coś emituje fale cieplne, czy żyje. Odruchowo wyjął pistolet. W tej chwili ujrzał dwa jarzące się ogniki. Oczy! Tak wyglądają oczy w świetle podczerwonym! Jak u wygłodniałego wilka — koszmarnie drapieżne i przerażające. Zanim zdążył odbezpieczyć broń, wrzasnął z bólu. Oślepił go silny snop światła. Tamten włączył latarkę! Zdarł z głowy okulary noktowizyjne. Przed oczami tańczyły bolesne, barwne kręgi. Nic nie widział. Był skazany na resztę zmysłów. Doleciał go dziwny, ostry zapach, na głowę niespodziewanie opadła mokra materia. Szmata nasączona czymś dziwnie cuchnącym. Pistolet wyleciał z dłoni, wytrącony silnym uderzeniem. Próbował złapać oddech, ale wciągał w płuca tylko palący opar. Świat wywinął kozła. Jeszcze próbował walczyć, ale przeciwnik był zwinny, najwyraźniej wprawiony w takich zmaganiach.

Mężczyzna osunął się na ziemię. Napastnik znów zapalił latarkę, uważnie obejrzał ciało. Położył palce na szyi ofiary, kiwnął z zadowoleniem głową. Nie żyje. Będzie to wyglądało na wypadek, jakiś zawał czy coś podobnego. Zgasił latarkę. W zupełnych ciemnościach zarzucił sobie trupa na plecy. Ruszył długim korytarzem, stąpając pewnie, omijając leżący na ziemi gruz i wybrzuszenia. Wyglądało, jakby znał tutaj każdy centymetr, każdy milimetr, ziarnko piasku. Był niczym

kapłan służący groźnemu bóstwu, któremu nie wolno zakłócać spokoju wrażym światłem. Taki kapłan musi poznać doskonale królestwo swojego pana, aby się w nim nie zagubić, a na dodatek, w razie potrzeby, doprowadzić do zguby niepożądanych gości. Musi strzec tajemnic świątyni. Każda nierówność terenu, każdy powiew powietrza z bocznego korytarza, a jeżeli nawet nie powiew to świadomość, że w tym miejscu powietrze ma nieco inną gęstość, wszystko to musi czytać sprawnie niczym dokładną mapę, a właściwie nie tyle czytać, ile czuć całym sobą pograżone w mroku otoczenie. Jakby skóra mogła widzieć więcej od oczu. Dotarł do wyjścia. Ostrożnie odsunął zabezpieczające je deski. Najpierw usunął jedną, wyjrzał na zewnątrz, potem ruszył resztę. Wyciągnął trupa przez otwór, potem staranie zamaskował otwór. Gęste krzaki w ciemnym parku stanowiły znakomitą osłonę. Znów zarzucił sobie ciało na plecy, poszedł do stojącej przy wejściu do parku półciężarówki. Wrzucił ofiarę na tył auta. Uważnie zlustrował otoczenie. Gdyby ktoś ujrzął jego poczynania, musiałby umrzeć. Jednak nie dostrzegł niczego podejrzanego. Wsiadł do szoferki, przekręcił kluczyk w stacyjce. Silnik pracował cicho. Ruszył powoli, starając się robić jak najmniej hałasu.

\*

Marszałek Winogradow zmiął w ustach przekleństwo. Spojrzał na wielką mapę Europy, wiszącą na ścianie, upstrzoną kolorowymi szpilkami. Wiadomości z Polski były nad wyraz niepomyślne. Kolejna próba operacyjna spaliła na panewce.

— Swołocze — warknął. — Mielście pilnować, żeby tam nikt się nie kręcił oprócz was.

Major, wyprężony jak struna, wodził wzrokiem za krążącym po pokoju dowódcą.

— Melduję, obywatelu marszałku — wydusił przez ściśnięte gardło — że to nie nasza wina.

— Jak to nie wasza wina? Co wy sobie wyobrażacie? Kto będzie odpowiadał przed prezydentem za niepowodzenie operacji? Ty, Malinin? A może twoi lejtnanci? Gównno! Ja muszę świecić oczami. A wiesz ty, co znaczy stanąć przed Pierwszym i powiedzieć mu, „wybaczcie Władymirze Iwanowiczu, ale ponieśliśmy porażkę”? Wiesz, jak to jest? Zesrać się można ze strachu. On nie da się nabrać na głupie tłumaczenie.

Za duże ma pojęcie o naszej robocie.

Oleg Malinin pomyślał, że tak to już jest, kiedy na prezydenta wybierze się kagebistę. Sam pracował w tym resorcie dość długo, by wiedzieć, co potrafią wyżsi oficerowie, a takim przecież był przez wiele lat przywódca państwa. Człowiek to dla niego tylko mięcho. Życie ludzkie nie jest warte funta kłaków, a cierpienie nie istnieje.

— Dobrze pan wie, Mironie Pawłowiczu — odważył się znów zabrać głos — że w Oleśnicy nigdy nie mieliśmy należytej swobody ruchu. Wszystko przez wywiad niemiecki. Nawet wschodnie Niemcy, gdy jeszcze istniały i były od nas uzależnione, bruździły w tamtym rejonie nie bacząc na nic.

Winogradow przygryzł wąż. To fakt. Stasi, zawsze posłuszna towarzyszom z Moskwy, stawiała dziwny opór jeśli chodziło o niektóre tereny Rzeszy przyłączone po drugiej wojnie do Polski. Koniec końców nic w tym dziwnego. Służby specjalne NRD, cały aparat szpiegowski, oparty został na byłych pracownikach nazistowskiego aparatu bezpieczeństwa. A dla nich Dolny Śląsk, Prusy Wschodnie czy Pomorze zawsze pozostały niemieckie. Nie na darmo właśnie tam ukryli lwią część swoich archiwów, a nawet zawartość kas armijnych, klejnoty i dzieła sztuki. Teraz było jeszcze ciężiej, odkąd Polska uwolniła się spod prymatu Rosji. Jednak to nie powód, żeby agenci nie potrafili sobie poradzić w trudnym terenie!

— Słuchaj, majorze. Mamy tam chyba dość ludzi. Co więcej, mamy ich wszędzie, we wszystkich strukturach. Państwowa kiesa może być pusta, ale dla szpiegów zawsze znajdzie środki. Utrzymujemy placówki nie po to, żebym wysłuchiwał twoich utyskiwań i tanich wykrętów. Mają być wyniki, bo inaczej polecą głowy, a twoja wcale nie na końcu. Zrozumiano?

— Tak jest!

Malinin stuknął obcasami. Dziadyga wziął się uczynić właśnie jego odpowiedzialnym za operację w Oleśnicy. Myśli, że tak łatwo kierować akcją w gąszczu i ciasnocie, jaka tam ostatnio zapanowała?

— Musimy być niezwykle ostrożni — powiedział. — W razie jakiejś wpadki Polacy podniosą straszny krzyk. A pomogą im Amerykanie i Angole. Skandal na cały świat...

— Nie pieprz, Oleg — przerwał rozdrażniony marszałek. — Nie

będzie żadnego krzyku. Im samym zależy na maksymalnej dyskrecji. Wrzeszczeć to mogą zacząć dopiero, kiedy my położymy łapę na materiałach.

— Jeżeli tam w ogóle są — uzupełnił major.

— Są! Muszą przecież gdzieś być. Wszystko wskazuje, że to bardzo prawdopodobne miejsce.

— Działamy na wyczucie...

— Oleg — głos marszałka nabrał groźnych tonów. — Znów pieprzysz głupoty. Chcesz podważyć ustalenia naszych analityków. To idź od razu do Jury Kalembacha i powiedz mu, że jego wydział działa na wyczucie. Najpierw dostaniesz po mordzie, a potem załatwi ci degradację i ciepłą placówkę na Magadanie, skąd nie wygrzebiesz się do samej emerytury. Sztab najlepszych ludzi nad tym pracuje, wyciąga wnioski, a ty bredzisz o intuicji.

Zatrzymał się tuż przed podwładnym, spojrzał mu prosto w oczy.

— Musisz tam mieć jeszcze kogoś pewnego, kto nie boi się roboty ze spluwą czy nożem. Ale nie myśliciela ze skłonnościami do przekombinowywania, tylko prawdziwego rezuna. Z wyczuciem, inteligentnego, ale przede wszystkim skutecznego.

— Mam takiego — Malinin uśmiechnął się. — Pamięta pan Wiktora Wereszczako?

— Tego, co trafiał w pięciokopiejkówkę z dziesięciu metrów? Pamiętam.

— Tego samego. Miesiąc temu pojechał z konwejerem do Wrocławia na kontakt. Po polsku umie dobrze. Zresztą akcent akurat niewiele przeszkadza. Tam przecież pełno Ukraińców i naszych. Wtopił się.

— O widzisz — Winogradow klepnął w ramię majora — to mi się podoba. Bez jęczenia i pitolenia robić swoje. Trzymaj rękę na pulsie, Oleg. I melduj o każdym ruchu przeciwnika.

Piąty trup leżał w śmietniku między domami przy ulicy Bocianiej. Znalazł go wcześniej rano emerytowany nauczyciel, który wybrał się na spacer z psem. Tak się złożyło, że Wroński miał akurat nocną służbę. Zaszczyt ten spotkał go trzeci raz w ciągu dziesięciu dni, zapewne w związku z zatargiem między nim a komendantem. Ale tym razem był zadowolony. Na tyle, na ile można być zadowolonym patrząc na nieboszczyka.

— Wygląda na zgon z przyczyn naturalnych — Lekarz schował do walizki niepotrzebny stetoskop. — Zawał serca albo udar mózgu. Żadnych śladów przemocy, przynajmniej na pierwszy rzut oka.

Wroński klęknął przy zwłokach. Uważnie obejrzał ubranie. Czysty facet w niezłym garniturze. Czego by taki szukał w śmietniku? Może to następny z serii? Nieistniejącej oficjalnie serii zgonów. Mało nie krzyknął z radości. Jest! Dostrzegł wyraźny biały ślad na rękawie, z jasnoczerwonymi smugami! Ciągnie się do ramienia, znika pod barkiem, pewnie jest tego sporo na plecach. Trzeba by zabezpieczyć dla siebie coś takiego. Ale jak? Przecież nie wyrwie kawałka materiału. Myślał gorączkowo. Za chwilę jak nic zjawi się stary z ekipą. Na pewno już ściągnęli go z łóżka, żeby osobiście wszystkiego dopilnował.

Zastanowił się. Kieszenie ma puste, pęta się gdzieś tylko foliowa zamykana torba na dowody... Zerknął za siebie. Lekarz zajęty był zapalaniem papierosa. Odwrócił się tyłem, bo podmuch powietrza, ciągnący od Bramy Wrocławskiej, uparcie gasił płomyk zapalniczki.

— Gdzie ten denat? — zahuczał głos komendanta.

— Tutaj, szefie — Wroński wyprostował się. — Ale standard. Wygląda na wypadek. Jak zazwyczaj. Brak dokumentów, dziwne miejsce, zgon nastąpił w nocy. Typowy zupełny przypadek. Normalnie i bez rewelacji.

— Daruj sobie sarkazm, komisarzu — inspektor zajrzał do betonowego boksu śmietnika. — Możesz już iść do domu. Miro się tym zajmie.

Michał wyduł wargi. Miro! Ten ustali dokładnie tyle, ile mu rozkaże



stary. A najprawdopodobniej nie dojdzie zupełnie do niczego. Ma gdzieś pracę.

Lekarz wszedł, prowadząc ludzi z noszami. Sprawnie położyli na nich trupa, unieśli, na ziemię opadła krzyżakowa konstrukcja ze stalowych rurek, wysunęły się kółka.

— Zaraz — powiedział lekarz. — Przysięgłbym, że ten gość miał różową chusteczkę w butonierce. Nie zwrócił pan uwagi? — Popatrzył na Michała.

Wroński wzruszył ramionami.

— Nie zwróciłem. Ale jeżeli była, powinna gdzieś leżeć. Myśli pan, że to ważne?

— E, nie. — Doktor machnął ręką. — Może zresztą coś mi się przywidziało.

— To ja idę, skoro nie jestem potrzebny.

Komendant odprowadzał Wrońskiego podejrzliwym spojrzeniem. Otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć, może zatrzymać podwładnego, ale zrezygnował. Skinął na Mira. Ten natychmiast wyjął notes i powłókł się rozpytać mieszkańców okolicznych domów.

\*

Magda oczywiście była obrażona. Nie krzyczała, nie wypominała, ale też nie odzywała się zupełnie. Dla niej częste nocne służby męża były lepszym świadectwem zdrady niż gdyby jej ktoś dostarczył zdjęcia z intymnych spotkań.

Patryk zbierał się już do szkoły. Porwał drugie śniadanie, w uszy wcisnął słuchawki odtwarzacza.

— Aha, tato! — Cofnął się od progu. — Dzisiaj jest wywiadówka.

— Mama pójdzie. — Odparł Michał. — Ja mam po południu trochę pracy.

Magda łypnęła wściekle. Na końcu języka miała odpowiedni komentarz, ale przypomniała sobie, że nie rozmawia z mężem, trzasnęła więc ostentacyjnie drzwiami od kuchni.

— Tato — szepnął Patryk — będziecie się rozwodzić?

Wroński zeszywniał. Skoro już chłopak zadaje takie pytania, jest naprawdę niedobrze.

— Na razie nic o tym nie wiem — uśmiechnął się z przymusem. — Mama na pewno też nie.

— Ale ja słyszałem jak wczoraj cioci Agacie mówiła przez telefon, że się z tobą rozwiedzie, bo ją stukasz po rogach. Co to znaczy stukać po rogach?

— To taki żart, synku. Mama tylko żartowała. No, leć już, bo się spóźnisz.

Westchnął ciężko. Trzeba porozmawiać z żoną. Nie może wciągać w ich sprawy postronnych osób, a już na pewno nie powinna dopuścić, żeby coś podobnego usłyszał dzieciak. Tylko czy rozmowa może jeszcze cokolwiek między nimi wyjaśnić? Tym bardziej, że powinien w końcu uświadomić żonie parę rzeczy, a jedną w szczególności. A do tego, prawdę mówiąc, jakoś mu się nie spieszyło. Wolał spotkać się nocą twarzą w twarz z bandziorem niż poruszyć ten temat.

\*

O szóstej po południu komenda już opustoszała. Jedni skończyli pracę, a ci, którzy przyszli na drugą zmianę w większości wyjechali w teren. Leniwa, senna atmosfera, która akurat jemu zawsze pomagała myśleć. Wyjął z kieszeni marynarki foliową torebkę. Różowy, a właściwie bardziej wrzosowy materiał wewnątrz wyraźnie przybrudzony został białawym nalotem. Rzucił pakunczek na biurko. Trzeba rozważnie wykorzystać zdobyty ślad. Nie można tego posłać po prostu do laborantów w województwie. Na pewno natychmiast znajdzie się ktoś, kto doniesie komu trzeba. Musi uważać. Stary czeka tylko na jakieś potknięcie, które pozwoli odsunąć go od spraw, może wysłać na przymusowy urlop. Co z tym zrobić? Podniósł słuchawkę, wykręcił numer, ale zaraz przerwał połączenie. Nie może przecież dzwonić z pracy. Diabli wiedzą, czy ktoś nie podsłuchuje rozmów, nie notuje każdego wypowiedzianego słowa. Skoro był śledzony podczas wizyty u patologa, może być na widelcu także teraz. Co więcej, miał wewnętrzne przekonanie, iż na pewno znajduje się pod lupą. Był nieco zdezorientowany. Z jednej strony zdawał sobie sprawę, że dzieje się coś tajemniczego, czym zainteresowani są wyżsi funkcjonariusze służb być może nie tylko policyjnych, z drugiej nie miał pojęcia, o co w tym wszystkim może chodzić. To już sześć trupów. Co prawda tylko jeden był ewidentnie ofiarą przemocy, ale Wroński był pewien, iż pozostali tajemniczy nieboszczycy muszą mieć ze sobą coś wspólnego. Rzetelna analiza zabezpieczonego podstępem materiału mogłaby tutaj coś

wyjaśnić.

Wyjął z kieszeni telefon komórkowy i mały notes. Szybko znalazł odpowiednią stronę, wstukał numer. Był już pod kreską, bo kilka dni temu przekroczył wartość abonamentu, ale czego się nie robi dla idei.

— Adaś? — powiedział, kiedy z drugiej strony odezwał się męski głos. — Tu Michał Wroński. To dobrze, że mnie poznajesz. Czułbym się urażony, gdyby było inaczej. Jeszcze siedzisz w pracy? Tak, ja też. Służba nie drużba. Słuchaj, stary, chciałbym ci przesłać materiał do badania. Jest tylko jeden szkopuł. To prywatna prośba, nikt nie powinien się o tym dowiedzieć. Lepiej nie pytaj, dlaczego. „Dlaczego” bywa niebezpiecznym pytaniem. I niepotrzebnym. Dobra, wiem że to nie Ameryka, a ty się wyliczasz z każdego miligrama odczynników. Ale ta sprawa jest wyjątkowa. Jeszcze cię o podobną przysługę nie prosiłem, więc musi być ważna — Słuchał przez chwilę. — Jakbym mógł dać materiał naszym dawno bym to zrobił. Tak, człowieku, będzie chryja, jak ktoś nas na tym przyłapie. Oczywiście, możemy stracić robotę. Mogą nas też postawić przed sądem, zmarnować resztę życia. To jak będzie? — Znów zamilkł, a potem uśmiechnął się szeroko. — Wiedziałem! Prześlę ci to na adres domowy listem z priorytetem, okej? Jeszcze dzisiaj nadam. Albo nie... — zreflektował się. Przecież musi zachować maksimum ostrożności — jutro rano. A ty wyniki wrzucisz mi na maila jak tylko je będziesz miał. Nie, nie służbowego. Podam w liście adres prywatnej skrzynki. No, to trzymaj się i z góry dzięki.

Odetchnął głęboko. Rozpoczynając rozmowę wcale nie był pewien, że Adam zgodzi się na podobny numer. Znali się jeszcze z czasów oficerskich studiów w Szczytnie. Adaś nie był typowym elewem. Przypominał raczej zwykłego żaka jakiegokolwiek innej uczelni. Skory do zabaw i popijawy, naukę traktował nieco lekceważąco. Ale był znakomitym chemikiem, więc dowódcy przymykali oko na liczne wybryki. W czasie zjazdów Wroński mieszkał z nim w jednym pokoju. Zaprzyjaźnili się, bo jakoś pasowali do siebie, obaj krnąbrni i z niechęcią poddający się rozkazom. Tyle tylko, że Adaś poszedł później pracować w Centralnym Laboratorium Kryminalistyki, zgodnie z zainteresowaniami, a Michał wrócił do swojego miasta paprać się w zwyczajnej policyjnej robocie, chociaż też by wolał robić co innego. Zrzucił papiery z klawiatury na stół, włączył komputer i wszedł w internet. Na jednej z

najpopularniejszych domen założył skrzynkę mailową. A jutro trzeba będzie się kimś wyręczyć na poczcie.

Ledwie zgasił maszynę, drzwi otworzyły się. Weszło dwóch nieznanym mu ludzi. Flip i Flap, przeleciało komisarzowi przez głowę. Jeden był wielki i nie tyle może gruby, co potężny, drugi sporo niższy, chuderlawy. Błyszeli legitymacjami.

— Wydział spraw wewnętrznych — odezwał się mniejszy. — Od razu przejdę do rzeczy. Istnieje podejrzenie, że ukrywa pan dowody znalezione na miejscu przestępstwa.

— Co to znaczy? — spytał zaskoczony. — Jakiego przestępstwa?

— Tego, które miało miejsce dziś w nocy przy ulicy Bocianie w Oleśnicy.

— Tam miało miejsce jakieś przestępstwo? — udał zdziwienie. — Z tego, co wiem, to był wypadek. Atak serca, zawał czy udar mózgu. Po co miałbym stamtąd zabierać jakieś pierdółki?

Teraz do akcji wkroczył większy nadpolicjant.

— Proszę nie dyskutować! — rzekł stanowczym tonem. — Czy miejsce przestępstwa, czy tylko zdarzenia, mamy obowiązek pana sprawdzić. Mógł pan ukryć coś istotnego, ważnego dla wyjaśnienia okoliczności. Ma pan na pewno coś na sumieniu. To podejrzane, że siedzi pan w pracy, mimo iż jest już po służbie.

— Podejrzane? — Michał wytrzeszczył na niego oczy. — Nie słyszał pan nigdy o obowiązku wobec obywateli? Prowadzę sprawę zabójstwa. To nie kradzież roweru, trzeba poświęcić dochodzeniu nieporównanie więcej czasu. Społeczeństwo...

— Bez kpin, proszę — warknął tamten. — Nie pieprz, człowieku tylko oddaj, co zabrałeś.

— A co zabrałem?

— Już ty wiesz. Oddawaj!

— Zanim zaczniemy kontynuować naszą miłą konwersację — powiedział Wroński siląc się na spokój — są dwie bardzo ważne sprawy.

— Słuchamy.

— Po pierwsze chcę jeszcze raz zobaczyć wasze legitymacje, a szczególnie pańską, panie duży — Funkcjonariusze niechętnie i z ociąganiem sięgnęli do kieszeni. Obejrzał uważnie dokumenty, zanotował nazwiska i numery służbowe. A nuż się to kiedyś na coś

przyda, a teraz na pewno zirytuje tych ważniaków. Nadkomisarz Janusz Wolicki i komisarz Wiesław Protasiuk. W myślach i tak ich będzie nazywał Flipem i Flapem. — Dziękuję. A teraz druga rzecz. Nie pamiętam, żebyśmy chodzili razem do księdza na jabłka — zwrócił się do mniejszego, wskazując wielkoluda. — Jeżeli ten King Kong jeszcze raz powie do mnie nieregularnie chociaż jedno zdanie, jutro napiszę skargę do waszego przełożonego. Nawet do samego ministra.

— A pisz sobie... — Wielkolud umilkł, szturchnięty przez kolegę.

— Dobrze — powiedział mniejszy. — Papiery pokazaliśmy drugi raz, wysłuchaliśmy życzenia, a teraz poprosimy dowód.

— Co to ma być konkretnie?

— Pan powinien wiedzieć najlepiej! Ale dobrze, skoro mamy tak się przekomarzać, powiem. Różowa chustka z kieszeni marynarki denata.

Wroński parsknął śmiechem. Tylko on wiedział, ile go kosztowało takie zachowanie. Zawodowa przyszłość właśnie zawisła na włosku.

— Czy mój komendant wie o waszej wizycie?

— Oczywiście. Chce pan do niego zatelefonować?

Pokręcił głową. Nie należy przesadzać. Może to właśnie stary nadał im tę robotę. Dziwne tylko, że sam się tym nie zajął, ale od razu ściągnął arcystroży z wewnętrznego.

— Chustka, powiada pan? Różowa?

— Chustka, powiadam — odpowiedział z przekąsem Flip. — Różowa.

— Pierwsze słyszę. Ale jeśli chcecie, szukajcie — wskazał zawalony papierzyskami blat biurka.

Większy pokręcił głową.

— Nie z nami takie numery, kochasiu... komisarzu — poprawił się natychmiast. — Chcesz nas wpuścić w maliny? Na pewno masz to przy sobie. Chustka nie walec drogowy, zmieści się do kieszeni.

— Bardzo błyskotliwe porównanie z tym walcem — uśmiechnął się Michał. — Na miarę, a raczej wagę inteligencji — słyszał jak Flap wciągnął ze świstem powietrze. Gdyby mógł, zatłukłby Wrońskiego gołymi pięściami. — Mam rozumieć, że chcecie mi zrobić osobistą?

— Nie chcemy — odparł niższy — jeśli nas pan do tego nie zmusi. Proszę oddać dowód.

Wroński sięgnął do kieszeni marynarki. Wewnętrzni uśmiechnęli się

triumfalnie. jednak ich uśmiechy zgasły, kiedy komisarz podał im niedużą plastikową, sztywną kartę.

— Co to ma być? — wykrztusił duży.

— Dowód. Osobisty. Chciał pan przecież, żebym oddał dowód.

— Jaja sobie będziesz z nas robił? — warknął mniejszy. — Ręce na biurko, stawaj w rozkroku! I módl się, żebyśmy niczego nie znaleźli!

Komisarz bez pośpiechu wykonał polecenie funkcjonariusza. Cierpliwie czekał, aż przetrząśnie mu kieszenie, obmaca całe ciało. W tym czasie duży szperał bez przekonania po szufladach.

— Mam teraz zdjąć majtki, pochylić się i stanąć w rozkroku? — Spytał, kiedy skończyli. — Takie zabawy też lubicie?

Pierwszy raz widział, jak ktoś tak mocno trzęsie się ze złości. Flap mało nie eksplodował stekiem wyzwisk. Powstrzymało go jedynie surowe spojrzenie partnera.

— Jest pan czysty — oznajmił Flip. — Przynajmniej na razie. Ale będziemy się panu uważnie przyglądać.

— Nie ma sprawy. A teraz chciałbym zostać sam. Muszę tu trochę ogarnąć — wskazał bałagan na biurku.

Bez słowa skierowali się ku drzwiom.

— Proponuję jeszcze zajrzeć do mojego domu — rzucił za nimi. — Może ukryłem to na trzeciej półce pod bielizną?

— Tam już tam byliśmy.

## 6

Został sam. Niby powinien odczuwać satysfakcję, że wewnątrzni odeszli z niczym, ale zamiast tego czuł przygnębienie. Zrobili w mieszkaniu rewizję. Cudownie. Magda pewnie jest jeszcze bardziej wściekła niż zwykle. Wygrzebał ze stosu kartek torebkę z chustką. Jak to jednak czasem bałaganiarstwo bywa błogosławieństwem. Nawet przez myśl im nie przeszło, że poszukiwany przedmiot może się poniewierać beztrudno w takim bajzlu. Swoją drogą, coraz mniej rozumiał, o co w tym wszystkim może chodzić. Za to ogarniał go coraz większy niepokój.

Spał bardzo kiepsko. Przez całą noc miał przed oczami trupa w śmietniku i wrzosową chustkę. Dopiero bardzo późnym wieczorem, tuż przed położeniem się do łóżka, dotarło do niego z całą mocą, że tylko cudem uniknął wpadki. A poza tym miał trudności ze snem, bo po wizycie funkcjonariuszy poszedł do Jurka. I prawie do północy porządzili jak się patrzy.

Ranek przywitał z ulgą. Względna ulgą, bo ledwie za Patrykiem zamknęły się drzwi, żona natychmiast włączyła nadajnik.

— I gdzie się szlajałeś wczoraj? Pewnie łajdaczyłeś się u kochanki. W domu nie chcesz siedzieć, bo żona się znudziła. Jesteś taki sam jak wszyscy! Tylko za dupami byś latał! A tutaj była rewizja. Co ty nawywijałeś? Może znaleźli u ciebie jaką pornografię? Naoglądasz się tego na internecie, a potem biegniesz do tej suki ulżyć sobie.

To byłoby nawet zabawne, pomyślał, gdyby nie dotyczyło mnie. Jeśli wziąć teksty Magdy z dystansu, spojrzeć na całość sytuacji, okazują niesamowicie absurdalne. Jak skecze Monty Pythona.

— U Jerzego byłem! — przerwał jej monolog. — Dobrze podpity wróciłem, nie zauważyłaś?

Nie słuchała. Dalej trajkotała swoje.

— Mam kłopoty w pracy — przekrzyczał ją. — Mogą mnie zwolnić.

Chwilę trwało, zanim dotarło do niej znaczenie słów. Jak rozpędzona lokomotywa jeszcze przez chwilę coś mówiła, żeby wreszcie powoli umilknąć.

— Jak to?

— Tak to. Mam kłopoty. A ty mi nie pomagasz. W dodatku rozmawiasz przy małym z jakimiś obcymi ludźmi o rozwodzie.

— Nie z obcymi, tylko z moją siostrą.

— Dla mnie to obcy — odparł ze złością. — Widuję babę parę razy w roku, więc nie uważam, żebyś miała prawo informować ją o wszystkim, co się u nas dzieje. Nie życzę sobie.

Mówiąc te słowa, wiedział, co za chwilę nastąpi. Magda była niezwykle czuła na punkcie rodziny. Koszmar rozpoczął się, kiedy tylko złapała oddech. Szła za nim do przedpokoju wylewając potok słów. Okropność. Gdzie się podziała ta słodka Madzia, którą poznał po maturze? To była zwiewna, krucha istota, nieśmiała i zahukana, przepraszająca świat za wszystko, co robi i czego nie robi. Potem nabrała trochę twardości. Życie zawsze uczy, jak sobie radzić, ale cały czas pozostawała tą samą miękką, uroczą kobietką. A potem nagle się zmieniła, całkiem niedawno. Tak jakby w pewnym momencie odbiła się od jakiejś życiowej przeszkody i zaczęła płynąć pod prąd własnej duszy.

Wyszedł, zostawiając ją za drzwiami, zgorzkniałą, przekonaną, iż niewierny mąż idzie do kochanicy. Szlag by to, zaklął w duchu. Zamiast wyjaśnić sytuację, wymóc na żonie, żeby nie straszyla dzieciaka, wywołał nowy konflikt. Tylko dlatego, że nie potrafi utrzymać języka za zębami. Słusznie powiedział komendant. Kiedyś sobie własnym jęzorem zrobi poważną krzywdę.

Wrócił do domu. Magda jeszcze nie zdążyła ochłonać.

— Słuchaj uważnie, tylko nie wrzeszcz teraz. Mam do ciebie prośbę. To bardzo ważna sprawa, więc potraktuj serio co powiem i schowaj do kieszeni złość. Przynajmniej na razie... Ale wyjdźmy na korytarz.

— Dlaczego? — zdumiała się.

— Sam nie wiem. Na wszelki wypadek. Czasem ściany lubią mieć uszy.

Tak naprawdę chciał mieć pewność, że żona nie zacznie znowu jazgotać. W blokowej sieni na pewno się nie odważy.

\*

— Wysłałem — powiedział Jurek. Miał spuchniętą po przepiciu twarz. Pewnie po wyjściu Michała wyjął następną flaszkę. — Nadal nie bardzo rozumiem, dlaczego sam nie mogłeś tego zrobić.

— Nie chłaj tak beznadziejnie — powiedział Wroński — bo



skończysz jak Miro. Gość ma już dziury w mózgu.

— Z tobą przecież piłem.

— Ze mną, a potem beze mnie, do lustra. Tak nie wolno.

— Sram na wszystko — Jurek machnął ręką. — Jakby stara ode mnie nie odeszła, to bym nie pił.

Wroński westchnął. Jakbyś się nie puszczał na prawo i lewo z każdą napotkaną babką, Jolka siedziałaby przy tobie. Nic jednak nie powiedział. Lubił Jurka. Mógł go chyba nawet nazwać przyjacielem.

— Nie odpowiedziałeś — przypomniał sobie partner. — Dlaczego sam tego nie wysłałeś?

— Takie przysłowie jest. Kto mniej wie, lepiej śpi.

— To się wiąże z tą sprawą, którą prowadzisz? Zazdroszczę ci trochę tego truposza, bo zawsze to jakaś odmiana, prawdziwe zabójstwo. Mnie stary rzucił kupę papierów z kradzieży samochodów.

— Nie wiem, czy się wiąże, ale raczej jak. Ale dzięki twojej pomocy w wysłaniu listu mogę się dowiedzieć czegoś ważnego.

— No to jestem zachwycony. Patrz — powiedział ze zdziwieniem — mam tutaj nawet jakieś pilne zapytania z Interpolu o audi i opla. Jakby nie wiedzieli, że jeśli Szwabowi zginie samochód we wtorek, w czwartek jest już w Kijowie albo pod Moskwą. I szukaj wiatru w polu. Ruscy mają gdzieś takie sprawy. Ich prokuratorzy sami nieźle korzystają z tego złodziejstwa.

— Ale swoje zrobić musimy. Kiedyś rozmawiałem z jednym gliną z Interpolu. Tam ludziom samochodówki też wychodzą bokiem, ale nie mają wyjścia. Im zawracają gitarę gliny z zagranicy, a oni nam. Myśleli, że jak powstanie ten sławetny Europol to ich odciąży. Ale nie odciążył.

Zadzwoił telefon. Jurek odebrał, podał bez słowa słuchawkę Michałowi.

— Rozmowa do ciebie — powiedział dyżurny. Ciche pstryknięcie i kulturalny, starannie modulowany głos — Halo. Czy mogę rozmawiać z panem Wrońskim?

— Przy telefonie.

— Z tej strony Ramiszewski.

— Poznaję. W czym mogę pomóc?

— Chciałbym, jeśli to możliwe, żeby przyjechał pan do mnie dzisiaj po pracy. Czy o siedemnastej byłoby możliwe?

— Oczywiście, panie doktorze — odparł zupełnie zaskoczony. Nie przypuszczał, że wielkie panisko, lekarz sądowy, zadzwoni do podrzędnego gliny.

— Mam dla pana pewne informacje...

— Domyślam się — przerwał gwałtownie, zanim tamten powiedział coś więcej. Przecież to służbowy telefon! — Porozmawiamy po południu. Dziękuję za zaproszenie.

\*

Komendant siedział za biurkiem, jednak nie rozwalony w fotelu, jak zwykle, ale prosto, prawie na baczność. Na widok Wrońskiego zrobił marsową minę, wskazał mężczyznę siedzącego na krześle przy oknie.

— Inspektor Marek Baliński — rzekł uroczycie, jakby oznajmiał wejście króla.

Mężczyzna wstał, podszedł z wyciągniętą ręką do Wrońskiego. Był wysoki i szczupły, w doskonale skrojonym garniturze.

— Baliński — przedstawił się. Miał mocny uścisk.

— Pan inspektor został oddelegowany z komendy wojewódzkiej, żeby nadzorować sprawę śmiertelnych wypadków, jakie ostatnio miały miejsce na naszym terenie. A chodzi szczególnie o tego zastrzelonego.

— Podejrzewam, że to coś więcej niż jakaś miejscowa wendetta — wyjaśnił gość.

— To nie znajdzie pan zrozumienia u mojego komendanta. Ja też to podejrzewam, ale szef nie chce przyjąć do wiadomości oczywistych rzeczy, sam nie wiem, dlaczego.

Przysięgłby, że słyszy jak stary zazgrzytał zębami. Świetnie, wredny grzybie, pomyślał, za nasłanie na mnie wewnętrznych.

— Naprawdę? — Baliński uniósł brwi.

— Komisarz Wroński prowadzi właśnie tę sprawę — pospieszył z odpowiedzią komendant. — Jak zwykle ma własne pomysły... i niewyparzoną gębę.

— Rozumiem. Co pan może powiedzieć o postępach w dochodzeniu, panie komisarzu?

— Niewiele — Michał wzruszył ramionami. — Czasu miałem za mało, a zresztą nie mam jeszcze wszystkich wyników badań medycznych i technicznych. Pan też jest z wydziału wewnętrznego?

— Dlaczego? Co panu przyszło do głowy? I dlaczego też?

— A, widzi pan — mówiąc patrzył nie na Balińskiego, ale wbił wzrok w komendanta — miałem wczoraj wizytę dwóch rozrywkowych panów z tego wydziału. Ktoś im doniósł, że ukryłem czy przywłaszczyłem jakiś dowód. Chusteczkę konkretnie. Zrobili mi rewizję w gabinecie i w domu.

— Znaleźli coś?

— A czy byłbym dzisiaj tutaj, gdyby znaleźli?

— Tak — roześmiał się oficer. — Głupie pytanie.

— Co ciekawe — Wroński nie zważając na zmarszczone brwi i chrząknięcie starego, ciągnął dalej — miałem podobno zabrać dowód z miejsca, w którym znaleziono zmarłego podobno na serce człowieka. Może mi pan powiedzieć, po cholere miałbym zabierać coś z takiego?

— Nie wiem, może kolekcjonuje pan chusteczki. A tak poważnie, słyszałem o tym. Powiadomiono mnie, zanim tu dotarłem, że będę miał do czynienia z jakimś krnąbrnym gliną. Ale ta sprawa z wewnętrznymi jest na pewno tylko żalosnym nieporozumieniem.

— Żalosne to są, owszem, ale ich metody.

— Komisarzu — chrząknął komendant — brudy należy prac w własnym domu, nie przy obcych.

— Jakie brudy? — Michał wytrzeszczył oczy. — Ja tylko...

— Pan inspektor — stary prędko wpadł mu w słowo — chce mieć dostęp do całej dokumentacji. Nie tylko tego zabitego, ale także pozostałych niewyjaśnionych zgonów.

— Czyli do dokumentów, w które ja nie mam prawa zaglądać? Ciekawe.

Tym razem zgrzytnięcie zębów było już wyraźnie słyszalne.

— Jeśli pan pozwoli — powiedział Baliński, wstając — skorzystam z pana biurka. Nie chcę przeszkadzać panu komendantowi, zalegając mu tutaj.

— Jasne — Wroński otworzył mu drzwi, puścił przodem.

\*

Człowiek z komendy wojewódzkiej wydawał się miłym facetem, ale o prawdziwej policyjnej robocie pojęcie miał raczej mgliste. Kiedyś przy kieliszku ktoś powiedział, że ci z wierchuszki są oderwani od rzeczywistości. Patrząc jak Baliński grzebie w papierach, Michał musiał przyznać rację temu twierdzeniu.

— Panie inspektorze — zlitował się wreszcie — niech pan przejrzy

te papiery pod kątem raportów medycznych. W nich najprędzej można coś znaleźć.

Jerzy z kolei patrzył na gościa jak na raroga. Pewnie zastanawiał się, czego może chcieć taka figura w zwykłej powiatowej dziurze, w ciasnym pokoju zwykłych funkcjonariuszy. To nie wróżyło nic dobrego. Z zajadłością godną lepszej sprawy przerzucał swoje samochodówki, robiąc wrażenie, jakby był pogrążony w pracy bez reszty,

— Widzi pan? — Wroński ułożył obok siebie protokoły z obdukcji — Teraz proszę czytać zdanie po zdaniu. Na pewno znajdzie się coś ciekawego.

— Pan to już robił z tym materiałem?

— Skąd! — zachnął się Michał. Jeszcze tego brakowało, żeby się zwierzał wyższemu oficerowi, że dzień wcześniej włamał się do biurka innego wyższego oficera. — Ale sam czasem stosuję taką metodę, jeśli jest więcej papierów.

Inspektor pogrążył się w lekturze. Jurek spojrzał pytająco, Michał wzruszył ramionami, potem dał znak oczami, żeby spotkać się za drzwiami.

— Co to za cyrkowiec? — spytał Jerzy. — Wygląda jakby pierwszy raz widział policyjne teczki.

— A może jakby bardzo dawno ich nie widział. Niby wie, co z czym, ale coś mu nie idzie.

— Trzeba uważać. Nie lubię takich oficerków. Pies jaja rzadziej liże niż on swoją fryzurkę. Luluś jeden.

— To uważaj, jak chcesz — odparł Wroński. — Z nas dwóch to ty miewasz ciągoty do ujawniania tajemnic służbowych.

Jurek skrzywił się na wspomnienie przykrej sytuacji. Kiedyś, chcąc zaimponować pewnej panience, opowiedział jej o dochodzeniu przeciwko siatce dilerów. Pech chciał, że panienka okazała się stałą klientką jednego z nich. Akcja oczywiście spaliła na panewce. Tylko Wroński wiedział o tej wpadce i zatrzymał informację dla siebie. Inaczej Jurek już by w policji nie pracował.

— Do końca życia będziesz mi to wypominał?

— Do końca — Wroński poważnie skinął głową. — Inaczej zapomnisz i zrobisz kolejny taki numer.

Pod domem Ramiszewskiego wylądował za kwadrans piąta. Gdyby chodziło o kogo innego, zadzwoniłby do drzwi bez wahania. Ale lekarz wyglądał na jednego z tych akuratnych ludzi, którzy cenią sobie bezwzględność punktualności. To znaczy przyjdzie dokładnie o czasie, ani minuty wcześniej, ani później. Wroński poszedł więc w stronę Mostu Grunwaldzkiego. Szum samochodów zagłuszał myśli. Podobno gdyby na takim wiszącym moście ustawić kompanię żołnierzy i kazać im maszerować w miejscu, po pewnym czasie konstrukcja wpadnie w takie drgania, że się w rezultacie zawali. Coś takiego wyczytał w młodości, podobną informację podawał też na zajęciach przysposobienia obronnego nauczyciel, kapitan Krępak, zwany przez uczniów Tępakiem z racji dość mało wybujałej inteligencji albo Pętakiem z uwagi na niezbyt imponujący wzrost. Jednak potem wiele razy zastanawiał się jak to jest, że most nie zawali się, mimo iż codziennie przejeżdżają po nim dziesiątki tysięcy samochodów, powodując na pewno większe drgania niż kompania wojska. Zaczął czytać na ten temat. I wyczytał, że ta ciekawostka o maszerującej kompanii nie jest zbyt dobrze podbudowana teoretycznie. Na zachowanie podobnych konstrukcji ma wpływ zbyt wiele czynników, żeby opierać się tylko o jakiś abstrakcyjny model. Tyle właśnie są warte dywagacje różnych uczonych.

Zawrócił, zerknął na zegarek. Chyba już można. Tym razem w domofonie zazgrzytało i męski głos zapytał.

— Kto tam?

— Wroński. Byliśmy umówieni.

— A to pan — w tonie lekarza dało się wyczuć dziwną niechęć. — Niech pan wejdzie, skoro już pan jest.

Co to za typ, myślał Michał wchodząc po schodach. Najpierw umawia się, prosi o spotkanie, a potem traktuje człowieka jak intruza. Ale co tam, może ma coś ciekawego do powiedzenia. W każdym razie powinien. Drzwi otworzyła dziewczyna. Była naprawdę śliczna. Wrońskiemu nie chciało się wierzyć, że jest rzeczywiście głuchoniema. Ale podobno zdarza się, że osoby upośledzone przez los w taki czy inny sposób, otrzymują od niego pewne dary. Jak choćby ta panienska urodę.

Ramiszewski siedział w skórzanym fotelu. Obrzucił gościa nieprzychylnym spojrzeniem. Michałowi przeleciało przez głowę, że doktor zasiadł tutaj specjalnie tylko po to, żeby okazać mu lekceważenie.

Przecież kilkadziesiąt sekund wcześniej stał przy domofonie.

— Przepraszam — powiedział gospodarz wstając — ale niepotrzebnie pana fatygowałem. Zdawało mi się, że sprawa jest istotna, ale po dogłębnej analizie zmieniłem zdanie.

Nalał sobie wody do szklanki. Wroński na końcu języka miał pytanie, dlaczego w takim razie Ramiszewski nie raczył zadzwonić chociażby na komórkę i odwołać spotkania, kiedy zauważył, że lekarzowi trzęsą się ręce.

— Proszę mi powiedzieć, co się stało naprawdę. Co mi chciał pan powiedzieć?

— Nic — Ramiszewski wzruszył ramionami. — Po prostu źle zestawiłem wyniki i wyszło mi coś innego niż powinno.

— To dlaczego — Michał nie byłby sobą, gdyby jednak nie zadał tego pytania — nie zawiadomił mnie pan o tym?

— Nie przyszło mi do głowy. A poza tym pana już nie było w pracy, a numer na telefon komórkowy zgubiłem.

Pewnie wyrzucił wizytówkę do śmieci zaraz po wyjściu Wrońskiego. To tłumaczyło, dlaczego dzwonił rano na komendę, a nie do domu czy bezpośrednio do Michała. Ale nie wyjaśniało innej kwestii.

— A ja myślę, że ktoś...

— Nie interesuje mnie, co pan myśli! — lekarz podniósł głos — Przepraszam, że pana tu ściągnąłem. Stracił pan czas i paliwo. Jeśli mogę to jakoś zrekompensować...

Sięgnął do kieszeni marynarki. Wroński poczerwieniał.

— Co pan sobie wyobraża? — syknął wściekle — Że jestem chłopcem na posyłki? Bojem hotelowym? Że można mi wcisnąć banknocik i będzie w porządku?!

— Proszę na mnie nie krzyczeć — głos Ramiszewskiego nabrał histerycznych tonów. — Proszę natychmiast opuścić mój dom! Agnieszka pokaże panu drogę.

„Drogę znam” miał już odpowiedzieć, ale się powstrzymał. Do głowy przyszła mu pewna myśl. W przedpokoju zwrócił się do dziewczyny, pokazał palcem na usta.

— Ktoś tu przede mną był? — zapytał samym ruchem warg.

Agnieszka stała kilka sekund jak skamieniała, a potem powoli skinęła głową.

— Jeden wysoki i gruby, drugi mały i chudy?

Potwierdziła.

— Po ich wyjściu doktor był bardzo zdenerwowany?

Tym razem nie zdążyła zareagować. W progu pokoju stanął Ramiszewski.

— Jeszcze pan tu jest? Proszę dać dziewczynie spokój. Ona nic nie wie.

— A co powinna wiedzieć? — spytał beczelnie. — Kto pana tak nastraszył?

— Do widzenia.

Wyszedł przed dom. Ledwie zszedł ze schodków, pojawiły się dwie znajome sylwetki.

— Pan pozwoli z nami.

\*

Pokój przesłuchań był miejscem ponurym, sprawiał wrażenie zaniedbanego i nigdy nie sprzątanego. Wysoki grubas stał mu nad głową, dysząc ze złości. Po ostatnim zdaniu wygłoszonym przez Wrońskiego, miał ochotę złamać mu kark. A komisarz ciągnął niezrażony:

— Metody macie sprytne jak z filmu szpiegowskiego. Po cholere zasadziliście się na mnie zamiast normalnie wezwać do Wrocławia w godzinach urzędowania? Marnujecie czas mój i swój.

Flip był bardziej opanowany od kolegi. Uśmiechnął się uprzejmie.

— Uznaliśmy, że tak będzie lepiej. A teraz powie nam pan, kochaniutki, gdzie jest chusteczka. Ma pan ją przy sobie?

— Odbiło wam z tą chustką?

— Nam? To pan ukrył dowód. My chcemy tylko się dowiedzieć, dlaczego.

Wroński parsknął śmiechem.

— Chce wam się urządzać ten cały cyrk? — spoważniał. — Wam wcale nie chodzi o chustkę, chłopaki.

— Nie? — tym razem włączył się Flap. — A o co?

— Chcecie mnie po prostu przestraszyć. Po to te szykany.

— Nie odwracaj kota ogonem. Gdzie chustka?

— O czymś pan zapomina — odparł lodowatym tonem Wroński. Olbrzym uniósł pytająco brwi. — Zapomina pan o odpowiedniej formie, kiedy się do mnie zwraca. Jeśli tak to będzie wyglądało, nie usłyszycie

ode mnie więcej ani słowa. A chustki poszukajcie sobie w mojej dupie. Tylko nie za głęboko, bo jestem zdecydowanie heteroseksualny.

— Kurwa — nie wytrzymał Flap. — Weź mnie trzymaj, Janusz, bo mu dam w ryj!

— Uspokój się! Co cię napadło?

— Ten typek tak na mnie działa!

— Idź się przewietrzyć. Sam z nim pogadam.

King Kong wyszedł. Flap milczał dłuższą chwilę.

— To jak będzie?

— Nijak. Ale chciałbym wiedzieć, co jest naprawdę grane. Niech mnie szlag trafi, jeżeli chodzi wam o jakąś nieszczęsną chusteczkę. Może jeszcze wczoraj. Ale na pewno nie teraz.

— Skąd taki wniosek?

— Stąd, że jesteście już po godzinach. I uważam, że o tym przesłuchaniu nie wie żaden wasz przełożony. Albo jesteście nadgorliwi, albo...

— No? — wewnętrzny uniósł brwi — Albo co?

— Albo pracujecie dla kogoś na boku.

— Dla kogo według ciebie... przepraszam, pana?

— Daruj sobie, człowieku — mruknął z niechęcią Michał. — Możesz mi mówić po imieniu. Nie wadzi mi. Ja tylko lubię wkurzać tamtego.

— Zauważyłem. A on musi cię nie cierpieć od pierwszego wejrzenia, bo normalnie jest bardziej opanowany. No to dla kogo mamy niby pracować?

— Nie wiem — Wroński rozłożył ręce. — Na razie nie wiem.

— I nigdy się nie dowiesz. My wykonujemy tylko polecenia naszych szefów.

— I nie chodzi wam o żadną zasmarkaną chustkę.

— To prawda. Teraz już nie — rzucił na stół szarą kopertę. — Masz nas za idiotów?

— Co to jest?

— Przesyłka do Warszawy, którą dzisiaj przejęliśmy. Wiesz, co jest w środku? To, rzecz jasna, retoryczne pytanie. Pewnie, że wiesz, bo sam ją kazałeś wysłać. Myślałeś, że jak wyręczysz się kumplem to wystarczy?

Wroński wziął kopertę do ręki. Nawet jeszcze nieostemplowana.

— Jesteście sprytniejsi niż przypuszczałem — mruknął.



— Nie rozumiem dwóch rzeczy — odezwał się po chwili milczenia Flip. — Dlaczego zaadresowałaś ją do tej prywatnej kliniki? Znasz tam kogoś, kto mógł wykonać analizy?

— Chyba zdaje pan sobie sprawę, że tego się ode mnie nie dowiecie.

— Wiem. A druga sprawa. Po jaką cholere zawinałeś w chustkę zwykły kawałek szkolnej kredy? Zupełnie tego nie rozumiem. Przecież ani jedno ani drugie nie pochodzi z miejsca znalezienia zwłok.

— No to macie o czym myśleć. Ale dobrze, jak chcesz, powiem ci. Postanowiłem wam zrobić kawał. Skoroście tak szukali tego kawałka materiału, to go macie. W prezencie.

— Nie kupuję tego.

— Ale ja nic nie sprzedaję.

— Myślę, że zrobiłeś podpuchę. A to, czego szukamy gdzieś zadołowałaś. Jesteś sprytniejszy niż sądziłem.

Jestem sprytniejszy niż sam sądziłem, pomyślał Michał. A wy głupszy niż przypuszczałem. Albo udajecie.

Zacwierała komórka. Flip sięgnął do kieszeni.

— Tak, rozumiem — powiedział służbistym tonem. — Natychmiast, panie inspektorze. Już, w tej chwili.

Spojrzał zimnym wzrokiem na Wrońskiego.

— Twój supervisor, Marek Baliński, interweniował u naszego szefa. Nie wiem, skąd się dowiedział, że cię chwyciliśmy, ale załatwił natychmiastowe zwolnienie. Możesz iść. Ale pamiętaj...

— Daruj pan sobie tę drętwą gadkę. Wiem, co usłyszę. Będziecie śledzić każdy mój krok, a każda moja rozmowa zostanie podsłuchana i nagrana, jak dzisiaj rano z doktorem. Za cholere nie wiem tylko, dlaczego.

— Nie wiesz za dużo, to damy ci spokój.

— Prowadzę sprawę morderstwa.

— A prowadź, robaczku. Tylko się tak nie wczuwaj! Sam dzisiaj powiedziałaś, że kto mniej wie, lepiej śpi. Tak, proszę pana komisarza. To święte słowa. Kto mniej wie, lepiej śpi

— Obudź się — szturchnął Magdę. Z trudem otworzyła oczy. — No obudź się. Zrobiłaś, o co prosiłem?

— Zwariowałaś? — mruknęła odwracając się na drugi bok. — Wiesz, która godzina?

— Cholera, wiem! Ale to bardzo ważne!

Usiadła na łóżku trąc oczy. Miała ochotę wypomnieć mu, że całą noc gdzieś przebalował, że pewnie dogadzał sobie z kochanką, ale na widok wyrazu twarzy męża, dała spokój. Tak wzburzonego nie widziała go od bardzo dawna. Nigdy chyba. Nawet wtedy, kiedy dawała mu bardzo ostro popalić.

— Byłaś w Twardogórze?

— No co się głupio pytasz? Pewnie, że byłam. Przecież nie mam urlopu.

— Zrobiłaś, o co prosiłem?

— Zrobiłam! Hanka była zdziwiona, ale na pewno...

— Dobrze. Przepraszam, że cię obudziłem. Ale jak pomyślałem sobie, że mogłaś zapomnieć...

— Ja nigdy niczego nie zapominam! I jak się podejmę jakiejś sprawy, to ją załatwiam. Nawet jeśli jest taka kretyńska.

— Okej. Idź spać. Dopiero trzecia nad ranem.

— A ty gdzie byłeś? Pewnie u...

— Daj spokój! Pół nocy spędziłem w bardzo nieprzyjemnym miejscu. Nie chciałybyś się tam znaleźć. Idź już spać.

— A ty gdzie? — spytała widząc, że mąż kieruje się do wyjścia.

— Załatwić coś.

— O tej porze?

— O tej porze. Są rzeczy, które czekać nie mogą. Myśl sobie, co chcesz — powiedział szybko, bo Magda otwierała już usta, żeby wylać kolejny potok wyrzekań. — Ale nie wyobrażasz sobie chyba, że o tej porze kochanka czeka na mnie w pełnym rynsztunku.

\*

Rąbnął na oślep, kiedy tylko drzwi się uchylily na dostateczną

szerokość. Trafił prosto w szczękę. Uderzenie zabrzmiało głucho, tylko zęby zadzwoniły o siebie. Na filmach do ciosu pięścią dołącza się efekt dźwiękowy, najczęściej brzmiący jak wystrzał. W życiu jest to tylko zwykły odgłos, nic specjalnego. Najbardziej przypomina uderzenie pięścią w ścianę.

Jerzy zatoczył się. Wroński wskoczył do mieszkania, zatrzasnął drzwi, a potem wyciął zaskoczonego mężczyznę w żołądek. Kiedy tamten się skulił, uderzył łokciem w kark. Po takiej dawce tylko bohater kopanego obrazu *made in Hongkong* może się jeszcze sprawnie poruszać. Wprawdzie zaatakowany mężczyzna poderwał się rozpaczliwie, próbował trafić Michała w krocze, ale ten tylko się odsunął. Jerzy padł ciężko na podłogę, krwawiąc z rozciętej głęboko wargi i rozbitego przy upadku nosa.

— Za co? — wybełkotał, siadając. Próbował zatamować krwawienie. Michał poszedł do łazienki, rzucił mu ręcznik. — Za co, cholera? Odbiło ci?

— Dobrze wiesz, za co! Kablujesz na mnie, kutasie! Co zrobiłeś z listem? W ząbkach zaniosłeś wewnętrznym?

— No co ty! — Jurek spojrzał wielkimi oczami. — Dopadli mnie przed pocztą, zabrali przesyłkę i zabronili o tym mówić! Wiedzieli, że mam ją przy sobie. O nic nie pytali tylko wyrwali mi teczkę, żeby wydłubać list.

— Pieprzysz, gnoju! Sam im to dałeś, bez proszenia! Donosisz im o każdym moim słowie, o wszystkim, co robię! Nawet jak się w tyłek podrapię z lewa na prawo, a nie z prawa na lewo!

— Przysięgam. To musi być kto inny.

— Zamknij się! — ryknął Wroński. — Twój koleś z wewnętrznego zacytował mi zdanie, które powiedziałem, kiedy byliśmy tylko we dwóch! Ty gnido!

Podniósł rękę do ciosu, ale nagle zrobiło mu się głupio. Podobno przemoc rodzi przemoc. W tym wypadku przemoc zrodziła wstyd. Po co pobił kolegę? Nie lepiej było mu wypomnieć w oczy podłość i patrzeć jak się męczy, wije pod pogardliwym spojrzeniem?

— To nie ja — Jerzy spojrzał na zakrwawione dłonie, otarł ręcznikiem wargę. — Może ktoś stał pod drzwiami i usłyszał? Nie mam pojęcia. Ale to nie ja — powtórzył bezradnie.

— Jednak nie powiedziałaś, że zabrali przesyłkę. Jesteś obrzydliwy. Ja bym powiedział.

— Wiem — zaczął zbierać się z podłogi. — I za to należało mi się po mordzie. Ty byś powiedział. Ale to ty jesteś twardziel... wszyscy wiedzą.

Wroński wytrzeszczył oczy. Twardziel? Taką ma opinię, nawet u bliskiego współpracownika? Przecież nigdy nie dał powodów, żeby tak o nim myśleli. A może dał? Pyskaty, nigdy nie bał się zadrzeć z komendantem, nie drżał przed przełożonymi. Może o to chodzi?

— Wybacz — mruknął. — Nie powinienem cię uderzyć. To bez sensu.

— Należało mi się za list. Ale idź już. Muszę się doprowadzić do porządku.

Wstawał słoneczny poranek. Michał odetchnął głęboko rześkim powietrzem. Emocje opadały. W miarę jak odpływała złość, nadchodziło zmęczenie. Zerknął na zegarek. Zdąży się jeszcze przespać ze dwie, może trzy godziny, zanim pójdzie do pracy.

\*

Rzucił komendantowi na biurko pluskwę. Bardziej niż z tą potoczną nazwą, kojarzyła się raczej z karaluchem — podłużna, karbowana, z wystającymi długimi wąsami.

— Co to jest? — stary patrzył na urządzenie jak na zdechłą żabę.

— Nie wie pan? Naprawdę? — spytał z drwiną. — Zostawili to bojownicy o czystość rąk policji, których pan na mnie nasłał.

— Nikogo na ciebie nie nasyłałem!

— Jasne, już wierzę. I dlatego, że nikogo pan na mnie nie napuścił, dostałem anioła stróża z województwa.

— Pieprzysz, komisarzu — stary otarł z czoła kropelkę potu. — Nie wiem, kto i po co go tu skierował, ale wiem jedno. Nie znam go, a to trochę dziwne, bo jestem na ty ze wszystkimi wyższymi oficerami w komendzie wojewódzkiej. A tego widzę po raz pierwszy. Albo nowy, albo z jakiegoś tajnego wydziału.

Wroński w duchu z politowaniem pokiwał głową. Komendant zawsze chwali się wielkimi znajomościami, a kiedy przychodzi co do czego i trzeba coś na górze załatwić, okazuje się bezradny. Może i pijał wódkę z większością przełożonych, ale nie znaczy to, że wrył im się w pamięć. Chciał coś odpowiedzieć, ale w tej chwili wszedł Baliński.

— Witam — rzucił od progu. — Niech pan nie wstaje — dodał widząc, że komendant podnosi się z fotela.

Nagle zmarszczył brwi. Szybko podszedł do biurka, pochylił się nad pluskwą.

— Skąd macie ten sprzęt?

— Znalazłem — Wroński z trudem powstrzymał ziewnięcie. Magda nie pozwoliła mu zasnąć. Ale tym razem jednak nie wzięło ją na wypominanie, tylko na amory. Przynajmniej mogła się przekonać, że nie stracił sił u innej kobiety.

— Gdzie? — inspektor wpatrywał się w pluskwę, jakby chciał z niej wydobyć zeznanie.

— Pod moim biurkiem. Pasło się toto grzecznie, pięknie przyklepione w wolnej przestrzeni między panelem maskującym a szufladą.

— Podejrzewa pan, kto mógł ją zostawić?

— Oczywiście. Pana przyjaciele z wydziału wewnętrznego.

— To nie są moi przyjaciele. Ale to niemożliwe. Oni posługują się innymi gadżetami. A ten...

Wroński z komendantem wlepili wzrok w Balińskiego, czekając, co powie dalej, ale inspektor zamilkł.

— To musiał zostawić kto inny.

— Skąd ta pewność? — Wroński wziął ostrożnie urządzenie. — To po prostu pluskwa. Dziwna bo dziwna, ale pluskwa.

— Dobrze, powiem panom, bo znam się trochę na tym. Takiego sprzętu nie używa się w Polsce.

— Używa czy nie, wszystko jedno. Dziwne, że w ogóle tu coś takiego jest. Toż z naszej Oleśnicy prawdziwe agenturalne zadupie. Skąd tu sprzęt szpiegowski?

— Wyciąga pan pochopne wnioski. Nie powiedziałem, że tego użyli szpiedzy — Baliński najwyraźniej usiłował zatrzeć znaczenie tego, co powiedział przed chwilą pod wrażeniem znaleziska. — Przecież nie mogę wykluczyć z całą pewnością, że gdzieś w naszych magazynach nie można czegoś podobnego znaleźć.

— Mogę to sobie wziąć? — spytał Wroński bez troski.

— Nie żartuj, komisarzu — huknął komendant. — To nie zabawka!

— Dobrze już, dobrze. Tylko zapytałem.

— Wracaj do roboty.

Michał wyszedł. Na korytarzu uśmiechnął się szeroko. Stary nie musi wiedzieć, że znalazł jeszcze jedną taką niespodziankę we własnym domu. A tamtej nikt mu nie zabierze. Zaraz jednak spoważniał. Z czego się cieszysz, wariacie? Ze znalezienia pluskwy w chałupie? Co się dzieje? Od jakiegoś czasu czuł całym sobą, każdym nerwem doświadczonego gliny, że coś jest na rzeczy. Ale teraz zyskał pewność. Podśłuchy, wydział wewnętrzny, inspektor z województwa... I on w środku wydarzeń, o których nie ma pojęcia. Domyślał się jedynie, iż wszystko to wiąże się jakoś z niezidentyfikowanymi trupami i jego zainteresowaniem tymi sprawami.

Ledwie doszedł do gabinetu, zadzwonił telefon.

— Komendant pana prosi — powiedziała sekretarka.

Powlókł się niechętnie z powrotem. Czego pierdziel chce? Przecież skończyli pogawędkę. Na jego widok stary wyszedł zza biurka, stanął przed nim, oparł się o krawędź blatu i splótł ręce na piersiach.

— Skoro już się do wiedziałem, co ci chodzi po głowie — powiedział cicho — skąd te dziwne spojrzenia, pyskowanie ponad normę, uznałem, że musimy to sobie wyjaśnić. Podejrzewasz, że podłożyłem ci świnię. Ale to nie ja nasłałem na ciebie dupków z kontroli. Najpierw przyszli do mnie. To nie była przyjacielska pogawędka. Pociąłem się z nimi, ale nie mogłem niczemu zapobiec.

Nie mogłeś, przeleciało przez głowę Michałowi, to pewne, ale i nie chciałeś. Gdybyś był takim dobrym dziadkiem, nic nie kosztowało podnieść słuchawki i ostrzec.

— Ktoś inny cię nadał — ciągnął stary. — Nie pytaj, kto, bo sam nie wiem. Kilka osób słyszało, co mówił tamten konował z pogotowia. A ty nie jesteś najbardziej lubianym człowiekiem na komendzie. Balińskiego też nie ja na ciebie napuściłem. Potrzebny mi tutaj jak kaktus w dupie. Myślisz, że to miłe mieć na głowie taką szychę?

— Dziękuję szefie — skłonił głowę. — Ta informacja wiele dla mnie znaczy.

— Szlag by cię! Zawsze musisz być taki zgryźliwy?

— Ależ skąd! Mówię poważnie. To bardzo ważne. Trochę rozjaśniło mi się w głowie.

Sam nie wiedział, po co powiedział taką wierutną bzdurę. Nie tylko niczego mu to nie dało, ale jeszcze na dodatek zaciemniło obraz. Jeśli nie

dziadyga, to kto i w jakim celu? Czyżby sprawa tajemniczych zwłok była tak ważna? Czyżby ktoś poczuł się zaniepokojony aktywnością śledczą zwykłego komisarza z powiatowej placówki?

\*

— Ale burdel — westchnął, zbierając teczki pozostawione przez Balińskiego. — Ten facet nie ma krzty litości.

Przez cały dzień inspektor przeglądał materiały dotyczące dziwnych zgonów. A potem nagle wyrwał go telefon z Wrocławia. Rzucił wszystko i pobiegł do samochodu. Michał został sam z zupełnym bajzlem. Zaczął porządkować dokumenty. Pierwsza teczka z brzegu zawierała sprawę ciała znalezionego przy śluzie. Zdjęcia, raporty, badania techników. Zaraz... przecież poza tym, że papiery zostały wydobyte na wierzch, nie zmieniła się ich kolejność. Tylko fotografie są porozrzucane, pomieszane. A jeśli się dogłębnie analizuje sprawę, siłą rzeczy powstaje bałagan, papierzyska mieszają się z wydrukami i formularzami. A tutaj jest nieporządek tylko na pierwszy rzut oka. Czyżby pan wysoki oficer tak naprawdę nie interesował się oglądanym materiałem, a tylko przerzucał fotki? O co chodzi?

— Panie komisarzu — do pokoju wpadł dyżurny z prewencji. — Samochód czeka. Ma pana zawieść do Wrocka.

— Z rozkazu komendanta?

— Z polecenia inspektora Balińskiego.

Coś się musiało stać ważnego i niespodziewanego.

— Zrób tu porządek — rzucił, wybiegając. — Tylko nie pomieszaj materiałów. Masz za to piwo.

\*

Ramiszewski leżał w poprzek wejścia do pokoju. Ubrany w staromodny tużurek, jak zawsze elegancki, jednak w chwili śmierci nie patrzył na świat ze zwykłą pełną wyższości ironią. W jego oczach zastygło przerażenie.

— Gdzie dziewczyna? — spytał Wroński.

— Tam — Baliński machnął ręką w stronę pokoju.

Michał zajrzał i zagryzł wargi. Zrudziała już krew pokrywała białą bluzkę Agnieszki. O ile doktora wykończył ktoś humanitarnie, ciosem w serce, o tyle z dziewczyną postąpił wyjątkowo okrutnie. Poderżnięte gardło wieńczyło tylko dzieło. Była straszliwie pocięta. Długie rany

ciągnęły się przez całe przedramiona, by kończyć bieg na barkach.

— Używał soli i octu, skurwysyn — technik miał ściągniętą twarz. Można patrzeć latami na ofiary zbrodni, można się przyzwyczaić, ale są takie chwile, kiedy nawet najbardziej zahartowany glina ma dość. — Musiało boleć. A przecież nawet jej nie zakneblował. Dziwne. Na pewno krzyczała, a to długo trwało. Nikt z sąsiadów nie usłyszał?

— Nie mógł — wyjaśnił Wroński. — Dziewczyna była głuchoniema.

— Co za bestia! Mógł się napawać jej bólem, każdym grymasem... tfu!

— Została zgwałcona?

— Wielokrotnie. Jednak nie zwyczajnie, choćby nawet nie wiem jak brutalnie. Zmasakrował jej krocze za pomocą różnych przedmiotów. Proszę nie pytać, jakich. Szlag mnie zaraz trafi.

Michał poczuł dławienie w gardle. Taka śliczna dziewczyna. Niewinna. Poranek i powiew wiosny... Kto ją tak potraktował? Wiedział już o wykluczeniu motywu rabunkowego. Nic nie zginęło, mieszkanie nawet nie zostało przetrząśnięte oprócz biurka i biblioteczki. Ktoś czegoś szukał w papierach. Tylko czego? Pewnie jakichś dokumentów? Notatek?

— Pan był u niego wczoraj, prawda? — Baliński oglądał uważnie rozrzucone papiery. To było pytanie retoryczne, więc Michał nie odpowiedział, czekając na dalszy ciąg. — W jakiej sprawie?

— Żebym to ja wiedział.

— Jak to? Jechał pan do Wrocławia w godzinach szczytu, żeby odejść z kwitkiem?

— Mniej więcej.

Wroński zastanawiał się czy inspektor udaje durnia, czy rzeczywiście nie wie o wizycie u doktora smutnych panów. To pierwsze było bardziej prawdopodobne.

— Co znaczy mniej więcej?

— Niczego się nie dowiedziałem. Ramiszewski poprosił mnie o wizytę, chciał przekazać jakieś informacje — Michał uznał, że trzeba powiedzieć możliwie dużo prawdy, bo nie wiadomo, jakie informacje posiada Baliński. O ile dotąd wydawał mu się nawet w porządku, o tyle napastliwy ton, podobny temu, jakiego używali Flip i Flap, sprawił, iż wzmógł czujność. — Niestety, nie wiem jakie, bo kiedy przyjechałem, doktor odprawił mnie dość bezceremonialnie. Nie podał przyczyn.



— W jakim był stanie?

— Wydawał się przestraszony.

— Czym?

— Pojęcia nie mam!

— I zupełnie nic nie powiedział? Nic ciekawego?

— Owszem — Wroński zauważył, że w tym momencie inspektor nadstawił czujniej ucha. — Bardzo mało uprzejmie dał mi do zrozumienia, żebym się wynosił. To było bardzo ciekawe.

Baliński spojrzał bystro.

— Panie Michale — powiedział łagodnym, perswazyjnym tonem — gramy w jednej drużynie, dlaczego pan nie mówi wszystkiego?

To była kropla, która przelała czarę goryczy.

— Panie inspektorze — odparł z tajoną pasją — gdybym, kurwa mać, wiedział chociaż trochę więcej o tych kurewskich tajemniczych sprawach, to może, do kurwy nędzy, miałbym coś więcej do powiedzenia. Pan najwyraźniej oczekuje, że odgadnę kształt puzzli z tysiąca elementów po trzech kawałkach?

Spodziewał się gwałtownej reakcji. Ale to, co nastąpiło, zaskoczyło go zupełnie. Baliński parsknął śmiechem. Michał skrzywił się niechętnie. Trup leży im prawie pod nogami, w drugim pomieszczeniu zmasakrowana dziewczyna, a ten rechocze.

— Rozumiem pana rozgoryczenie — Baliński spoważniał. — Ale nie tylko pan ma problemy z ułożeniem tego w logiczną całość.

— Może bym potrafił, gdybyście mi nie przeszkadzali.

— My? O kim pan mówi?

— Dobrze pan wie. O moim komendancie, tych wesołkach z wewnętrznego i panu.

— Mnie? A co ja zrobiłem?

— Raczej czego pan nie zrobił. Sprawdzał pan dokumentację, nie wiem po co było grzebać się w tym cały dzień, ale nie moja sprawa. Ale nawet nie zajrzał pan do bazy osób poszukiwanych.

— A powinienem?

— Owszem. Bo naszych milusińskich niezidentyfikowanych truposzy tam nie ma.

— Doprawdy? Wie pan dlaczego?

— Mnie pan pyta? Dla mnie to oznacza jedno z dwóch. Albo ktoś nie

chce ich szukać, albo... — zawiesił głos. Baliński popędził go niecierpliwym gestem. — Albo wcale nie są niezidentyfikowani, tylko nikt nie raczył nas o tym doniosłym fakcie powiadomić. Z jakiegoś ważnego powodu nie raczył, bo nie wierzę, żeby zapomnieć o tylu zwłokach.

Inspektor patrzył spod zmrużonych powiek.

— Bardzo ciekawe wnioski pan wyciąga. Daleko idące, wręcz fantastyczne.

— Już to słyszałem. Od mojego komendanta.

— Ale ja to mówię z uznaniem. Nie wiem, czy mi by przyszło do głowy coś podobnego. Ale dobrze, niech będzie, podzielę się z panem pewną informacją. Mogę panu wyjaśnić powód nieobecności danych o waszych trupach w bazie. Do policyjnego serwera było włamanie. Ale niech pan nie myśli, żadne tam *Mission Impossible* cztery i pół. Jakies dzieciaki zdrowo namieszały. Nie ma w tym nic niezwykłego. Może mi pan wierzyć.

— Wierzę — powiedział Wroński.

Obaj wiedzieli, że to kłamstwo.

— A co pan myśli o tym? Zabójca był wyjątkowo perfidny.

— Zabójcy — poprawił Michał. — Było ich dwóch. Przynajmniej.

— Dlaczego pan tak sądzi? Technicy jeszcze pracują, a wyniki autopsji będą najwcześniej na jutro rano.

— Myślę, że dziewczyna nie była torturowana tylko dla przyjemności. Przynajmniej nie do końca, bo normalny człowiek nie zadaje takich obrażeń. Ktoś chciał wydobyć od Ramiszewskiego jakieś informacje, oprawiając ją na jego oczach. Doktor wyrwał się, próbował uciec, wezwać pomoc. Wtedy zginął. I tak by go zabili. Wiedział o tym, dlatego postawił wszystko na jedną kartę.

— Ciekawa teoria — rzekł z uznaniem Baliński. — Bardzo ciekawa, niezależnie od tego, czy się sprawdzi, czy nie. Coś mi się wydaje, że marnuje się pan w tej Oleśnicy. Nie chcieli nigdy pana pchnąć gdzieś wyżej?

Wroński milczał, jedynie na ustach błąkał mu się krzywy uśmieszek.

— Rozumiem — Baliński pokiwał głową. — Za twarde kark i ostry język. Bywa.

Po porannych igraszkach Magda była całkiem przychylnie nastawiona. Postawiła przed nim kolację. Jajecznica z pomidorami. Zawsze lubił tę potrawę. Ale dzisiaj nie był w stanie przełknąć nawet kęsa. Czerwień warzyw kojarzyła mu się nieodparcie z krwią na białej bluzce Agnieszki.

— Jadłeś coś już? — spytała podejrzliwie żona. Choćby nie wiadomo w jak dobrym się znajdowała nastroju, dużo nie potrzebowała, by wszcząć awanturę. Teraz też była gotowa podjąć działania zaczepne.

— Nie — odparł. — Ale nie jestem głodny.

— Też coś! Na pewno polazłeś...

— Milcz! — warknął — Nie zaczynaj, nie mam do tego głowy.

Otwierała już usta, żeby powiedzieć swoje, ale zerwał się, chwycił ją brutalnie za związane na karku włosy.

— Widziałaś kiedyś trupa pociętego nożem? Wiesz, ile krwi może się wylać z człowieka? Więc przestań mi pieprzyć o kochankach i hulankach. Chociaż dzisiaj! Bo mogę nie wytrzymać.

— Uderzysz mnie? Proszę bardzo, pokaż na co cię stać!

— Nie uderzę — puścił ją. — Wiem, że bardzo byś chciała, ale nie zrobię ci tej przyjemności.

— Cham — rzuciła, wychodząc z kuchni.

Patrzył przez chwilę na talerz z jajecznicą, a potem nagle chwycił go i cisnął o ścianę. Biało-żółto-czerwona masa rozprysła się po całym pomieszczeniu. W pierwszej chwili wziął ścierkę, żeby zrobić porządek, ale zrezygnował. Niech Magda się martwi, co z tym zrobić.

Położył się na kanapie przed telewizorem. Nie wiedział jednak nawet jaki film ogląda. Przed oczami przesuwaly się obrazy. Czerwone ze złości oblicze komendanta, przystojna twarz Balińskiego, zakrwawiona Agnieszka, patrzący szklistym wzrokiem Ramiszewski, pluskwa na biurku komendanta, podsłuch znaleziony w dużym pokoju w domu... Zaraz! Tego przecież nawet jeszcze nie odkleił! Mili panowie z wewnętrznego ukryli go za komódką. Gnoje zrobili przecież rewizję także po to, żeby założyć podsłuch, a nawet może przede wszystkim w tym celu. Dobrze, że rano rozmawiał z żoną przy windzie. To by było, gdyby usłyszeli, o czym!

Zwłókł się z kanapy, sięgnął za mebel. Przedmiot odkleił bez trudu. Poszedł po skrzynkę z narzędziami. Zaczął uważnie oglądać urządzenie.

Ale mdła lampka okazała się zbyt słabym źródłem światła. W pokoju Patryka przy komputerze powinna być halogenówka. Poszedł tam. Patrzył długo na jasną głowę syna. Kochany chłopak. Zdolny, ambitny i dobry. Że też trafił na rodziców, którzy nie potrafią się normalnie porozumieć. Pogładził delikatnie włosy małego, pochylił się i pocałował go w czoło. Patryk mruknął coś przez sen, odwracając się do ściany.

Michał wrócił do dużego pokoju, włączył halogenówkę. Teraz o wiele lepiej. Na niskiej ławie położył śrubokręty, szcypce i małe kombinerki. Roześmiał się pod nosem. Zapewne, jak zwykle przy takiej precyzyjnej robocie, najbardziej przydatnym narzędziem okaże się młotek. Lita skorupa może nie ustąpić podczas delikatnych zabiegów. A jednak może nie. Na spodzie, pod warstwą przylepca, są maleńkie śruby. Tylko jakieś dziwne. Ani starego typu, z łebkiem podzielonym na pół, ani krzyżakowe, ani nawet amerykańskie sześciokątne. Mają trójkątne wgłębienia. Gdzieś już takie widział. Tylko jak je ruszyć? Spróbował małym zwykłym płaskim śrubokrętem. Nie szło. Narzędzie ślizgało się, nie miało gdzie zaczepić. Maleńki krzyżakowy wszedł i sprawiał wrażenie, że się obraca. Obracał się, i owszem, ale po wyjęciu okazało się, że po prostu zestrugał śrubkę na okrągło. To znaczy — już po herbacie. Zdenerwowany, Michał wyjął duże kombinerki. Przecież nie ma tego naprawiać, tylko chce zajrzeć do środka! Muszą tam być przecież jakieś znaki, symbole. A nuż da się coś z tego wyczytać. Już miał pluskwę ścisnąć z całej siły, uderzyć z wierzchu młotkiem, kiedy do głowy przyszła pewna myśl. Zdąży jeszcze ją zniszczyć. A prawdopodobieństwo, że wewnątrz będą jakiegokolwiek oznakowania jest niewielkie, jeśli to typowy sprzęt szpiegowski. Zamiast żelaznych narzędzi lepiej użyć nowoczesnej techniki. Wyjął z komody aparat cyfrowy. Położył pluskwę na białej kartce i zaczął robić zdjęcia. Sfotografował ją z każdej strony, bardzo dokładnie.

Starszy, elegancko ubrany mężczyzna przechadzał się niespiesznie wzdłuż murów zamku. Kiedy był tutaj ponad dziesięć lat temu obiekt wyglądał nieco mniej żałośnie, chociaż już wtedy uwagę zwracała zaniedbana elewacja. Ostatni remont przeprowadzono pod koniec lat siedemdziesiątych, w czasach, kiedy był rezydentem konsulatu we Wrocławiu. Zaproszono go wtedy na uroczyste oddanie zabytku. Robił wspaniałe wrażenie. Doskonale odrobione sgrafitta w kształcie prostokątów o pięknej, żółtopomarańczowej barwie aż kłuły w oczy. Tak właśnie teraz wygląda niedawno odnowiona, przylegająca do zamkowego łącznika część kościoła. Ten łącznik to zresztą interesująca konstrukcja. Stanowił przejście dla kobiet z tak zwanego Domu Wdów. Jeden z czeskich książąt zbudował go podobno na potrzeby starej księżnej matki i jej fraucymeru.

Wrócił wspomnieniami do dnia oddania wyremontowanego zamku. Były wówczas pompatyczne przemówienia i wystawne przyjęcie dla specjalnych gości. A dzisiaj ściany zamku wyglądają tak żałośnie. Odrapane, pokryte zaciekami, a od strony najbardziej narażonej na wiatr i deszcze tynk podpadał, strasząc wyglądającymi spod zaprawy cegłami. Wstyd, pomyślał, taki piękny kompleks architektoniczny, a taki zaniedbany. Z okna na pierwszym piętrze wyfrunął papier, za nim plastikowa butelka.

Spojrzał niecierpliwie na zegarek. Czy temu facetowi wydaje się, że to randka, na którą można się spóźnić? Jeszcze trochę i ktoś się zainteresuje człowiekiem łażącym bez celu wokół zamku, na dodatek z samego rana.

— Kurwo pierdolona! — usłyszał głos z tego samego okna, z którego wyleciały śmieci. — Ci dam grzebać tutaj! Ci jebnę, to zobaczysz.

Zmarszczył brwi. Co tam się dzieje? Co tam teraz jest? Za jego bytności mieściło się w zamku Centrum Wyszakolenia i Wychowania Związku Harcerstwa Polskiego. Nie przyszło mu do głowy przed przyjazdem sprawdzić, czy to się zmieniło. Zresztą to przecież bez znaczenia.

— Ma pan ogień? — rozległo się za plecami. — Bo gaz mi się skończył w zapalniczce.

Nareszcie! Odetchnął z ulgą. Hasło oznaczające, że wszystko jest w porządku.

— Mam zapałki — odparł — ale nie wiem czy lubi pan posmak siarki w tytoniu.

— Mnie nie przeszkadza. Przy tym, co teraz sypią zamiast tytoniu siarka może być miłym urozmaiceniem.

— Spóźnił się pan, panie Jerzy — rzekł z wyrzutem patrząc na przybysza. — Jeszcze chwila i odszedłbym z kwitkiem, a pan miałby niezłe kłopoty.

— Nie spóźniłem się — pokręcił głową przybyły. — Pan jest bardzo niecierpliwy, panie Filipie. A ja po prostu sprawdzałem, czy nie ciągnie się za panem ogon.

— Sam to sprawdziłem, zanim tu dotarłem. Ma mnie pan za amatora?

— Ostrożności nigdy za wiele — Jerzy uśmiechnął się krzywo. — Warto poświęcić dziesięć minut czasu, żeby zyskać dziesięć minut życia.

— Napisał czcigodny mędrzec Li Pong, w rozdziale trzecim *Mądrości wschodu* — rzekł z przekąsem mężczyzna nazwany Filipem. — Ma pan tego więcej w rękawie?

— Mam — padła beztraska odpowiedź. — W policji mamy sporo podobnych powiedzeń.

— Mnie bardziej od waszych przysłów interesuje, jak się zachowuje pana kolega zza biurka.

— Kiedy się u was zatrudniałem, miałem za zadanie obserwować działalność różnych radnych i kacyków, a nie donosić na przyjaciół.

— Kiedy cię zwerbowałem — uściślił Filip, porzucając uprzejme formy — a nie zatrudniałeś się, sytuacja wyglądała nieco inaczej. Teraz się zmieniła, zatem i twoje zadania są nieco inne.

— Kurwa, wypierdalaj! — przerwał mu wrzask z okna.

Spojrzał w górę.

— Co tu się dzieje? Co tam jest?

— Ochotnicze Hufce Pracy — wyjaśnił Jerzy. — Od lat mieszka tutaj tak zwana trudna młodzież. Od czasu do czasu wywiną coś ciekawego i mamy na komendzie trochę roboty,

— Też coś — prychnął Filip. — Tak zasrać taki ładny obiekt! A z zewnątrz to już wygląda, jakby przetoczyła się przez Oleśnicę wojna. Czy nikt o to nie dba? Nie wstyd żeby perełka architektury tak się sypała?

— A pan co się tak przejmuje? Władze nie chcą dać pieniędzy na remont. Tak to pana boli?

Filip zmrużył oczy.

— Boli — syknął. — Nie wiesz, chłopcze, ale z wykształcenia jestem historykiem sztuki. A to cacko jest jednym z piękniejszych obiektów na Dolnym Śląsku. Mieszkasz tu od urodzenia, a zdajesz sobie chociaż sprawę, jaki to styl?

— Ja wiem? — Jerzy wydał wargi. — Renesans, barok czy inna cholera...

— Manieryzm, chłopcze — Filip był wyraźnie zgorszony. — Ten zamek jest zbudowany, a raczej rozbudowany, w stylu manierystycznym. Powinni tego uczyć w szkołach. Patrz. Na założeniu zwykłej średniowiecznej twierdzy piastowskiej, czescy Podiebradowie dokonali cudu. Przebudowy musiały trwać przynajmniej kilkadziesiąt lat, a pewnie i dłużej. Ale warto było. Z warownego kurnika uczynili piękny kompleks pałacowy. Te wszystkie przybudówki, wykończenia, rzeźby i płaskorzeźby. Spójrz na to — wskazał ścianę nad ich głowami. — Widzisz? Tam masz scenę walki. Ni to renesansową ni antyczną, taki misz-masz, ale jakże urokliwy. W kilku postaciach opowiedziana cała historia. Miejscowa ludność mogła tutaj przychodzić, podziwiać kunszt artysty, chłonąć opowiedzianą przez niego historię. To musiało kosztować. Ładny gest wielkiego pana w stronę poddanych.

— Dobrze już — Jerzy miał ochotę ziewnąć rozmówcy prosto w twarz — przekonał mnie pan. A teraz do rzeczy. Nie fatygował się pan tutaj osobiście, żeby zapytać mnie o Michała Wrońskiego. To byłoby śmieszne...

Mówił coraz wolniej, a po chwili zamilkł, zmrożony spojrzeniem Filipa.

— To ja decyduję, co jest ważne, a co śmieszne. W moim fachu nie ma rzeczy nieistotnych. Słucham.

— Ja naprawdę niewiele wiem — Jerzy rozłożył ręce. — Michał jest nieufny, a odkąd znalazł podsłuch, nie mówi mi kompletnie nic. Nie ufa chyba już nikomu.

— Podłuch? — Filip drgnął. — Co to znaczy?

— Ktoś założył nam w pokoju pluskwę. Myślałem, że to może robota pana ludzi.

— Do diabła, robi się gęsto — mruknął do siebie Filip, a głośniejszym głosem dodał: — To nie moja robota! Nie przyszło mi do głowy podsłuchiwać, skoro mamy ciebie. Ale kiepsko się spisujesz.

— Może dlatego, że kiepsko płacicie. Wiedziałem, że oszczędność leży w niemieckiej naturze, ale żeby we francuskiej?

— Zamknij się — warknął Filip. — Za dużo klepiesz jęzorem. Przy następnym spotkaniu masz być lepiej poinformowany co do poczyną kumpla. Rozumiemy się? A na pojutrze przygotujesz pełny raport na jego temat. Wszystko, co wiesz.

Jerzy kiwnął głową.

— A o co chodzi właściwie? Czemu on jest taki ważny?

— Nie twoja sprawa. I nie Wroński jest ważny, ale informacje, które może posiadać. Nie zadawaj za dużo pytań. A teraz idź. Sam zapłaczę nad ruiną, w jaką popada wasz zamek.

Jerzy odwrócił się.

— Jeszcze jedno — rzucił za nim Filip.

— Słucham?

— Nie pij tyle. Zbyt łatwo o niedyskrecję, kiedy człowiek zanadto nasącza się alkoholem.

Jerzy nie odpowiedział. Odszedł, a jego rozmówca jeszcze kilka minut kontemplował sgrafitto przedstawiające scenę batalistyczną.

\*

Dywanik u szefa wszedł już chyba do codziennego rytuału. Znów patrzył na rozwalonego za biurkiem komendanta.

— No to opowiadaj — stary uśmiechnął się szeroko.

— O czym?

— Po co cię wczoraj wezwali do Wrocławia? Wiem, że zamordowano Ramiszewskiego, ale co ty masz do tego?

— A co by chciał pan usłyszeć?

— Prawdę, komisarzu, całą prawdę. Jako twój przełożony powinienem to wiedzieć.

— Niech pan zapyta Balińskiego. Jecie sobie z dzióbeków, powinien chyba puścić farbę.



Widać było, że trafił w czuły punkt.

— Ty się nie wymądrzaj tylko gadaj!

— A po co panu ta informacja?

— Gównu ci do tego. Jesteś moim podwładnym. Rozkazuję ci mówić.

— Podwładnym tak, ale to nie znaczy niewolnikiem, komendancie.

Ta różnica chyba się panu czasem odrobinę zaciera.

— Nie pyskuj, bo wre... wreszcie zamknę ten twój niewyparzony dziób! Jako policjant nie pracujesz przy tokar... tokarce, ale pełnisz służbę! A to nakłada pewne obowiązki i wymusza posłuszeństwo.

— Zapewne. Ale wymusza też tajemnicę służbową! A ta zakazuje mi rozmawiać na temat zabójstwa doktora.

— Prze... przede wszystkim podlegasz mnie!

— Przede wszystkim podlegam własnemu sumieniu, a potem dopiero jakiemuś oficerowi, choćby najwyższemu rangą.

Komendant dyszał przez chwilę. Uspokajał się powoli.

— On ci zabronił mówić? Nasz nadzorca?

— Nasz? Myślałem, że to mój osobisty stróż.

— Daj spokój — stary machnął ręką. — Mówiłem przecież. Potrzebny mi jak... Nawet nie wiem, jakie ma zadanie.

Michałowi nagle uczyniło się żal komendanta. Biedny pierdziel. Coś się dzieje, a on najwyraźniej nie wie dokładnie, co. Gorzej — wygląda, że w przybliżeniu też się nie orientuje. A przecież przyzwyczajony jest, żeby wiedzieć wszystko. Pewnie oddałby duszę diabłu, żeby chociaż liznąć tajemnicy po wierzchu.

— Nic panu nie powiem — powiedział cicho Wroński. Stary spojrzał bystro. Nie zobaczył na twarzy podwładnego zwyczajnego irytującego uśmiešku, Michał był zupełnie poważny. — Dobrze pan wie, że nie mogę.

Stary kiwnął głową, gestem odprawił komisarza. Od niego nic się nie wydobędzie prośbą ani groźbą, jeśli jest przekonany o swojej racji. Trzeba było do tego zastrzelonego przydzielić jednak Jerzego. Albo jeszcze lepiej Mira. A myślał, że zrobi tym krzywdę Michałowi.

— Zaraz — zawrócił go w drzwiach — a jak postępy w twoim dochodzeniu?

— A jakie mają być, jeżeli nie mam czasu się tym zajmować? Nawet nie wiem, czy przyszły analizy balistyczne.

— Przyszły. Ale nie czytałem, nie mam czasu. Marta zaniósła je do ciebie. Zajmij się wreszcie tą sprawą! To rozkaz!

\*

Jerzy siedział za swoim biurkiem udając, że jest bez reszty pogrążony w papierkowej robocie. Nos miał jeszcze mocno spuchnięty, na rozciętej wardze dwa szwy. I zasiniony lewy oczodół. Michał jakoś nie mógł sobie przypomnieć, żeby uderzył go w to miejsce. Był pewien, że tam akurat nie trafił. Ale diabli wiedzą. Może gdzieś zawadził przy upadku.

Przerzucił teczkę z raportem balistycznym. Za chwilę do niego wróci, ale jest pilniejsza sprawa. Włączył komputer i wszedł w pocztę. Trzy nowe wiadomości. Jedna z banku, druga o jakiejś niesamowitej pornograficznej stronie internetowej i trzecia z wrocławskiego sklepu ze sprzętem elektronicznym. Nazwa „sprzęt elektroniczny” mogła być myląca, a na pewno stanowiła pewne nadużycie. Ktoś, kto by chciał skonfigurować komputer raczej nie miałby tam czego szukać. Właściciel zajmował się bowiem przede wszystkim zaopatrywaniem w różne gadzety prywatnych detektywów. Kamery, minikamery, wszelakie podsłuchy, mikrofony kierunkowe i podobne urządzenia. Najśmieszniejsze zaś, że sklep prowadził były esbek, który przeszedł weryfikację po osiemdziesiątym dziewiątym i pracował przez kilka lat w jednym wydziale z Michałem. W sumie sympatyczny gość, ale irytował Wrońskiego ciągłym gadaniem, jak to za komuny bywało lepiej. A potem poszedł na zasłużoną emeryturę i zajął się robieniem biznesów. Michał był pewien, że Rogalski równie ochoczo sprzedaje sprzęt detektywom, jak i przestępcom. E-mail zawierał jedno słowo: „zadzwoń”.

Wyszedł przed budynek komendy. Rogalski odezwał się już po drugim sygnale.

— Stary — zawołał bez powitania — skąd żeś to wytrzasnął?

— Znalazłem.

— Nie gadaj! Znaleźć to można dychę na ulicy albo w szafie kochanka żony. A to jest, szlag jasny, coś, czego nikt znajdować nie powinien. To jakbyś na pustyni zobaczył łysego wielbłąda albo...

— Daruj sobie barwne porównania i mów, o co chodzi.

— Człowieku! To jest ruski podsłuch. KGB takich używa. To znaczy nie jest to może szczyt techniki i miniaturyzacji, bo u mnie dostaniesz

dużo dyskretniejsze zabawki, ale ma świetny zasięg i przede wszystkim długo pracuje. Skuteczne ścierwo. Ale nie słyszałem, żeby poza kagebistami, no i może jeszcze GRU, ktoś się tym zabawiał.

— A ty skąd wiesz takie rzeczy?

— Wiem po prostu. A skąd, to już nie twoja rzecz. Ciesz się, że ci o tym mówię. Gdybyśmy się tak dobrze nie znali, usłyszałybyś jakiś drętwy bajer. To powiedz teraz, gdzie to znalazłeś.

— We własnym domu.

Po drugiej stronie rozległ się przeciągły gwizd.

— Uuu, przyjacielu. To chyba wtopiłeś w niezłe kłopoty. No, w tej sytuacji pamiętaj, że nie rozmawialiśmy o tym. W ogóle nie gadaliśmy ostatnio. Nawet o dupach. Ja nic nie wiem, a ty też lepiej udawaj, że jesteś nieświadomy.

— Myślisz, że to taka poważna sprawa?

— A słyszałeś, żeby ruski wywiad miał skłonności do żartów? Wszystko jedno, wojskowy czy milicja.

— A nasi nie mogą mieć czegoś podobnego?

— Mogą. Ale nie mają.

— Skąd wiesz?

— Cholera, jeszcze raz zapytasz, skąd wiem, a więcej się do ciebie w życiu nie odezwę! Zresztą to nie jest rozmowa na telefon. Nawet przy kodowanym łączu.

— Łącze masz kodowane? Ale ja nie. Jakby ktoś chciał nas podsłuchać...

— Nie wymądrzaj się. Gdybym nie był pewien, że to skuteczne, musiałbyś się do mnie osobiście fatygować. A te fotki najlepiej wywal z aparatu i poczty. Na wszelki wypadek. I mam nadzieję, że puściłeś to jakąś okreśną drogą nie z domu i nie z pracy, przez Australię albo chociaż Stany Zjednoczone.

— Wywaliłem jak tylko mail poszedł. A pocztę puściłem przez Chiny — skłamał. — Z kafejki internetowej — to akurat była prawda.

— Mądry chłopak. Czegoś jednak cię nauczyłem.

Zanim Michał zdążył wymyślić zjadliwą ripostę pasującą do tej bezczelnej i pozbawionej podstaw wypowiedzi, Rogalski już mówił dalej.

— Jeszcze jedno, drogi kolego. Wiem, że macie tam zgryz z niezidentyfikowanymi zwłokami.

— Skąd masz takie informacje?

— Skąd mam, stąd mam. Ale powiem jedno. Pomogę ci, bo zawsze cię lubiłem. Coś podobnego już się zdarzyło. Dawno temu, w latach pięćdziesiątych albo na początku sześćdziesiątych. Znam to tylko z opowieści, bo przyszedłem do roboty później. Gdybym prowadził taką sprawę, najpierw bym wypytał starego Bednarza. On powinien pamiętać.

— Ty spryciarzu! — Wroński powstrzymał się, żeby nie krzyknąć tego na całą ulicę. — Włamałeś się do naszej sieci komputerowej i stąd takie dokładne wiadomości! Powiedz, że nie!

— Chyba oszalałeś. Na pewno nie powiem, że tak! Nawet na torturach. I nie wrzeszcz. Łącze mogę sobie ekranować. Ale twojej szanownej gęby już nie.

— Jesteś skuteczniejszy i bezczelniejszy niż cały nasz wywiad i kontrwywiad.

— Albo mnie przeceniasz albo niedoceniasz. Albo chcesz obrazić.

— Albo mam rację.

\*

— Tu leżała analiza balistyczna — Michał postukał palcem w bałagan na biurku. — Jurek, brałeś ją?

— A mnie to po cholere? Był ten twój dozorca. Może on wziął.

— Nie powinien. Raport musi przecież trafić do akt.

— Mnie to mówisz? — wzruszył ramionami Jerzy.

— Nie wiesz, gdzie Baliński polazł?

— Pewnie do starego. Coś tam mamrotał pod nosem.

Wroński nie zastanawiając się pobiegł do komendanta.

— Szef jest zajęty... — próbowała go powstrzymać sekretarka.

Zignorował ją. W środku rzeczywiście zastał inspektora.

— Zabrał pan papiery z balistyki?

— Ach tak, rzeczywiście. Ale mam je w samochodzie.

— Powinny być raczej na moim biurku. Nawet nie zdążyłem ich przejrzeć.

Baliński uśmiechnął się przepaszająco.

— Oddam. Ale nic w nich nie ma ciekawego. Nic, czego by pan nie wiedział.

— To po cholere je pan wytargał?!

Teraz uznał za stosowne włączyć się komendant. Chrząknął

znacząco.

— Uspokój się, komisarzu. Jeśli pan inspektor mówi, że odda, to odda.

— Nie rozumiem, po co mu to, Chcę zobaczyć...

— Potrzebne są do innej sprawy. Musimy coś sprawdzić, czy przy innym przestępstwie użyto tej samej broni...

— Co to za dyrdymały? Jak chcecie sprawdzić, czy to ta sama śrutówka? Chyba że — przyszła mu do głowy myśl. — Chyba że...

— Nieważne — uciął Baliński. — Odzyska pan materiał w swoim czasie. Są ważniejsze sprawy niż pańska.

\*

Jerzy ze zdziwieniem słuchał tego, co mówił do telefonu Wroński. Nawet otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale ból w szczęce i rozkwazzonej wardze przypomniał, kto go tak urządził.

— Z tej strony inspektor Majchler z Komendy Powiatowej w Oleśnicy. Tak, komendant placówki. Dostaliśmy dzisiaj rano przesyłkę, ale niestety uległa zniszczeniu — chwilę słuchał głosu z drugiej strony. — Na mnie niech pan nie wrzeszczy. Mam takich podwładnych, jakich mam. Sieroty boże, nie potrafią nawet obchodzić się dokumentami. Wie pan, z przerażeniem myślę, że oni mogą czasem być zmuszeni sięgnąć po broń! Jeden z drugim kawy nie umie donieść na stolik, żeby jej nie wywalić, a mają łapać przestępców! Czego od pana oczekuję? Żeby mi pan podesłał jeszcze raz tę analizę. Pal diabli formalności. Nie da rady? Dobrze, wyślę oficjalne pismo, ale zrób pan dla mnie chociaż tyle, żeby powiedzieć, co tam było — słuchawka zabrzęczała oburzeniem. — Nie wszystko, kochany, na cholerę mi wszystko! Wystarczy epikryza. Jądro. Wniosek. Posumowanie. Dobrze, czekam.

— A tobie co, oszalałeś? — nie wytrzymał Jurek. — Stary cię zabije, jak się dowie.

— Przy tylu trupach, ile mamy ostatnio, nie powinno to robić różnicy — Michał zakrył dłonią sitko mikrofonu. — A muszę wiedzieć, co tam było takiego, że Baliński położył na tym łapę, zanim zdążyłem powąchać papier. Tak? — rzucił w słuchawkę. — jestem i słucham. W miarę jak technik z drugiej strony mówił, twarz mu się wydłużała.

— W mordę — powiedział po chwili.

— Czego się dowiedziałeś?

— W mordę — powtórzył.

Nic więcej Jerzy od niego nie usłyszał. Zajął się więc swoją robotą, rzucając jedynie od czasu do czasu czujne spojrzenia w stronę partnera. A Michał siedział długo ze wzrokiem wlepionym w ścianę.

\*

„Klub Kibica” był lokalem o profilu, jak to określał Jerzy, browarnianym. Spotykali się tam, wbrew nazwie, nie tylko kibice, ale przede wszystkim okoliczni miłośnicy chmielowego nektaru. Michał odwiedzał knajpkę bardzo rzadko, chociaż mieszkał całkiem niedaleko. Jakoś go nie ciągnęło do piwiarni. Wolał się napić w domowym zaciszu. O ile oczywiście było zaciszem, bez kolejnego napadu zazdrości Magdy. Dzisiaj jednak po skończeniu pracy skierował pierwsze kroki do „Klubu”. Stary Bednarz był tam stałym gościem. Mówiono nawet, że w ogóle nie opuszcza terenu lokalu, ale tuż przed zamknięciem zamienia się w jeden ze stolików, a w nocy podpija z beczek i dolewa wody. W zasadzie do domu nie miał po co wracać, bo żona zmarła kilkanaście lat wcześniej, a dzieci wyjechały na stałe do Australii. W ogóle naprawdę spora część młodych mieszkańców Oleśnicy wybierała właśnie tamten kierunek emigracji.

Tego dnia emerytowany policjant siedział przy stoliku na zewnątrz, jak zawsze nie rzucając się w oczy, schowany w dalekim kącie. Sączył piwo, wpatrzony gdzieś w przestrzeń zamyślonym wzrokiem. Myliłby się jednak ktoś, kto by posądzał starego o brak czujności. Mimo pozornego odrętwienia widział wszystko i rejestrował każdy ruch, każdą pojawiającą się twarz. Kiedyś ta właśnie ukryta czujność pozwoliła na schwytanie trzech rabusiów, którzy zabrali całodniowy utarg grożąc barmance nożami. Tylko Bednarz potrafił szczegółowo opisać napastników. Reszta gości i przerażona dziewczyna byli bowiem zbyt zszokowani niezwykłym wydarzeniem, żeby myśleć logicznie. Od tamtej pory właściciel knajpy sponsorował mu jedno piwo dziennie.

Wrońskiego też od razu zauważył. Nie dał najmniejszego znaku, nie drgnął najmniejszy mięsień na pomarszczonej, opalonej twarzy. Przypominał wiekowego Indianina z opowieści Karola Maya albo Alfreda Szklarskiego, nieporuszonego wodza Siuksów czy Dakotów. Tylko oczy błysnęły pod krzaczastymi brwiami. Wroński to nad wyraz rzadki gość. Albo mu żona dopiekła do żywego, albo ma jakiś interes.

Michał rozejrzał się, dostrzegł starego, podniósł rękę. Bednarz uczynił zapraszający gest. Wroński jednak nie podszedł od razu. Najpierw wszedł do środka lokalu, wyniósł stamtąd dwa piwa.

— Wiesz, jak się zachować, młody — mruknął z uznaniem stary policjant. Pociągnął łyk, na twarzy pojawił się uśmiech zadowolenia. — O! Masz pojęcie, co dobre! Niezły fikołek — Znów zanurzył wargi w płynie — Nawet więcej niż niezły. Najlepsze jest piwko z tequillą, ale przy tutejszych cenach to tylko marzenie. Poza tym nie mają w tej spelunie porządnej siwuchy z kaktusów, tylko jakąś tanią podróbę.

— Nieźle wyglądasz — Michał usiadł naprzeciwko.

— Co chcesz. Porządny, przedwojenny materiał. Wtedy robili mocniejszych ludzi. Nie to, co dzisiaj. Wszystko wyrosnięte niby świerki, a chorowite niczym brzoza — Przez jakiś czas Bednarz był strażnikiem leśnym. Lubił porównania wyniesione z tamtej pracy. — A te alergię... Za moich czasów spaliśmy na sianie, żarliśmy byle co z byle czym i nie bywało tego wszystkiego.

— Zaraz powiesz, że przeżywali najsilniejsi, a to jest klucz do zdrowego społeczeństwa.

— Żebyś wiedział, młody. Święta prawda! To się nazywa darwinizm stosowany. Dobra — przechylił kufel, przymykając z zadowolenia oczy — mów, co cię sprowadza.

— A jeśli powiem, że chciałem się z tobą tylko spotkać i pogadać, uwierzysz?

— Nie — odpowiedź była krótka i zdecydowana niby strzał z bata. — Takich bajek próbuj na swojej starej. A przy okazji, co u niej słyhać? Dalej taka szprycha jak kiedyś? Dawno jej nie widziałem.

— Widziałbyś, gdybyś kursował na innych trasach niż mieszkanie piwopój.

— O przepraszam! Jest jeszcze sklep spożywczy.

— Nie liczy się, bo masz go po drodze.

— Powiedz lepiej jak twoja żonka. Miała najładniejsze nogi, jakie w życiu widziałem.

— Żyje.

— Że też taka ładna kobieta wybrała ciebie. Tylu po świecie chodzi miłych, przystojnych facetów...

— Jak chociażby ty — wpadł mu w słowo Michał.

— Jak chociażby ja. Nie myśl sobie! Swoje lata mam, ale nie tylko piwo potrafię wypić. Poza przelykiem reszta też jeszcze funkcjonuje całkiem, całkiem.

— Pogratulować. Samopoczucie w każdym razie masz niezłe.

— Ujdzie. Mów wreszcie, co cię sprowadza — spoważniał Bednarz.

— Dawne sprawy. W policji pracowałeś od lat pięćdziesiątych, prawda?

— W milicji, młody. Wtedy to się nazywało milicja.

— Nieważne. Przejęczyłem się. Pracowałeś.

— Jasne. Od pięćdziesiątego trzeciego roku. Przyjęli mnie w dzień śmierci Stalina. Kadrowa jak raz zdążyła przystawić pieczętkę, a za chwilę wpadł naczelnik z płaczem, że wielki ojciec nie żyje. Wtedy...

— Dobrze! — Wroński podniósł głos. — Znam tę historię na pamięć. To było pytanie retoryczne! Dopiero teraz będzie właściwe. Chcę się od ciebie dowiedzieć, czy nie było w tamtym czasie sprawy niewyjaśnionych zgonów. Serii niewyjaśnionych zgonów — uściślił.

Bednarz zmyślił się. Opróżnił kufel, zastukał palcami po stole. Michał natychmiast podsunął drugie naczynie. Stary mruknął z uznaniem, wypił tęgi łyk. Zapatrzył się w przestrzeń, wertując w głowie karty wspomnień.

— Tak... — powiedział w końcu. — Było coś. Ale ja wtedy chodziłem po ulicach jako zwykły krawężnik, nie miałem dostępu do ważnych akt. Jednak na komendzie aż huczało od plotek. Nawet taki młodziak jak ja coś załapał. W okolicach zamku i parku znajdowano trupy. Bez śladów przemocy, bez dokumentów, w dodatku samych obcych, których nikt nie potrafił rozpoznać.

— Kiedy to było?

— W drugiej połowie lat pięćdziesiątych. Ale nie żądaj dokładnych dat. Zdaje się, że już za Gomułki, ale głowy bym nie dał.

— O czym plotkowaliście wtedy?

— Jak zawsze, młody. Kto ile zarabia, jak dożyć do pierwszego i o dupach.

— Nie o to pytam — zirytował się Wroński. — O czym...

— O meczach — ciągnął uparcie Bednarz — i o tym, że można wypić dużo piwa, a jak się trochę człowiek nagada to nawet jeszcze więcej.

— *Aluzju poniał* — Michał podniósł się, skierował do baru.



— A weź jedno z tą ich poronioną kaktusówką! — zawołał za nim Bednarz. — Zawsze to coś. Po chwili komisarz wrócił z kolejnymi dwoma kuflami.

— To rozumiem — sapnął emeryt, przechylając szkło. Michał patrzył z podziwem. Jemu po takiej dawce mieszanki język by się już nieźle plątał. — Teraz mogę mówić.

Otarł usta z piany, odetchnął głębiej.

— Patrz, jak ten świat zwariował — wskazał chłopaka przejeżdżającego za ogrodzeniem na rolkach. — Buty z kółkami jak łyżwy, w uszach słuchawki i posuwa taki na podryw w kasku. Za naszych czasów ubierałeś się porządnie, kupowałeś kwiatki i wino. A i wtedy nie zawsze szło panienkę zaliczyć. Teraz młodziak wytnie dwa numery na tych rolkach i każda jego. Dziewuchy nie certolą się jak kiedyś. Szkoda, że wtedy tak nie było...

— Możemy wrócić do tematu? — Michał z niepokojem obserwował błyskawicznie obniżający się poziom płynu. Stary zaraz weźmie się już za drugi kufel. Ta rozmowa kosztowała już sporo. Szczególnie tequilla spowodowała poważny wzrost kosztów. — Nie mam zbyt wiele czasu.

— A o co pytałeś? Aha, o czym się rozmawiało przy okazji tych trupów! Sam wiesz, jakie to były czasy. We wszystkim węszone spisek antypaństwowy, nawet jeśli rzecz szła o zwykłą bimbrownię. Od razu zjawili się ubecy z województwa, żeby nadzorować postępy. Zaraz pojawiły się brednie o obcych wywiadach, wszyscy byli podejrzani. Ale potem przyjechał ktoś z samej góry, wziął się za to i po kilku tygodniach wszystko ucichło. Tyle wiem.

— To wszystko? — Wroński był rozczarowany.

— A co? Informacje niewarte poniesionych kosztów? Bywa tak w naszej robocie.

— Daj spokój — Michał machnął ręką. — Miałem po prostu nadzieję, że powiesz coś więcej.

— Gdybym wtedy pracował w pionie kryminalnym, wiedziałbym pewnie wszystko. Ale zaczynałem dopiero milicyjną karierę — zamyślił się. — I dobrze. Bo to były wprawdzie okropne czasy, ale przedtem działo się jeszcze gorzej.

— W każdym razie dzięki — komisarz położył rękę na ramieniu rozmówcy. — Na mnie czas.

— Zajrzyj do wojewódzkiego archiwum — poradził jeszcze emeryt.  
— Tam powinny się jeszcze walać akta tych spraw. Na pewno przetrwały wszystkie zakręty historii, bo to nie było w końcu nic takiego, żeby usuwać albo palić.

— Dzięki.

Bednarz zamarł nad drugim piwem, po swojemu zapatrzył się w przestrzeń. Po kilku minutach z zamyślenia wyrwało go pytanie.

— Można się przysiąc?

Stał przed nim niepozorny osobnik, uśmiechając się niepewnie.

— To wolny kraj. Podobno. Ale też i wolnych stoików mamy tu dostatek. Nie widzę powodu, żebyśmy się gnietli przy jednym.

— A ja widzę — człowiek usiadł, nie pytając już o pozwolenie. Rzucił na stół otwartą legitymację — Porucznik Dariusz Wilicki. Chciałem zadać kilka pytań.

Emeryt uważnie obejrzał dokument, nie śpiesząc się przeczytał wszystkie dane.

— Słucham, panie poruczniku! — zdawało się, że za chwilę wstanie, stuknie obcasami i przybije palcami do daszka nieistniejącej czapki.

— Nie tak głośno! — syknął niepozorny. — Nie muszą wszyscy wiedzieć!

— Dobra, niech pan pyta.

— O czym rozmawiał pan z komisarzem Wrońskim.

Stary ściągnął wargi, spojrzał prosto w oczy rozmówcy. Milczał bardzo długo, aż porucznik zaczął się niespokojnie kręcić.

— Czekam! — warknął wreszcie.

— Spieprzaj — odparł tym samym tonem Bednarz. — Gównu cię to obchodzi.

— Przypominam — niepozorny opanował się już, mówił znów spokojnie i uprzejmie — że jest pan zobowiązany do wszelkiej pomocy, jakiej zażadam.

Emeryt prychnął pogardliwie, upił piwa, odstawił je zaraz. W takim towarzystwie nawet ulubiony napój nie smakuje.

— Mam to w dupie. Jestem dawno poza nawiasem policyjnej roboty. Dla mnie to już *vorbei*, jak mawiają Niemcy.

— *Vorbei* to może być dla pana gdyby przyszła mobilizacja. Ale współpraca ze mną jest obywatelskim obowiązkiem.

— Dobra, powiedziałaś swoje, szczeniaku, a teraz won. Przeszkadzasz mi.

— W czym?

— W rozmyślaniu jak to dobrze, że nie muszę dać ci w mordę, żebyś sobie poszedł.

— Stanowczo żądam...

— A żądaj sobie ile chcesz i czego chcesz. Tyle że niekoniecznie ode mnie. Pozwól, że zacytuję jednego z naszych polityków. Spieprzaj, dziadu. Koniec rozmowy. Niczego ode mnie nie usłyszysz! Jeszcze chwila, a wyleję ci na łeb to piwo, chociaż byłoby bardzo szkoda.

— Ostrzegam, że taka postawa może spowodować przykre konsekwencje!

— A co mi zrobisz? Każesz aresztować? — z satysfakcją patrzył na poczerwieniałe oblicze porucznika. — To byłaby nawet jakaś odmiana w moim monotonnym życiu. Nie strasz, nie strasz, bo się zesrasz. Idź swoją drogą, najlepiej do waszej ściśle utajnionej piaskownicy. Jeśli to w ogóle jest piaskownica, a nie dół z gnojówką. Chcesz wiedzieć, o czym rozmawiałem z Wrońskim? O tym jak słodko i zaszczytnie jest umierać za ojczyznę. Po łacinie to chyba brzmi *Dulce et decorum est pro patria mori*. Możesz to napisać w raporcie. A teraz żegnaj, kochasiu.

\*

Napawał się ciszą panującą w domu. Magda jeszcze w pracy, mały robi lekcje. Takie chwile spokoju sprzyjają rozmyślaniom. Wolałby jednak, żeby myśli były bardziej przyjemne. Sprawa zastrzelonego pewnie będzie się ciągnęła jeszcze długo. Raport balistyczny więcej zagmatwał niż wyjaśnił. Śrut niewątpliwie pochodził z pocisku używanego w shotgunach, „pompkach”, znanych głównie z amerykańskich filmów. A na dodatek dowiedział się czegoś, co zupełnie wprawilo go w osłupienie. Tego nie znalazł w dokumentach autopsji. Strzały ze śrutu strzałami ze śrutu. Ale nieboszczyk oberwał jeszcze z pistoletu. Kaliber dziewięć, amunicja rozpryskowa. Nie było widać rany w krwawej masie, ale technicy dostali do analizy odłamki pocisku.

Czyli należy ostatecznie wykluczyć porachunki rodzimych, oleśnickich bandytów, bo ta metoda do nich nie pasuje. To zresztą było jasne od dawna. Dla Wrońskiego zmasakrowana twarz nieboszczyka była najlepszym dowodem, że sprawy muszą się łączyć z

niezidentyfikowanymi zwłokami. Przecież odcisków palców zastrzelonego też nie ma w policyjnych zbiorach, na kartę dentystyczną nie ma co liczyć, zważywszy na opłakany stan zębów ofiary. I, co najważniejsze, on też nie trafił do bazy danych, rzekomo zhakowanej przez jakichś małolatów. Czyżby Ramiszewski zamierzał mu wtedy powiedzieć o tym dodatkowym postrzale, który, pewnie z polecenia kogoś z góry, pominął w protokole? A może o czymś jeszcze?

Podszedł do okna. Z roztargnieniem odruchowo zlustrował rząd samochodów na blokowym parkingu. Zaraz. A co to za wóz? Czarne audi, nowiutkie. Kogo z sąsiadów stać na podobny luksus? Przyciemniane szyby, ale pod światło, padające teraz z tyłu, widać sylwetki za kierownicą i na fotelu pasażera. Zaklął. Coś cholernie znajome wydają się te sylwetki! Ale może to wina tych bajeranckich szyb. Trzeba by się upewnić.

Po chwili schodził na dół z pustym koszem na śmieci. Idąc do śmietnika musi przejść obok tego wozu. Nieśpiesznie wyszedł przed blok, odetchnął, ziewnął lekko, a potem ruszył przed siebie. Teraz jednak nie było zupełnie widać ludzi wewnątrz auta. To tylko grymas zachodzącego słońca pozwolił przedtem zajrzeć do wnętrza. Czarne powierzchnie samochodowych okien zdawały się martwe i groźne zarazem.

— Czekaście — mruknął. — Już ja was sobie obejrzę.

Wrócił do domu.

— Patryk — zawołał — daj no swoje farbki plakatowe! Białą i żółtą najlepiej!

— A po co ci, tato?

— Chcę zrobić znajomym kawał. Pomożesz mi?

Tego chłopakowi nie trzeba było dwa razy powtarzać.

Kwadrans później obserwował syna, jak idzie przez podwórze, skręca za sąsiedni budynek i znika z oczu. Wiedział, że teraz mały zatrzymał się i wyjął z reklamówki foliową torebkę. Potem zobaczył zataczający łuk przedmiot. Patryk od zawsze miał niezły rzut i celne oko. Na nieskazitelnie czarnej masce i bocznej szybie wykwitł piękny, biało żółty kleks. Dusząc się ze śmiechu, Wroński patrzył na wymachującego rękami człowieka, który wyskoczył w samochodzie. Za moment otworzyły się drzwi kierowcy i wysiadł drugi.

Radość Michała skończyła się równie szybko, jak zaczęła. Z czego się cieszysz, idioto? Flip i Flap nie odstępują cię już nawet na krok.

Po chwili skrzypnęły drzwi mieszkania. Patryk z szerokim uśmiechem zajrzał do pokoju. Musiał wleźć do budynku przez piwniczne okienko. A tyle razy mu się mówiło, żeby tego nie robił! Teraz jednak Wroński nie zamierzał zwracać synowi uwagi.

— Udało się, tato?

— Świetnie, synku. Tylko nie mów mamie. Niech to będzie nasza wspólna tajemnica. Kobieta tego nie zrozumie.

— Jasne, tato — mały podniósł dwa palce jak do przysięgi.

— To przybij piątkę i idź dalej robić lekcje.

Został sam z ponurymi myślami. Tych dwóch niuńków z wewnętrznego, cięty na niego komendant i superwizor z województwa, który jak na razie w pracy bardziej przeszkadza niż pomaga. Trupy w Oleśnicy, zabójstwo Ramiszewskiego i dziewczyny... To wszystko jakoś się wiąże. Tylko jak? W jaki sposób znaleźć nić łączącą te sprawy? Na dobitkę rosyjski podsłuch i nielojalność kolegi... A właśnie, nawet mu niczego nie wyjaśnił. Wystukał numer w telefonie.

— Cześć, Jurek, to ja. Wiem, że jesteś już w domu i nie chce ci się ze mną gadać, nie cytuj mi tekstów Lindy, z łaski swojej. Chciałem cię tylko przeprosić za podejrzenie, że opowiadałeś nadpolicjantom o naszych rozmowach. Wiem, że trochę późno, ale jakoś się nie złożyło. Do jutra — Odłożył słuchawkę i dodał — Ale miałeś wtedy rację. I tak ci się po mordzie należało.

— Wezwałem pana tutaj — zaczął burmistrz, wskazując Wrońskiemu krzesło — w pewnej sprawie.

— Poprosił mnie pan tutaj — odparował Michał — żeby coś wyjaśnić.

— Tak — uśmiechnął się burmistrz — poprosiłem. Wezwać mogę podległego pracownika, prawda? A policja mi nie podlega. To chciał pan dać mi do zrozumienia?

— Panie burmistrzu. Z całym szacunkiem. Ale tak właśnie. Wzywać pan może kogoś, komu daje pan pracę. A ja jestem obywatelem płacącym podatki i to w mojej osobie i mnie podobnych ma pan pracodawców.

— Czy nadejdzie kiedyś chwila, kiedy nie usłyszę z pana ust podobnych złościwości?

— Nie wiem. Szczerze mówiąc, wątpię. To chyba silniejsze ode mnie.

— Sprawia to panu taką przyjemność, tak mnie pan nie lubi?

— Nie w tym rzecz. Ale parę razy widziałem jak różni włożą panu w tyłek. To ich nie lubię, nie pana. Brzydzi mnie to. Wiem z własnego doświadczenia i obserwacji, że takie postawy wbijają przełożonych w nadmierne poczucie własnej ważności. Pan jest dla mnie takim samym człowiekiem, jak inni. Na stanowisku, ale moim zdaniem to raczej zobowiązuje niż rozgrzesza ze słabości.

W tej chwili weszła sekretarka, ładna kobieta pod czterdziestkę. Uśmiechnęła się przelotnie do Wrońskiego. To była jedna z niewielu osób w ratuszu, które naprawdę znały się na swojej pracy.

— Przepraszam, że przeszkadzam. Ale są te dyplomy do podpisania. Gdyby pan mógł... Dyrektor szkoły podobno bardzo na to czeka.

— Pan wybacz.

Michał kiwnął głową. Dyplomy... tak. Burmistrz podpisuje osobiście takie duperele. Dyrektor szkoły pilnie czeka na te parę świstków, wygląda ich jak kania dżdżu. Pewnie ma się odbyć uroczysty apel z okazji albo ku czci, który zostanie uświetniony rozdaniem dyplomów uznania podpisanych przez pierwszego po Bogu w mieście. Apel, o którym nie tylko wszyscy natychmiast zapomną, ale przede wszystkim mało kto się

downie. No cóż, jaki zakres władzy, takie problemy. Burmistrz na pewno ma ten cały cyrk gdzieś, bo dla niego ważna jest nowa uliczka gdzieś na granicy miasta albo kłopoty z miejscowymi biznesmenami. Poczuł nagle, że dusi się w tym grajdole, w tych układach, wśród ludzi, którzy znają wszystkich i czują się w mętnych wodach małej polityki jak przydenne ryby.

— Dobrze — burmistrz podjął rozmowę, zanim jeszcze sekretarka wyszła. — Poprosiłem pana w pewnej sprawie. Domyśla się pan, w jakiej?

— Redaktorek się poskarżył — bardziej stwierdził niż spytał Wroński.

— To też. Podobno prowadzi pan prywatną wojnę z naszą gazetą.

— Nie prowadzę żadnej wojny. Przynajmniej nic mi o tym nie wiadomo.

— To dlaczego utrudnia pan pracę dziennikarzom?

— Tak powiedział? — Wroński uniósł brwi. — Powinien się cieszyć, że nie został oskarżony o utrudnianie pracy policji. Gdzie się tylko coś wydarzy, ten szakal natychmiast jest.

— To jego zawód. Traktuje go jako powołanie.

— Naprawdę? Jakoś nie przyjechał, kiedy złapano jego kumpla, pana radnego, prowadzącego samochód po pijanemu. Jakoś go nie było, gdy syn prezesa Gronia potracił bezdomnego. Wybiórczo traktuje swoje powołanie. Jego pisemko z lubością opisze proces człowieka, który ukradł przyczepę styropianu, ale o rozprawie sądowej w sprawie nadużyć i przestępstw dokonanych przez dyrektora dużego ośrodka ani słowa.

Burmistrz zabębnił palcami w blat biurka. Ta rozmowa była nieprzyjemna i do niczego niepotrzebna. Ale obiecał ustawić komisarza i musiał to zrobić. Nie chodziło zresztą o Niwę, on był tylko pretekstem. ..

— Groził mu pan przemocą fizyczną, kąpielą w ścieku.

— Po pierwsze nie groziłem, ale napomknąłem o takiej możliwości, a po drugie ma pan na to tylko jego słowo. A co ono jest warte, nie muszę mówić.

— Chciałbym, żeby pan doszedł do porozumienia z lokalną prasą. Takie zgrzyty na linii trzeciej i czwartej władzy są zbędne. Pan ma coś osobiście do naczelnego?

— Osobiście? Osobiście nie mam przyjemności się z nim kontaktować. To zwyczajna gnida, panie burmistrzu. Ścierwo dziennikarskie najgorszego chowu. W dodatku z prawdziwego pismaka ma tylko metody pracy, bo z językiem artykułów jest znacznie gorzej.

— Pan jest krytykiem literackim, komisarzu?

— Niepotrzebna ironia. Niech pan weźmie pierwszy z brzegu artykuł w profesjonalnej gazecie i porówna z wycpinami naszego redaktora.

— Zostawmy to — westchnął burmistrz. Nic z tego nie będzie. Wroński i Niwa nie znoszą się wprost organicznie. — To nie wszystko. Podobno twierdzi pan, jakoby w naszym mieście miała miejsce seria morderstw...

— Zabójstw, panie burmistrzu. W języku policyjnym mówimy o zabójstwach.

— Nieważne, jak to nazwiemy. Ale bardzo proszę nie upowszechniać takich informacji. To szkodzi wizerunkowi miasta. Wie pan ile mnie kosztowało wyperswadowanie panu Niwie publikacji na ten temat?

— I udało się go przekonać? Ma pan wielki dar. Ale to nie ja upowszechniam takie plotki, może mi pan wierzyć. Jeśli ktoś to robi, trzeba go szukać właśnie wśród dziennikarzy. A ich informatorem nie jestem z pewnością ja. Pewnie ten gość ma jakiegoś życzliwego na utrzymaniu w komendzie. I zapewniam o jednym. Jeśli się dowiem, kto to jest, osobiście skieruję sprawę na drogę służbową.

— Cóż, w takim razie dziękuję za rozmowę. Mam nadzieję, że nasze następne spotkanie będzie dotyczyło spraw bardziej przyjemnych.

Wroński takiej nadziei raczej nie miał, ale kiwnął na zgodę. Wstał. Kiedy położył rękę na kłamce, zatrzymał go jeszcze głos burmistrza.

— Panie Michale — powiedział cicho. — Niech pan na siebie uważa.

\*

— Sprytne, komisarzu, bardzo sprytne — powiedział Baliński mierząc Michała zimnym spojrzeniem. — Sprytne, ale zupełnie niepotrzebne. Tę analizę położyłem dzisiaj rano na pana biurku.

Wroński wzruszył ramionami. Cholera cię wie. Dzisiaj ją przyniosłeś, bo wiedziałeś, że i tak znam wyniki. Ale gdyby nie to, może zamierzałeś ją gdzieś zadołować.



— Komendant od samego rana chodzi i pyta wszystkich po kolei, dlaczegóż to jakieś gryziopórki wydzwanają do niego z żądaniem przesłania tajemniczego pisma do sekretariatu komendy wojewódzkiej. Nie poinformowałem go o pana wybryku, żeby panu jeszcze nie dokładać.

— Podziękowałbym za dobre serce, ale przecież zrobiłem to z powodu pańskich działań, a nie dla własnej przyjemności. Więc chyba nie ma za co.

Inspektor skrzywił się niechętnie. Ten Wroński to naprawdę przykry typ. Nie dość, że bezczelny, to jeszcze inteligentny. A przecież jego szef twierdził, jakoby był przeciętnym gliną, jednym z tych, którzy nie lubią się przepracowywać, wypełniają obowiązki, ale tylko w godzinach pracy, a resztę mają gdzieś.

— Proszę mi powiedzieć, co pan sądzi o sprawie?

— Której? Morderstwa Ramiszewskiego czy tego zastrzelonego?

— Proszę nie udawać! O tajemniczych trupach. Na pewno ma pan swoje przemyślenia.

— Przecież nie ma żadnej sprawy niezidentyfikowanych zwłok! — odparł Michał z udawanym zdumieniem — Za głupie uwagi na ten temat zebrałem niezły opieprz!

— Chociaż przez chwilę porozmawiajmy poważnie. Oczywiście, że te wszystkie sprawy się łączą. Mogę panu nawet zdradzić kilka informacji, które do was nie dotarły w całości. Na sześć ciał dwa miały skrecony kark, jedno ślad po wkłuciu, dwa nie nosiły znaków ingerencji zewnętrznej, poza czymś, o czym powiem na końcu. Jednemu denatowi przebito igłą rdzeń kręgowy, a właściwie pień mózgu. No i jeden trup został zastrzelony, wie pan już, że z amerykańskiej pompki. I pistoletu bądź rewolweru. A wszystkie ciała, poza tym zastrzelonym, miały we krwi pozostałości szybko rozkładającej się trucizny.

— W medycznej dokumentacji dotyczącej zwłok nie ma nawet słowa na ten temat. Same zawały i ataki serca. Oprócz skreconia karku, bo to było widać na pierwszy rzut oka, ale z komentarzem, że to na skutek upadku.

— Ale i tak się pan domyślał, że trupy nie były ofiarami wypadków ani chorób. Dlatego ciekaw jestem, co pan o tym sądzi.

Wroński milczał dłuższą chwilę, zbierając myśli. Nadszedł czas,

którego powinien oczekiwać od momentu pojawienia się superwizora z Wrocławia. Bezpośrednie pytania.

— Co ja o tym sędzę... — powtórzył powoli za Balińskim. — To muszą być działania zorganizowanej grupy przestępczej. A może raczej grup przestępczych, co najmniej dwóch. O coś chodzi, a skoro nie wiadomo o co, pewnie o pieniądze, jak zawsze — zamilkł, zastanawiając się nad sprawą, która w tej chwili przyszła mu na myśl. Może tym zbyć inspektora? Uspić jego czujność? Baliński milczał, czekając cierpliwie. — Oleśnica — podjął Michał — leży na szlaku narkotykowym. Przerzut wschód-zachód i północ-południe. Zawsze bywało tu gęsto, ale nie tak, jak teraz i raczej bez zabójstw. Handlarze narkotyków na ogół starają się nie rzucać w oczy. Jednak jeśli zaczęła się rozgrywka o wpływy, można się spodziewać nawet większej liczby ofiar.

— Ciekawe wnioski — mruknął z wyraźnym uznaniem Baliński. Wydawał się bardzo zadowolony. — Coś jeszcze w tej sprawie?

— Owszem. Upewnia mnie w tym toku rozumowania właśnie pan. To znaczy pojawienie się przedstawiciela z Wrocławia. Myślę, że ma pan nawet nie tyle pilnować mnie, co obserwować całą komendę. Doskonale wiecie, ilu przedstawicieli władzy, nie tylko policjantów, jest tutaj skorumpowanych przez dilerów. Trzeba trzymać rękę na pulsie, a najlepiej udawać przy tym głupiego.

— Brawo. Coś jeszcze?

— Jasne. Ci dwaj z wewnętrznego. Oni też powinni interesować się takimi sprawami. Nie rozumiem tylko, dlaczego śledzą akurat mnie.

— Ich myślenie chadza dziwnymi i pokrętnymi drogami — uśmiechnął się inspektor. — Przypuszczam, że uwzięli się na pana, bo dał im pan popalić. A ten numer z farbą na samochodzie... Nie liczyłbym, że dadzą sobie na wstrzymanie.

— O tym, też pan wie?

— Ja wiem o wszystkim. A trop narkotykowy jest naprawdę bardzo interesujący. Niech pan spróbuje coś z tego wyciągnąć. Mnie idzie trudniej, bo jestem obcy, ale pan może popytać, powęszyć. Jest pan uczciwym gliną. A to oznacza, że gramy po tej samej stronie boiska. Mogę liczyć na współpracę?

— Jeśli chodzi o narkotyki, może pan. Oczywiście. Nienawidzę handlarzy. Dlatego nie dają mi tutaj takich spraw.

— Myśli pan, że chodzi o tamto pobicie? — Uśmiechnął się Baliński — Kiedy diler wylądował na chirurgii szczękowej? Swoją drogą ma pan niezłe pociągnięcie. Podobno załatwił mu pan pół szczęki jednym ciosem. Ale niezupełnie w tym rzecz, drogi komisarzu. Brutalność była tylko pretekstem. Ktoś po prostu nie życzy sobie, żeby narkotykami zajmował się ktoś cięty na ten proceder. I, powiem więcej, nie chodzi o komendanta. On jest poza podejrzeniem. Sygnał idzie z góry, z wyższej półki.

— Dlaczego mi pan to mówi? — Wroński zmrużył oczy — Czy to nie jest poufna informacja, o której nikt nie powinien wiedzieć?

— A czy właśnie nie prowadzimy poufnej rozmowy, o której także nikt nie powinien się dowiedzieć? Proszę iść tym tropem, bo wydaje się obiecujący. Mogę na pana liczyć?

— Oczywiście. Zbadam trop narkotykowy.

\*

Archiwum komendy wojewódzkiej świeciło pustkami. Snuło się po nim zaledwie kilku ludzi z obsługi i paru interesantów. Wroński, czekając na realizację zamówienia, z ciekawością przyglądał się podinspektorowi siedzącemu dwa stoliki dalej. Mundur zdawał się prosto spod igły, w pasie ściśnięty szerokim rzemieniem, jakby ten miał go za chwilę przeciąć na pół, plecy wyprostowane, czapka na blacie ułożona równiutko z białymi rękawiczkami. Wyglądał bardziej jak rzeźba niż człowiek. Takie pozy przyjmują bohaterowie dziewiętnastowiecznych obrazów o treści patriotycznej. Spod zmarszczonych brwi śledził w skupieniu rzędy liter. Darmo szukać podobnych osobników w podrzędnych komendach. Ten musi być jedną z miejscowych szyszek. Ale żeby był aż tak sztywny? Nawet w Warszawie podczas wielkiej gali wyróżniałby się w tłumie funkcjonariuszy. Właśnie takich ludzi należy się bać. Traktują śmiertelnie poważnie wszystko, co robią, nie mają do siebie za grosz dystansu. Wydaje im się, że cały świat czeka na ich potknięcie i są tym bardziej pomnikowi, im większe może grozić ośmieszenie. Każde słowo nie wydobywa się z ich ust, ale wypływa z dostojeństwem równym powolnemu marszowi królewskiego orszaku, wyważone i dogłębnie przemyślane. O, właśnie...

Do oficera podszedł pracownik archiwum.

— Proszę pana — Wycedził podinspektor, unosząc wysoko prawą

brew. Jakby był zmanierowanym angielskim arystokratą, pomyślał natychmiast Michał. — Prosiłem wyraźnie o materiały dotyczące całej sprawy, a nie tylko wycinka, prowadzonego przez tutejszą placówkę.

Mówił głośno i dobitnie, najwyraźniej chcąc, aby wszyscy słyszeli.

— Przykro mi — rozłożył ręce archiwista. — Jeśli chce pan dodatkowo informacji z Katowic, musi pan cierpliwie czekać aż je sprowadzimy. Trzeba wypełnić odpowiedni rewers, wpisać numer sprawy i akt. Trochę to potrwa, chyba że chce pan się pofatygować do tamtejszego archiwum.

— Jeśli dochodzenie było zakończone we Wrocławiu, wszystkie materiały dotyczące go powinny się znajdować tutaj. Przecież to logiczne.

— Oczywiście, że logiczne. Ale sam pan wie, jaki bałagan panował w pewnym okresie w archiwach. Dobrze, że w ogóle jakoś się z tym pozbieraliśmy.

— Jednak uważam...

— Chce pan ten kwit czy nie? — przerwał mu pracownik — Bo od naszej rozmowy nic się nie naprawi i nie zmieni. Jest jak jest, nic na to nie poradzę.

— Niech pan da — oficer powiedział to równie dostojnie jak wszystko, choć widać było, że złość nim trzęsie.

Tak. Michał w duchu pokiwał głową. Mieć takiego szefa to lepiej już codziennie ocet pić. Mózg ma równie doskonale wyprany i wykrochmalony jak kołnierzyk. A zamiast szarych komórek gwiazdki i lampasy. Był taki wykładowca w Szczytnie. Nazywali go Pierdziosnek. Nie dlatego, żeby wykazywał ostre problemy gastryczne, ale prawie każdą wypowiedź poprzedzał skrzywieniem ust i dziwnym odgłosem wydętych warg. Szczególnie jeśli mówił „proszę państwa”. Czyli, w zasadzie, prykał na okrągło. Owo „pr” w słowie „proszę” wypowiadał właśnie w irytujący, a zarazem śmieszny sposób, nie używając dla artykulacji „r” języka, ale wypuszczając powietrze niczym dziecko naśladowujące pyrknięcie samochodu.

— Właściwie chce pan wszystkie akta z lat pięćdziesiątych? — rozmyślania przerwał mu młody chłopak, a właściwie chyba ponad trzydziestoletni mężczyzna o chłopięcym wyglądzie. — Bo to będzie cała góra materiałów. Województwo...

— Nie, nie, chodzi mi o akta z komendy w Oleśnicy.

— Trzeba było to uściślić — odparł pouczającym tonem archiwista.

— A ze spraw, które pana najbardziej interesują? Wydziału kryminalnego, obyczajówki, przestępstw gospodarczych czy jeszcze inne.

— Chyba powinienem przejrzeć wszystko. Przynajmniej ogólnie.

— Rozumiem. Ale w takim razie proszę ze mną. Najszybciej będzie, jeśli przejrzymy to w bazie danych i na mikrofilmach. Chyba że upiera się pan przy papierach. Ale to dłużej potrwa.

— Niekoniecznie. Chcę się tylko ogólnie zorientować.

— W takim razie chodźmy.

Zaprowadził Wrońskiego do pomieszczenia, w którym stała przeglądarka i komputer.

— To moje własne stanowisko pracy — wyjaśnił. — Lepiej, żeby w sali nie widzieli, że potraktowałem pana szczególnie.

— Nudzi się panu, że chce mi pan do tego stopnia pomóc? — Michał nagle zdał sobie sprawę, jak zabrzmiały jego słowa, przywołał więc na twarz najbardziej uroczy uśmiech, na jaki go było stać — Nie przypuszczam, bo macie tu sporo roboty.

— Nie, nie nudzę się — odparł mężczyzna pobłażliwym tonem. — Ale nie wygląda mi pan na mola książkowego, policyjnego naukowca, ale zwykłego komisarza prowadzącego jakąś sprawę. A to u nas rzadkość. Zwykli funkcjonariusze z powiatowych komend niezmiernie rzadko korzystają z zasobów archiwum. A szkoda. Właściwie każda sprawa ma swój odpowiednik w przeszłości, bo nawet ludzka podłość i pomysłowość w popełnianiu przestępstw ma swoje granice. Tyle tylko, że z archiwów trzeba umieć korzystać. Widział pan tamtego oficera w czytelnicy? To stary wyjadacz. Pisze którąś z kolei pracę, a za każdym razem nacina się na nowe procedury i osiada na mieliźnie. Przynajmniej na jakiś czas. A z drugiej strony miał pan takiego niepozornego człowieczka. Zwrócił pan na niego uwagę? Nie? Właśnie. Cichy, nieduży, trudno go w ogóle zauważyć. Ten z kolei przyszedł niedługo po panu, wziął jakiś materiał i czyta go, chociaż naprawdę nie ma tam nic interesującego poza kilkoma zdjęciami. Może też chce napisać pracę naukową, ale wygląda na takiego, którzy nigdy niczego wartościowego nie stworzą.

Wroński kiwał głową. Ależ gaduła z tego gościa!

— Może przejdźmy do rzeczy?

— Ach, prawda! Ma pan szczęście, że trafił na mnie. Lata pięćdziesiąte to mój konik. Pisałem doktorat na temat pracy grupy dochodzeniowej z komendy w Oławie. Ale przy okazji przestudiowałem chyba wszystko, co było w archiwum. Niech pan powie, o co dokładnie chodzi, może będzie szybciej.

— Dokładnie nie wiem, jak to zostało zakwalifikowane, ale podobno w latach pięćdziesiątych w Oleśnicy miała miejsce seria tajemniczych zgonów, zapewne nigdy nie wyjaśnionych...

Mentor Michała zmarszczył brwi, szukając w pamięci.

— Takhh... — mruknął. — Coś tam było, o ile nie zlewają mi się informacje. Ale chyba nawet nie wdrożono żadnego śledztwa... zaraz...

Usiadł do komputera, palce zatańczyły na klawiaturze. Michał patrzył z podziwem i zazdrością. Gdyby on miał taką technikę pisania, nie zalegałby z raportami i pozostałą papierkową robotą. Tymczasem archiwista wywołał jakąś listę, zaczął ją przeglądać, pomagając sobie palcem. Musiał to robić bardzo często, bo ekran był straszliwie wypalcowany.

— O, chyba mam! Numer R dwadzieścia siedem łamane przez pięćdziesiąt siedem. Tak myślałem. Czasy tuż po odwilży. Zaraz znajdziemy odpowiednie mikrofilmy.

Wyszedł, mrużąc coś do siebie. Wroński zapatrzył się w listę na komputerze. Dopiero w tej chwili dotarło do niego, ile miał szczęścia, że trafił na akurat tego człowieka. Sam pewnie by szukał samych tylko śladów spraw kilka dni. A jak znał siebie, porzuciłby pracę po paru godzinach. Zawsze go szlag trafiał przy podobnych wyzwaniach.

Archiwista wrócił z czarnym pudełkiem. Wyjął ze środka kilka zwojów mikroskopijnej taśmy fotograficznej, załadował do przeglądarki.

— Proszę — odsunął się, robiąc miejsce przed ekranem komisarzowi. Michał usiadł na krześle obok. — Poradzi pan sobie dalej, prawda? Ja muszę wracać do swoich zajęć.

— Dziękuję — Michał spojrzał z niekłamaną wdzięcznością. — Bardzo panu dziękuję.

A potem zagłębił się w dokumentach. Czytał stare protokoły milicyjne z wprawą. Niewiele się zmieniło od tamtych czasów w sposobie ich zapisywania i prowadzenia teczek. Komputeryzacja komputeryzacją,

a pewnych rzeczy nie da się załatwić inaczej niż kilkadziesiąt lat temu. Bardziej niż rzędy liter widział kryjących się za nimi ludzi, funkcjonariuszy mozolnie zbierających dowody, mocujących się z tajemniczą materią. Znajdowano zwłoki. W podobnych miejscach, jak prawie pół wieku później. Ciała ludzi nieznanymi, niemożliwe do zidentyfikowania, szczególnie biorąc pod uwagę ówczesną technikę. W dokumentacji była mowa o pięciu trupach. W tamtych czasach było to całkiem sporo. Przecież władza trzymała rękę na pulsie, wiedziała, a w każdym razie usiłowała wiedzieć o każdym ruchu obywateli. Koszmar kontrolowany. Ale tym razem najwyraźniej nie można było znaleźć tropu. Pięć ciał i pięć zagadek. Zagadek nigdy nie wyjaśnionych. Nie wyjaśnionych? A może po prostu zbyt ważnych, żeby je pozwolić rozwiązywać zwykłymi funkcjonariuszom?

Przeglądał raporty i odkrywał za każdym zdeorientowanego, zagubionego w gąszczu domysłów człowieka. Jakiś porucznik, jego odpowiednik, usiłuje ustalić, kim jest tajemniczy denat.

Przecucia okazały się słuszne. Rozwiązania nie było, przynajmniej nie tutaj. Teczki z dochodzeniami kończyły się w przedziwny sposób. Po raz pierwszy zobaczył coś podobnego. Podłużna pieczęć delegatury Służby Bezpieczeństwa we Wrocławiu i niewyraźny podpis, ten sam na każdym dokumencie. Ale nie to było najdziwniejsze. Bezpieka mogła kontrolować poczynania podrzędnych milicjantów tak, jak jego sprawdzał Baliński i wewnętrzni. Świadczy to tylko o wyjątkowości sprawy. Jednak w prawym dolnym rogu maleńkimi literami wypisany był rząd liter i cyfr. Kilka znaków łamania między nimi i jeszcze jeden podpis. Co to może być? Procedury nie przewidują i z pewnością nie przewidywały takich dopisków. Za to zupełnie brak informacji o sposobie zakończenia spraw! Jakby dokumentacja nie była kompletna. Brakowało bardzo istotnej części. Owszem, są notatki i protokoły z oględzin miejsc znalezienia zwłok, jakieś nieśmiałe wnioski, ale gdzie zeznania świadków? Nawet jeśli ludzie nic nie widzieli, przeprowadza się rozpytania i przesłuchania. Gdzie raporty z obdukcji i sekcji zwłok? Gdzie wreszcie zdjęcia? Przecież ekipa techniczna musiała je robić. Gdzie formularze przekazania do bazy danych o osobach zaginionych?

— Proszę pana — zawołał półgłosem. — Może mi pan pomóc?

— Jasne — mężczyzna wstał od komputera. — Co się stało?

— Ta dokumentacja jest niekompletna. A na aktach są jakieś dopiski. Może pan wie, o co w tym chodzi?

Archiwista przyglądał się chwilę rzędom literek i numerków. Cmoknął, wyraźnie zmartwiony.

— Zaraz... to może być... — wziął karteczkę, ołówek, przepisał symbole z wyświetlanego dokumentu. — Jeśli się nie mylę, będzie ciężko zdobyć resztę materiałów.

Wstukał w komputer przepisane znaczki. Ekran zamigotał, przebiegły po nim rozmazujące się strony z wykresami, a potem pojawił się czerwony prostokąt z migającym miarowo białym kursorem.

— O ile ma pan uprawnienia dostępu do ściśle tajnych akt, możemy je sprowadzić z Warszawy. W przeciwnym razie nie będę mógł panu pomóc.

— Nie rozumiem. Przecież to wydarzenia sprzed prawie pięćdziesięciu lat! Dlaczego są utajnione?

Archiwista wzruszył ramionami. Wskazał kartkę z przepisаныmi znakami.

— Reszta dokumentacji została przeniesiona do ściśle tajnych archiwów z któregoś wydziału kontrwywiadu. To właśnie ich numery. Najpierw interesowała się tym wrocławska Służba Bezpieczeństwa, wydział drugi.

— Kontrwywiad — mruknął Michał.

— Zgadza się, kontrwywiad. Ale chyba rzecz ich przerastała, bo wszystkie te dochodzenia przejęła Warszawa. Od tamtej pory papiery są u nich. Tu mamy jedynie kopie, ale bez ciągu dalszego. Żeby otrzymać pełną dokumentację, musi być pan objęty klauzulą dostępu do akt tajnych. Żeby było śmieszniej, nawet gdyby pan posiadał uprawnienia, ja nie mogę tego załatwić. Musi pan się zwrócić do mojego kierownika, bo ja jestem za krótki. Przy taki sprawach ściśle tajnych spec-znaczenia on z kolei melduje wyżej i dostaje pozwolenie za ściągnięcie fotokopii albo oryginałów. Albo nie dostaje, bo różnie bywa.

— No to po herbacie — mruknął Wroński. — Szkoda.

— Tak to u nas jest. Przykro mi.

— W każdym razie bardzo dziękuję. Oszczędził mi pan kupę czasu. Sam bym sobie chyba nie poradził.

— Nie ma sprawy. Panu chętnie pomogłem. Ale tamtemu



sztyniakowi w mundurze w życiu bym niczego nie ułatwił. Niech się sam morduje ze swoimi analizami.

Wroński uściśnął rękę mężczyzny. Wyszedł z głową pełną skłębionych myśli. Archiwista zasiadł do komputera. Skasował stronę z czerwonym prostokątem, wszedł w oprogramowanie biblioteczne. Przerwało mu chrząknięcie za plecami.

— Coś jeszcze? — spytał nie odwracając głowy, przekonany, że to Michał chce o coś zapytać. — W czym mogę pomóc?

— Mam pytanie — głos nie należał do niedawnego gościa. Archiwista odwrócił się. W progu stał niepozorny człowieczek z sali ogólnej.

— Słucham — pracownik archiwum powiedział to nieprzyjemnym tonem. Nie podobał mu się ten cichy, jakby przytłumiony osobnik. Kojarzył się z przyczajonym wyliniałym szcurkiem. Wrażenie podkreślała wytarta, szara marynarka o zbyt krótkich rękawach.

— Czego szukał tamten facet? Ten, który przed chwilą stąd wyszedł.

— A panu co do tego? Nie mogę podawać takich informacji. Nie ma pan zresztą prawa pytać.

Na ustach człowieczka wykwitł drwiący uśmiezek. Sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki, rozłożoną legitymację położył na biurku.

— Ależ mam prawo — widząc, że archiwista się nie rusza, zdumiony, podetknął mu dokument pod sam nos. — Mam prawo jak jasna cholera. Widzisz?

Archiwista zbladł i wykonał ruch, jakby chciał się cofnąć. Przeszkadzało mu w tym jednak oparcie fotela.

\*

Stał w ciemnościach, nasłuchując. Kilka metrów nad głową biały dzień, królestwo słońca, a tutaj jak zwykle ciemno i głucho. Można tylko dosłyszeć czasem odgłos skapującej kropli wody. Jakiś odległy pomruk... Ale to tylko ziemia przenosi dudnienie wzbudzone przez ciężarówkę albo wielkiego TIR-a. A tutaj nikogo. Bezszelestnie przemykają się szczury, ale nawet one nie chcą zabawić zbyt długo. To dziwne, bo zdawać by się mogło, że miejsce dla nich wymarzone, a jednak coś sprawia, iż nie chcą się w nim osiedlić. Poszedł przed siebie mrocznym korytarzem. Trzeba się przygotować na przyjęcie kolejnych gości. Jeśli zawiedzie swoich

mocodawców, czeka go tylko jedno. Oni nie zwykli wybaczać pomyłek. Wydaje im się, że są niczym Bóg, który za dobre wynagradza, a za złe karze. Z tą różnicą, że oni nie karzą za grzechy, ale za pomyłki. Grzech nie leży w ich kompetencjach. Dawno stracili rozeznanie dobra i zła. O sobie mógł zresztą powiedzieć to samo. Pamiętał pierwszą swoją ofiarę. To było tak dawno i niedawno zarazem. Po zamordowaniu tamtego człowieka, wymiotował cały dzień. Żona podawała mu zioła, jakieś leki, ale nie pomagało. Psychicznego cierpienia nie da się zaleczyć zwykłymi metodami.

Za drugim razem było trudniej zdecydować się na działanie, pozostało wspomnienie straszliwego moralnego kaca, ale przecież nie miał wyjścia. Musiał robić swoje. Ale, wbrew obawom, kiedy już się pozbył ciała, mdłości nie wróciły. Trzecią ofiarę potraktował już rutynowo. Coś podobnego zapewne czuje rzeźnik trzymający elektryczny impulsator przy łbie kolejnej krowy albo świni. Człowiek do wszystkiego się przyzwyczaja i we wszystkim nabiera wprawy. Z zabijaniem jest identycznie.

\*

Jerzy zerwał się z krzesła należącego do Michała, kiedy ten wszedł do pokoju.

— Wybacz — wydukał — ale mój komp się posypał, a musiałem sprawdzić parę rzeczy w bazie. Miałeś mieć dzisiaj wolne. Gdzieś się wybierałeś.

W tym, że kolega usiadł przy jego maszynie nie było nic dziwnego. Często to robili jeśli działo się coś nieprzewidzianego. Komputery bywają bardziej kapryśne od kobiet. Tym razem jednak zachowanie Jerzego wzbudziło czujność Michała. Był wyraźnie zmieszany, jakby został przyłapany na robieniu czegoś nielegalnego. Wroński podszedł szybko do biurka, odsunął partnera i zapatrzył się w wyświetlony raport. Czytał go przez chwilę, przewinął w górę i w dół. Jurek stał obok jak skamieniały. Michał spojrzał na niego przeciągle.

— Dla kogo to? — spytał spokojnie. — Bo chyba nie dla komendanta. Jemu donosić możesz ustnie, nie musisz się aż tak spręzać.

Jerzy był czerwony jak burak. Żałował, że słysząc odgłos otwieranych drzwi nie zresetował komputera. Albo najlepiej nie wyrzucił dokumentu do kosza, udając, że wszystko jest jak należy. Ale

przecież nie spodziewał się kolegi. Miał być w ogóle poza Oleśnicą przez cały dzień.

— Wróciłem szybciej — odpowiedział na niezadane pytanie Michał.  
— Postanowiłem coś zabrać z biurka. Jeżeli jeszcze to znajdę, bo pewnie myszkowałeś w moich rzeczach.

Jerzy milczał. Pech chciał, że jego maszynka musiała paść. Inaczej Wroński nie miałby podstaw do używania sobie, nic by nie wiedział.

— Gratuluję, przyjacielu. Bardzo ładnie mnie nazywasz. Obiekt, figurant. Bywało już różnie. Schwytani przestępcy mówili do mnie skurwysynu i lepiej. Żona notorycznie określa mnie mianem kurwiarza albo gnoja. O teściowej nie wspomnę. Ale obiektem jestem po raz pierwszy. Dla kogo pracujesz? Dla naszego przyjaciela majora Balińskiego, a może dla wydziału wewnętrznego? Czy też płaci ci jeszcze ktoś inny?

Doczytał do końca raport.

— Za wiele to tam nie napisałeś. Nic właściwie. Przecież wiesz o mnie znacznie ciekawsze rzeczy.

— Właśnie — Jerzy odchrząknął. — Wiem. Widzisz sam, że robię co mogę, żeby ci się nie stała krzywda.

— Dlaczego? Nie musisz się przecież krępować.

— Bo wcale nie mam ochoty na ciebie donosić. Ale czasem tak bywa. Człowiek się zamota.

Wroński przymknął oczy. Co się dzieje dookoła? Czy to, że policjant wykonuje jak najlepiej swoje obowiązki, stara się dojść prawdy, musi się wiązać z takimi rzeczami?

— Widzisz, był czas, że potrzebowałem pieniędzy — ciągnął Jurek.  
— I wtedy się dałem skusić.

— Komu?

Jerzy zamilkł. Michał uśmiechnął się drwiąco.

— Nie możesz powiedzieć. Doskonale to rozumiem. Ale coś mi się zdaje, że wiesz więcej na temat, co się tutaj wyprawia, niż ja.

— Akurat — prychnął partner. — Nic nie wiem. I, prawdę mówiąc, wolę, żeby tak zostało.

— Specjalista od chowania głowy w piasek — Michał skrzywił się niechętnie. — Zawsze umiałeś to robić doskonale. Powiedziałbym: koncertowo.

— A ty koncertowo potrafisz obrazić człowieka.

Michał zmrużył oczy. Jerzy skulił się pod przenikliwym spojrzeniem.

— Nie wydaje ci się przypadkiem, że z nas dwóch to właśnie ty jesteś nie w porządku?

Zapadło ciężkie, nabrzmiałe emocjami milczenie. Michałowi nie chciało się mówić, a Jerzy nie bardzo wiedział, co odpowiedzieć.

— Dobrze — odezwał się wreszcie. — Nie mogę wyjawić, dla kogo sporządziłem to pismo, ale mogę powiedzieć, dlaczego nie układa ci się z żoną.

— Nie rozumiem...

— Zaraz zrozumiesz. Te wybuchy zazdrości, uprzykrzanie ci życia. Tobie się zdaje, że ona zwariowała albo przechodzi jakiś ciężki okres. Prawda jest inna. Bardziej dla ciebie przykra.

— A skąd ty to możesz wiedzieć?

— Zorientowałem się przypadkiem. Mam pewną znajomą... kochankę właściwie. A ona zna kogoś, kto jest także znajomym Magdy. Wiesz, jak jest w naszym fachu. Lubimy słuchać i wyciągać wnioski, zadać znienacka jedno i drugie pytanie. A ludzie lubią się zwierzać. Nawet nie wiedzą kiedy powiedzą prawdę.

— Mów w takim razie.

— Nie wiem, czy powinienem, bo to nie moja sprawa...

— Skoro zacząłeś, skończ!

Jerzy wziął głęboki oddech. Czuł się, jakby miał za chwilę przebiec między płonącymi żagwiami. Ale rzeczywiście, skoro zaczął, powinien być konsekwentny.

— Powiesz wreszcie czy mam sobie zrobić herbaty i zamówić pizzę?

— Powiem. Ale lepiej usiądź.

\*

— I co powiesz? Wpadłeś na jakiś trop?

— Nie wiemy zbyt wiele, nie mamy dostatecznych informacji. Same poszlaki. Wiemy nieco więcej niż jeszcze przed kilkoma miesiącami, ale wciąż za mało. Brakuje bardzo istotnego fragmentu układanki. Może nie największego, ale bez niego nie widać całości.

— Po co więc chciałeś ze mną rozmawiać, kapitanie?

— Pułkownik kazał się konsultować prosto z panem, jeżeli figurant zacznie zbyt wiele węszyć i zbyt wiele się domyślać.

Zapadło milczenie. Generał otarł spocone czoło. Cholerny pokój nie miał nawet podstawowej, elementarnej klimatyzacji. Że też są jeszcze takie miejsca! Trzeba będzie zlecić logistykom pozyskanie lepszych lokali. Przynajmniej we własnym kraju powinni posiadać przyzwoite meliny.

— Figurant... przypomnij mi bliżej, o kim rozmawiamy?

— O obiekcie I 43 łamane przez GW.

— Jacek, nie wydurniaj się! Nazwisko mi podaj! Myślisz, że jestem w stanie wszystko spamiętać? Personalna każdego, kto pozostaje w naszym operacyjnym zainteresowaniu?

— Komisarz Michał Wroński.

— Ach, ten! To przez niego dusimy się w tej klitce? Mam nadzieję, że w tej Oleśnicy mamy wygodniejsze punkty. Gdybym musiał tam kiedyś dotrzeć, wolałbym spędzić noc w bardziej komfortowych warunkach.

Kapitan przypomniał sobie ciasny pokój w hotelu „Perła”.

— Nie liczyłbym na zbyt wiele — odparł.

— Trudno. Mów. Co z tym gliną.

— Okazał się wyjątkowo bystry. Byliśmy przekonani, że to zwyczajny policjant, z tych co prochu nie wymyślą, ale gość jest bardzo inteligentny i operatywny. Idzie we właściwym kierunku, niewykluczone, że może dojść za daleko.

Generał odetchnął głębiej. Duszne powietrze wypełniło płuca, żeby uciec ze świstem. Przeklęta astma. Sięgnął do kieszeni, wyjął aplikator, przyjął dawkę leku.

— Stanowi zagrożenie dla twojej misji?

— Nie mam pojęcia tak naprawdę — Kapitan wzruszył ramionami.

— Ale nie dał się nikomu zepchnąć z właściwych torów, chodzi w miejsca, które pozostają pod obserwacją, rozmawia z ludźmi, którymi się interesujemy.

— Co proponujesz? Eliminację?

— W żadnym razie! — zaprotestował gorąco kapitan. — Na pewno nie w tej chwili. Mam co do niego swoje plany. Potem, po całej sprawie. Poza tym, może się jeszcze okazać przydatny. Wie pan jak to jest. Miejscowy zawsze więcej wyciągnie od ludzi niż obcy.

— Zamierzasz go wtajemniczyć? — Generał zmarszczył brwi. — To chyba nierozsądne.

— Absolutnie! Zamierzam go nadal obserwować, przycisnąć jeśli będzie okazja, oczywiście nie ujawniając tożsamości. Jednak, na wszelki wypadek, muszę prosić o pozwolenie na eliminację.

— Na wszelki wypadek? O czym, myślisz?

— Wkoło tego człowieka zrobiło się ciasno. Sam pan wie, że nasza operacja jest jedną z wielu, że mamy do czynienia z kilkoma, jeśli nie kilkunastoma konkurencyjnymi agencjami. Nie mogę mieć stuprocentowej pewności, że Wroński nie został zwerbowany. Nie teraz oczywiście, ale lata temu! Jego partner z pracy, niejaki Jerzy Majer jest na pewno umocznony. Niedawno spotkał się z Philipem Descardier. To oczywiście może być przypadek, bo Phil siedzi w Polsce od czterdziestu lat i mogą się znać od lat, ale bardziej prawdopodobne, że komisarz Majer był dotąd po prostu mało czynnym agentem i nie rzucił się w oczy, albo pełnił rolę zwyczajnego śpiocha, który zaczął być do czegoś potrzebny.

— Do czego? — Generał znów zmarszczył brwi. — Mów jak należy.

No tak, kapitan pokiwał w duchu głową. Szef lubi być precyzyjny i tego samego wymaga od podwładnych. To może irytujące, że trzeba mówić wszystko, ale z drugiej strony w tym szaleństwie jest metoda. Unika się niedomówień i nieporozumień.

— Uważam, że ma za zadanie obserwować Wrońskiego — zamyślił się. — Wie pan — powiedział po chwili cichym głosem — szkoda mi trochę tego komisarza. Wpadł w sam środek afery, o której pewnie nie ma pojęcia. Działa na ślepo, ale trafnie. Lepiej dla niego, żeby był głupszy. Wtedy nie zastanawiałby się nad tymi wszystkimi dziwnymi rzeczami, jakie dzieją się wokół jego dochodzenia. Gdyby szef kazał pracować nad sprawą tylko jednego trupa, to robiłby tylko to, nie patrząc na boki. Oczywiście zakładam, że faktycznie nie jest powiązany z naszymi przeciwnikami.

— Nie bądź taki litościwy. W naszej pracy to może być spora przeszkoda. Dobrze, masz zgodę na likwidację policjanta, jeżeli zacznie zagrazać bezpieczeństwu naszej misji. A na razie obserwuj. Chłopcy jak sobie radzą?

— Janusz z Wieśkiem nie spuszczają go z oka. Oczywiście prowokacyjnie, żeby czuł oddech na karku. Liczymy, że jeśli jest powiązany z zagranicznym wywiadem, sam się sypnie, popełni błąd albo

rozdrażnimy jego mocodawców. Na razie wygląda to na jałową robotę. Wroński jest raczej czysty. A Darek z kolei sprawdza go operacyjnie, dyskretnie, bez zostawiania śladów.

— Tak trzymać. Co dwa dni składasz meldunek pułkownikowi, jak dotychczas.

\*

Jerzy nie wiedział czy Michał jest taki twardy, czy mu po prostu nie zależy. Nie zareagował w żaden sposób na rewelacje.

— Wyglądasz, jakby cię to nie zaskoczyło.

Wroński uśmiechnął się smutno.

— Bo nie zaskoczyło. W żaden sposób. Domyślałem się, jak stoją sprawy. Ty mi tylko dopowiedziałeś kilka szczegółów.

— Masz do mnie żal?

— O co? Że mnie szpiegujesz czy o te informacje rodzinne?

— Jedno i drugie.

Michał miał na końcu języka ostrą odpowiedź, otworzył nawet usta, ale zmienił zdanie.

— Nie, Jurek. Mam to wszystko w dupie. Przy takich okazjach najpierw jest zaskoczenie, potem wściekłość, aż wreszcie robi się wszystko jedno. Wiesz, jak to jest?

— Orientuję się. Miałem w życiu kilka razy pod górę.

— Dobra. To w takim razie powodzenia. Idę do domu.

Jerzy namyślał się chwilę. Wreszcie podjął decyzję.

— A może przyjdiesz dzisiaj do mnie? Nachlamy się jak za dawnych dobrych czasów.

— Nie gniewaj się, ale nie. Przyszedłbyś wiedząc, że kumpel pisze na ciebie donosy? Nieważne, szkodliwe czy nie, ale pisze. Obaj byśmy się źle czuli.

Wziął z blatu teczkę z aktami, wrzucił ją do szuflady.

— Chciałem to przejrzeć w domu, ale dam sobie jednak spokój. Czasem trzeba odpocząć.

— Uważaj na siebie.

Wroński odwrócił się w drzwiach.

— Co mam przez to rozumieć?

— Nie wiem. Naprawdę. Ale czuję, że powinieneś być ostrożny.

Michał tylko podniósł rękę na pożegnanie. Jerzy kilka minut siedział

bez ruchu, przerzucił bezmyślnie między palcami duży spinacz do papieru. Nie wiedząc kiedy, rozgiął drut, zaczął go rozprostowywać. Wreszcie podjął decyzję. Poderwał się, usiadł do komputera Wrońskiego. Przeczytał raport, przeleciał wzrokiem jeszcze raz rzędy liter, poprawił kilka błędów, zamknął dokument, a potem zdecydowanym ruchem przeniósł plik do kosza.

— Niech was wszyscy diabli — warknął. — Niech was wszystkich szlag trafi, psy cholerne. Opróżnił kosz. Filip będzie wściekły. Bardzo dobrze! Najlepiej, żeby mu ze złości żyłka pękła. Może byłoby trochę spokoju.

\*

Padł wyczerpany na ławeczkę. Trzydzieści powtórzeń przy dużym obciążeniu może wykończyć. Czuł pulsowanie w piersiach, mięśnie drżały. W zasadzie powinien pójść do domu, ale w duszy narastał trudny do przełamania opór. Bał się, że jeśli Magda znów zacznie codzienne już pienia, wykrzyczy jej w twarz swoje żale i wszystko się skończy. Cóż, pewnie kiedyś trzeba będzie to wreszcie zrobić, ale jeszcze nie teraz. Jeszcze odwlec tę chwilę...

Miał nadzieję, że wycisk na siłowni uspokoi chociaż trochę skołatane nerwy. Nic podobnego. Zamiast zapomnieć, rozmyślał o ostatnich wydarzeniach. Co się stało w pięćdziesiątym siódmym roku, że dochodzenia zostały przejęte najpierw przez lokalną komórkę UB, a potem centralę kontrwywiadu i zostały utajnione? Podobieństwa między tamtymi wydarzeniami a obecną sytuacją były aż nazbyt widoczne. Oczywiście różnice w podejściu do samej pracy musiały być. W czasach głębokiej komuny milicjanci mieli jeszcze mniej swobody niż dzisiaj. Pewnie nie do pomyslenia było jakiegokolwiek prywatne śledztwo, działanie na własną rękę musiało się skończyć surowymi konsekwencjami. No i gromadzenie materiałów było trudniejsze, a przede wszystkim ich sprawdzanie bez ingerencji wszechwiedzącej bezpieki. On może sobie pozwolić na korzystanie z bazy danych na własną rękę, sprawdzić czy denaci zostali umieszczeni w katalogach osób poszukiwanych. Dawniej musieli wysyłać pisemne zapytania, ewentualnie ustalać telefonicznie, co wiązało się z totalną inwigilacją. Jeśli ktoś z samej góry chciał uciąć łeb sprawie, robił to szybko i sprawnie. Co nie znaczy, że dzisiaj tak być nie może — nadeszła



natychmiast refleksja — władza także usprawniła metody nacisku. Ta cała papieromania, coraz większe wymagania formalne. Zawsze zastanawiał się, po co wydawane są te wszystkie okólniki, ciągłe żądania jakichś dziwnych sprawozdań, dlaczego pracę policjanta topi się w zalewie dokumentacji. Teraz przyszła do głowy pewna myśl. Czy nie chodzi o to, żeby przyzwyczaić ludzi do traktowania rzeczywistości przez pryzmat papierów właśnie? Już trzydzieści lat temu znakomity satyryk śmiał się, że papierowy ustrój oznacza papierowy dobrobyt. Miał na myśli rządy socjalistów i propagandę sukcesu. Jednak nie przewidział, że tamta biurokracja jest niczym w porównaniu z obecną. Papierek musi być na wszystko. Jakiś czas temu rozmawiał ze znajomym, który zatrudnił się w połowie lat dziewięćdziesiątych w pewnej ważnej instytucji. To były czasy, kiedy zdawało się, że w Polsce może być normalnie, a przynajmniej normalniej. Nikt nie pytał człowieka, czy ma zaświadczenie o znajomości języków, ale czy język zna. Szef nie grzebał w dokumentach kandydata, ale brał go na rozmowę i w praktyce sprawdzał umiejętności. Tak właśnie tamten facet znalazł pracę. Był inteligentny, potrafił sobie radzić, a to wystarczało, żeby przełożony go doceniał. Dzisiaj jest zupełnie inaczej. Wróciło stare, ale w znacznie nasilonej formie. Kursy, szkolenia, zaświadczenia. Możesz być tępym jak but, ale masz papierek, więc automatycznie zyskujesz przewagę nad fachowcem, który ma lata praktyki, umiejętności, ale nie zadbał o odpowiednią obudowę. Społeczeństwo przywykło już do takiego traktowania świata. A to najprostsza droga, żeby ustalić zwyczaj, iż tyczy się tylko i wyłącznie to, co na papierze czy w komputerze. Jeśli nie ma takiego śladu, rzecz po prostu nie istnieje. O wiele łatwiej rządzić ludźmi biorącymi podobną fikcję za rzeczywistość niż takimi, którzy poszukują materialnych dowodów.

W takich Stanach Zjednoczonych już zdarzają się przypadki, że człowiek usunięty z baz danych nie jest w stanie funkcjonować, bo dla aparatu administracji przestaje istnieć. Coraz powszechniejsze są kradzieże tożsamości, po których ludzie są pociągani do odpowiedzialności za nie swoje uczynki... Kiedyś było to nie do pomyślenia. Główny przyszedłby do delikwenta, wypytał sąsiadów, sprawdził stan rzeczywisty i napisał kilka słów, że taki a taki John Smith jest realnie istniejącym bytem, a wszelkie inne służby na tej podstawie

działałyby na korzyść tego Johna. Dzisiaj pan Smith musi się liczyć z tym, że jeśli nawet policjant ustali stan rzeczywisty, wszelkie firmy ubezpieczeniowe, opieka społeczna i fiskus mogą tego nie wziąć pod uwagę. Nie masz numerka w systemie — nie ma cię na świecie, drogi panie. Ale jeśli ktoś na twoje konto popełni przestępstwo, wezmą za tyłek właśnie ciebie, nie oglądając się na obiektywną prawdę. Pewnie — przyszła natychmiast refleksja — to są przypadki skrajne. Ale są, temu nie da się zaprzeczyć, a pewnie z czasem, w miarę rozrastania się biurokratycznych rozporządzeń, staną się powszechne.

Czy tak płaci się za postęp? Kiedyś jednak, żeby wyprodukować dokument, trzeba było wziąć kartkę, formularz, długopis albo włożyć papier w maszynę do pisania, wystukać, wsadzić w kopertę i wysłać. To trwało wolniej. Dzisiaj wklepiesz kilka słów w komputer, często na tak zwanym gotowcu, klikniesz myszką i dokument może pójść mailem w ułamku sekundy. A jeśli go drukujesz, też trwa to krócej niż kiedyś. Może ludzie przestali po prostu szanować przestrzeń osobistą, cenny czas? Zarzucają się nawzajem nawalnym nieistotnym słowom, żądają na nie natychmiastowej odpowiedzi, a potem dziwią się, że dzień jest za krótki. A może to jednak celowe działanie jakichś tajemniczych korporacji, albo nieformalne porozumienia rządów różnych państw? Łatwiej panować nad umysłami pogrążonymi w chaosie.

Michał potrząsnął głową. Musi być naprawdę w kiepskiej formie, skoro przychodzą mu do głowy takie paranoiczne myśli, jeżeli wracają wspomnienia przeczytanych kiedyś publikacji pewnej grupy dziennikarzy wszędzie i we wszystkim wietrzących spisek. Bardziej prawdopodobne, że to świat głupieje, a raczej ludzie w swojej masie. Pewnie — to jest na rękę sprawującym władzę — ale czy byliby oni w stanie celowo doprowadzić do takiego stanu? Na to na pewno nie znajdzie odpowiedzi. W każdym razie nie na siłowni.

Trzeba się zbierać. Magda czeka z obiadem.

Kontrwywiad, zastanawiał się, wychodząc spod prysznic do szatni. Wydział drugi Służby Bezpieczeństwa. To by wskazywało na powiązania trupów z działalnością agenturalną. SB była mocno wyczulona na podobne sprawy. Ciekawe czy w końcu to rozpracowali, czy zostali z ręką w nocniku. Przecież w obcych wywiadach nie pracują i nie pracowali idioci. Kiedy się zrobiło za gorąco, musieli się zwinąć. Ale o co chodziło?

Czy możliwe, żeby o to samo, co w tej chwili? Czego szukali kontrwywiadowcy ze stolicy w takiej dziurze jak Oleśnica? I czego szukali agenci obcych służb?

W szatni dostrzegł dwie znajome sylwetki. Westchnął ciężko. Znowu! Chyba znajdują niewysłowioną przyjemność w kontaktowaniu się z nim.

— Pójdiesz z nami! — wstał Flap.

— Pójdzie pan z nami — powtórzył natychmiast Flip, stawiając nacisk na „pan”.

— Który z was się we mnie zakochał? — Wroński odrzucił ręcznik, sięgnął po slipki. — To się nazywa natarczywość, chłopaki. Nie wyobrażajcie sobie Bóg wie czego. Uprzedzałem za pierwszym razem, że jestem hetero. Wiem, to niemodne, ale nic nie poradzę. Nawet taki przystojniak jak ten goryl — wskazał Flapa — tego nie zmieni.

— Bez kpin — odezwał się mniejszy. — To poważna sprawa. chodzi o zabójstwo doktora Ramiszewskiego.

— Złożyłem w tej sprawie zeznania. Nie widzę potrzeby...

— Ale my widzimy. Mamy kilka pytań.

— To zwyczajne szykanowanie. Chcę zobaczyć jakiś papier. Wezwanie na przesłuchanie. I, oczywiście, nie na dzisiaj. Macie mnie za kretyna? Znam procedury. Już raz zwinęliście mnie bezprawnie.

Rzucił slipki na podłogę, usiadł, zarzucił sobie ręcznik na biodra.

— Trudno, zgarniemy pana siłą.

— I nagiego zaniesiecie do samochodu?

— Kurde, damy ci jakiś seksowny szlafroczek! — zagrzmiał Flap.

Zbliżyli się z dwóch stron. Wroński spiął się w sobie. Łatwo im nie pójdzie. Gnojki. Czy wydział spraw wewnętrznych składa się w całości z takich kindybałów? Pewnie tak, bo to obrzydliwa robota. Wyciągnęli ku niemu ręce, duży szczęknął kajdankami. W tej chwili w wejściu zapanował ruch. Do szatni wtoczyło się czterech ogolonych na łyso dresiarzy. Stanęli zdezorientowani w progu. Michał natychmiast odrzucił ręcznik.

— Spieprzajcie, pedały! — wrzasnął. — Gdzie z łapami, zboczeńcy! Swoje mamuśki wymacajcie!

Wśród dresiarzy rozległ się wrogi pomruk. Wewnętrzni zatrzymali się, zdumieni. A Wroński nie odpuszczał.

— Na pomoc, chłopaki! Te pedryle chcą mi się dobrać do dupy!

Łysi ruszyli z zaciśniętymi pięściami. Flip i Flap zaczęli się rozglądać na boki. Znienacka znaleźli się w rozpaczliwym położeniu. Trudno liczyć, że młodzieńcy o grubych karkach dadzą się przekonać, iż to pomyłka. A służbowych legitymacji lepiej przy takich nie wyciągać. Wyższy sięgnął pod marynarkę przy lewym ramieniu, do kabury.

— Możecie prysnąć przez siłownię — poradził cichym głosem komisarz. — Tam jest kantorek właściciela z wyjściem prosto na ulicę.

Flip dał znak i po chwili biegli we wskazanym kierunku. Dresiarze puścili się za nimi z przekleństwami na ustach, ale widząc, iż obaj zniknęli już w pakamerze właściciela, dali spokój.

— Panie — spytał z przejęciem jeden — naprawdę chcieli pana wyruchać?

— A jak! — odparł Michał, ze wszystkich sił starając się nie wybuchnąć śmiechem. — Mieli zamiar przykuć mnie kajdankami do tej niskiej rury dla niepełnosprawnych pod prysznicem. Żeby zerznąć mi tyłek, bo przecież nie po to, żebym im zaśpiewał ostatni hit Eminema albo opowiadał kawały o pedałach!

Dresiarze zarechotali zgodnym chórem.

— Dzięki, chłopaki — Wroński podniósł się. — Macie u mnie przy okazji duże piwo.

— Nie ma sprawy — gość z pokrytą bliznami czaszką, widocznie przywódca, klepnął go w ramię. — Zawsze chętnie pomożemy. A lepiej niż piwo, niech mi pan skasuje mandat.

— Wie pan, że jestem gliną? — zdziwił się Michał.

— Przesłuchiwał mnie pan kiedyś. Parę lat temu. Za kradzież wódki ze sklepu. Gówniarz wtedy byłem, w gimnazjum.

Michał przyjrzał się uważnie. Możliwe. Facet wyglądał jak tysiące podobnych osobników. Jakby ich diabły klonowały w przedsionku piekła.

— Okej — odparł — nie ma mandatu. Tylko muszę wiedzieć, kiedy, za co i znać nazwisko.

— Dwa dni temu za szybką jazdę. A tutaj jest moja wizytówka.

Co za czasy! Wroński był zaskoczony. Nawet taki dres ma wizytówki! Rzucił okiem na kartonik. Import-eksport, hurt-detal. Akcesoria samochodowe.

— Widzi pan? Wyrośłem na porządnego człowieka — powiedział z

dumą łysy.

— Widzę — parsknął Wroński. — Handel trefnymi samochodami i kradzionymi częściami.

Pozostali dresiarze łypnęli wrogo, gotowi na znak szefa dać nauczkę temu bezczelnemu psu. Ale tamten roześmiał się głośno.

— Równy z pana chłop — zagrzmiał. — A towar mam prima sort, jakby kiedyś trzeba coś było.

— Będę pamiętał. Jeszcze raz dziękuję za pomoc.

\*

— Kto grzebał w notatkach doktora? — głos zza żarówki należał do mniejszego.

Zwinęli go jednak. Zajechali mu drogę prawie przed samym wejściem na klatkę schodową. Tym razem nie dyskutowali. Dostał gazem po oczach, zanim się zorientował, siedział na luksusowej kanapie czarnej limuzyny. Teraz jeszcze łzawił, a skutki pozostałości gazu na śluzówkach wzmacniało ostre światło.

— Kto grzebał w notatkach doktora? — powtórzył Flip.

— Spieprzaj, człowieku — wściekł się wreszcie Wroński. — Nie mam pojęcia! Poczytajcie sobie protokół. Składałem zeznania nadkomisarzowi Majewskiemu z Wrocławia Śródmieścia.

— A nam się zdaje, że wie pan więcej niż chce powiedzieć.

— O czym mam wiedzieć więcej?

— O okolicznościach śmierci Ramiszewskiego. To nie był napad rabunkowy. Sprawcy czegoś szukali. A pan wie, czego.

Wroński sapnął ze złością.

— Powiem tak, drogi panie kontrolerze — wycedził. — Nie wiem nic poza tym, że upierdliwymi pytaniami nie wyjaśnicie niczego! Sama upartość nie wystarczy w pracy dochodzeniowca. Trzeba jeszcze myśleć, a z tym ewidentnie macie kłopoty. Już raz zwinęliście mnie i zadawaliście idiotyczne pytania. Teraz chcecie mi wmówić, że mam coś wspólnego ze śmiercią doktora i jego bratanicy. Do kurwy nędzy, człowieku! Uważasz, że jestem zdolny urządzić taką rzeźnię? To zrobił chyba jakiś zboczeniec!

— Nie zdaje pan sobie sprawy z powagi sytuacji...

— Zdaję sobie sprawę, że gdyby były najmniejsze podejrzenia co do mojej roli w zbrodni, siedziałbym teraz w areszcie na Kleczkowskiej i pilnował, żeby mi współwięźniowie nie wyjedli zupki. Jeśli prowadzący

postępowanie nie ma do mnie ansów, jeżeli taki ujebliwý typ jak Baliński nie znalazł dostatecznie mocnych argumentów, żeby się czepić, czegoście się na mnie uparli?

— Bo mamy prawo — tym razem odezwał się Flap. — A ty musisz z nami rozmawiać.

— Nic nie muszę. Gadam z wami z nudów. A tak w ogóle stosujecie klasyczne ubeckie metody. Nagłe najścia, niespodziewane rewizje, zatrzymywanie życia, zatrzymywanie, przesłuchania z żarówką. Stara szkoła. Musieliście mieć wykładowcę z drugiego wydziału Służby Bezpieczeństwa. Albo starego wyjadacza kształconego w Związku Radzieckim.

Zapadła cisza.

— Nie gadaj pan głupot — przerwał ją Flip. — Chcemy się zorientować, na ile jest pan zamieszany w tę aferę. Zachowuje się pan podejrzanie. Ukrywanie dowodów, lekceważenie poleceń przełożonego...

— Ukrywanie dowodów trzeba udokumentować, łaskawy nadpolicjancie — odparł swobodnym tonem Wroński. — A czy wykonuję rozkazy komendanta, czy nie, to już nie wasza sprawa, tylko moja i jego. Chyba, że złożył na mnie oficjalne doniesienie. Ale, po pierwsze nie do was, a po drugie, nie wierzę.

— Dobrze — Flip w tej chwili na pewno zmrużył oczy niczym kot czający się na ofiarę. — Może poruszemy inną kwestię. Co pan wie o historycznej pasji doktora?

— Co to za pytanie? — Wroński chętnie wytrzeszczyłby oczy, ale ostre światło i ból po oparzeniu gazem nie pozwalały rozewrzeć powiek. — Nic nie wiem o pasjach Ramiszewskiego! Widziałem go w sumie ze cztery razy w życiu, a za tym ostatnim już jakby trochę nie żył!

— To właśnie jest zastanawiające. Zaczyna pan odwiedzać człowieka, a on zaraz odchodzi z tego świata.

— Zastanawiające? A słyszał pan kiedyś o zbiegu okoliczności?

— Słyszałem. Ale ja wyznaję pogląd, że nic nie dzieje się przypadkiem. Mój nos starego wygi podpowiada, że pan coś jednak ukrywa.

Michał miał dość. Wstał z krzesła. Zrzucił energicznie rękę Flapa, kiedy ten próbował go posadzić z powrotem, niespodziewanie skoczył do biurka, jednym ruchem wyrwał kabel lampy. Zdawało mu się przez

chwilę, że pogrążył się w całkowitych ciemnościach. Przed oczami tańczyły kolorowe kręgi, przemykały w oszalałym tempie świetliste serpentyny.

— Wystarczy — powiedział ostro. — Swój nos możesz sobie pan wsadzić między drzwi i zdrowo nimi pieprznąć. Chętnie pomogę. Nic nie wiem, od Ramiszewskiego chciałem konsultacji medycznych, a nie historycznych. Tyle wam powiem, żeście go zdrowo zastraszyli. Tak, chłopcy, zorientowałem się już wtedy. Wyciągnąłem to od jego bratanicy.

— Jak? — spytał kolos. — Przecież nie mogła mówić.

— A ty do końca życia pozostaniesz debilem — westchnął Michał. — A teraz skończcie wreszcie efektowne występy i odwieźcie mnie do domu. Żona się zamartwia. Wystarczy tego dobrego.

— My zdecydujemy, kiedy wystarczy. A pan zniszczył państwową własność — Mniejszy wskazał wyrwany kabel. — To bardzo nieładnie.

Wroński nie odpowiedział. Zastanawiał się, po co ci dwaj są aż tak namolni. Urządzili kolejne przesłuchanie, w dodatku kompletnie pozbawione sensu. Czy są rzeczywiście tak głupi, czy to raczej celowa robota? Już przedtem zaczął podejrzewać, że zachowanie wewnętrznych stanowi część jakiegoś większego planu. Jeżeli tak jest, należy zadać pytanie, jaki to plan, a jeszcze bardziej interesujące — czyj.

— Ładnie czy nie — Michał bez pośpiechu ujął giętki pałąk lampy i gwałtownym ruchem przygiął go do stołu. Strzeliła żarówka, klosz wygiął się, a uchwyt, którym przedmiot został przymocowany do blatu, rozpadł się z trzaskiem. — Ładnie czy nie — powtórzył komisarz — żądam, żebyście odstawili mnie do domu. Inaczej jutro napiszę doniesienie na wasze metody do komendanta wojewódzkiego. Mam was dosyć.

— Dobrze — powiedział spokojnie Flip. — Odwieziemy pana. Ale nie dlatego, że szantażuje nas pan skargą. Po prostu skończyliśmy na dzisiaj. A do wyższych władz nie radzę wypisywać bzdur. Lepiej, żeby się panem nie interesowały.

— Jasne. Bardzo się boję. Jeżeli nie napiszę — przedrzeźniał ton mniejszego — to nie dlatego, że szantażuje mnie pan konsekwencjami. Po prostu wiem, że to bez sensu. Stanowicie państwo w państwie i na wiele możecie sobie pozwolić. Jednak ostrzegam, mogę stracić pewnego dnia cierpliwość. A wtedy zwrócę się tam, gdzie wasze rączki nie sięgają.

— To znaczy?

— To znaczy wytoczę wam proces o nękanie. Nie jako funkcjonariuszom państwowym, ale dwóch zwykłym dupkom. Powiedzmy, że zupełnie nie wiem, o co wam chodzi. Jesteście podejrzanymi typami, dostaję od was dziwne, dwuznaczne propozycje. Może się z tego wygrzebiecie, ale krzyk będzie w prasie i telewizji. Ludzie chętnie uwierzą w podobną historię. Mieliście przedsmak na siłowni.

— Nie bądź za cwany — odezwał się Flap.

Wroński obrzucił go tylko pogardliwym spojrzeniem, nie odpowiedział na zaczepkę.

— To jak? — zwrócił się do Flipa. — Możemy jechać?

\*

— Późno jesteś. Dzwonił pan profesor Walberg — przywitała go w progu Magda. — Prosił, żebyś się do niego odezwał.

Dopiero po dłuższej chwili Michał skojarzył, że powiedziała do niego i nie jest to kolejny wyrzut. Był potwornie zmęczony. Profesor Krzysztof Walberg, nauczyciel historii w liceum. Nie widzieli się od dłuższego czasu. Profesor był czynnym członkiem Towarzystwa Przyjaciół Oleśnicy, prawdziwym miłośnikiem dziejów tego regionu Dolnego Śląska.

— Jutro zatelefonuję.

— Prosił, żebyś to zrobił dzisiaj. Był chyba bardzo zdenerwowany — Podana mu karteczkę z numerem.

Z ciężkim westchnieniem wystukał kombinację liczb. To na pewno może poczekać, ale żona nie daruje. Gotowa marudzić cały wieczór.

— Halo. Dzień dobry, panie profesorze. Z tej strony Wroński.

— Witaj, Michale — profesor miał fenomenalną pamięć. Znał imiona swoich uczniów przez wszystkie pokolenia, które uczył. Ktoś taki powinien pracować w policji, może byłby w stanie ogarnąć cały ten burdel. I pewnie z racji tej swojej fotograficznej pamięci był znakomitym historykiem. Publikował się w różnych biuletynach, ale także w dużych czasopismach jak „Wiedza i Życie” czy „Mówią Wieki”. — Chciałbym cię prosić o spotkanie. Ale nie u mnie w domu.

— Kiedy?

— Zaraz, mój drogi, za pół godziny.

Michał o mało głośno nie jęknął. Marzył, żeby coś zjeść i położyć się



na kanapie przed telewizorem, przemyśleć dzisiejszą pogawędkę z wewnętrznymi. A przecież było o czym myśleć.

— Czy to nie może poczekać?

— Nie powinno. Czy mówi ci coś nazwisko Ramiszewski? Adam Ramiszewski.

We Wrońskiego jakby piorun strzelił.

— Gdzie mam się zjawić?

— W jakimś neutralnym miejscu. Możesz skoczyć do „Iwony”?

— Dlaczego nie chce pan, żebym przyszedł do pana domu?

— Mam powody. Mogę na ciebie liczyć?

— Oczywiście. Zaraz się zbieram.

Zmęczonym gestem odłożył słuchawkę. A potem zerwał się z fotela.

— Wychodzisz? — Magda zmarszczyła brwi.

— Wychodzę. Ale nie do kochanki. Nie tym razem. Chyba że uważasz, że profesor Walberg może mnie podniecać.

— Tajemnice, tajemnice — odparła z przekąsem. — Dużo tego ostatnio. Czy to jakoś wiąże się z tym listem, który dałam do wysłania Hance? Zachowywałeś się wtedy jak jakiś James Bond.

— Nie wiem — wzruszył ramionami. — Być może, chociaż mam nadzieję, że jednak nie... A Hance kup ode mnie dobrą czekoladę.

Po chwili szedł ulicą Trzeciego Maja w stronę Rynku. Stamtąd do kawiarni „Iwona” jest już tylko parę kroków. W głowie przewijała się rozmowa z Flipem i Flapem. Postanowili go zaszczuć, zastraszyć, a może po prostu unieruchomić? Cholera ich wie.

A potem pomyślał o Balińskim. Pogawędka na temat narkotyków wracała niczym płyta nastawiona na ciągłe odtwarzanie. Inspektor zdawał się zadowolony, a nawet zachwycony wnioskowaniem Michała. Za bardzo go chwalił. Jakby od samego początku rozmowy chodziło mu właśnie o to, żeby komisarz tak a nie inaczej prowadził tok rozumowania. Ale jednego nie wziął pod uwagę. Nie po to Wroński wysłał chustkę ze śladami cegły i wapna do analizy, żeby dać się wpuścić w trop narkotykowy. Nie po to grzebał w archiwum. Co bowiem miałyby wojna gangów do zabijania niezidentyfikowanych ludzi w tym samym lub podobnym miejscu? Wszyscy zainteresowani zdawali się jakoś o tym dziwnie nie pamiętać, ale Michał wiedział, czuł przez skórę, że właśnie pył ceglano-wapienny i stara sprawa sprzed lat są bardzo cennymi

wskazówkami. A jeżeli wyższy oficer udaje, iż tego nie zauważa, to znaczy, że może sobie lekceważyć koncepcyjne myślenie, a chce tylko zmylić trop, skierować komisarza w ślepią uliczkę. Poczekaj, panie nadzorco, obiecał w myślach, nie wpuścisz mnie w maliny. Już ja wywęszę, co trzeba. Ciekawe czy chociaż przez minutę wierzyłeś w skuteczność swoich poczynań.

\*

Profesor nie wyglądał dobrze. Oczy podkrążone, cera ziemista, jakby ostatnio mało spał albo dręczyła go poważna choroba.

— Mój dobry znajomy, doktor Ramiszewski został zamordowany — szepnął, kiedy tylko Michał usiadł przy stoliku. Zamilkł, bo podeszła kelnerka. Wroński zamówił po szklaneczce whisky. — Wiesz coś o tej sprawie?

— Wiem, panie profesorze. Widziałem ciało lekarza... i jego bratanicy. To bardzo tajemnicza i przerażająca historia.

— Straszne... Dowiedziałem się dopiero przed kilkoma godzinami. Próbowałem się dodzwonić do Adama, ale nikt nie odbierał, więc wykonałem telefon do niego do pracy. Tam mi powiedzieli, że nie żyje. Od razu połączyłem to z wiadomością ze „Słowa Polskiego” o okrutnym zabójstwie przy Wyspiańskiego. Z miejsca pomyślałem o tobie. Pracujesz w policji, możesz się lepiej w tym zorientować, a ja mogę pomóc. Bo chyba wiem, dlaczego zabito Adama.

— Dobrze go pan znał?

— Czy dobrze? Nie wiem. Ale na pewno długo. To nie był zbyt towarzyski człowiek. Łączyły nas jednak zainteresowania. Konkretnie historią powojenną Wrocławia i okolic... no i Oleśnicy, rzecz jasna.

— Rozumiem. Ale co to ma do rzeczy?

— Może sporo, a może nic. Jeżeli to był tylko napad rabunkowy, jak podali w notatce...

Michał myślał błyskawicznie. Z jednej strony nie powinien ujawniać szczegółów sprawy postronnej osobie, z drugiej wiedział już, że jeśli powie prawdę, może usłyszeć coś naprawdę interesującego. Wreszcie się zdecydował.

— W gazecie nie napisali prawdy. Nie stwierdzono motywu rabunkowego. Dokładnie przeszukano jedynie pracownię doktora — widział, jak Walberg przełyka nerwowo ślinę. — Czy to coś panu mówi?

— Obawiam się, że tak, mój chłopcze.

— Powie mi pan?

Na czole profesora pojawiła się pionowa zmarszczka, znak poważnego namysłu. Wahał się wyraźnie, walczył ze sobą. Czy może zaufać dawnemu wychowankowi? Czy ten chłopiec, zawsze krnąbrny, ale nieodmiennie uczciwy nadal jest tym samym człowiekiem? Czy nie wszedł w miejscowe układy, nie zabrudziła mu duszy szara codzienność? Wroński doskonale zdawał sobie sprawę z wątpliwości nauczyciela. Sam czasem zadawał sobie podobne pytania. To dlatego Walberg chciał się spotkać w publicznym miejscu. Nie wiedział, czy może mu do końca zawierzyć.

— Dobrze, ja zacznę — Michał przerwał wreszcie kłopotliwą ciszę.

— Byłem dwa razy u Ramiszewskiego. Raz chciałem się dowiedzieć pozasłużbowo pewnych rzeczy. Oczywiście informacji uzyskałem niewiele. Drugi raz zjawiłem się na jego wyraźną prośbę. Ale kiedy przyjechałem, odprawił mnie. Ktoś go przestraszył...

— Wiem. Dzwonił potem do mnie. Domyślasz się, o co chodziło?

Wroński rozłożył bezradnie ręce.

— Właśnie. A ja chyba wiem. Na pewno wiem...

— Powie mi pan?

— Nie wiem, czy powinienem — profesor zagryzł wargi.

— Może mi pan zaufać. Naprawdę. Wprawdzie nie mam jak pana przekonać, ale...

— Nie o to idzie, mój drogi. Muszę to komuś powiedzieć, zanim i mnie spotka coś złego. Dlaczego nie tobie? Tylko nie wiem, czy powinienem cię czymś takim obciążać.

— Jestem policjantem, pamięta pan? — uśmiechnął się Michał. — Wiedzieć o różnych sprawach to mój zawód.

— No dobrze... Mówi ci coś nazwisko Werner Heisenberg?

Michał natychmiast sięgnął w głąb pamięci. Coś tam zgrzytało, pachniało szkołą, kojarzyło się z programami na Discovery.

— Ten fizyk?

— Tak, ten fizyk. Od teorii nieoznaczoności. A Wernher von Braun?

To było łatwiejsze.

— Też naukowiec. To on robił rakiety dla Hitlera, a potem dla Amerykanów.

— Projektował, mój drogi, nie robił — uściślił profesor. Nawet w takiej sytuacji wyłaził z niego prawdziwy nauczyciel.

— Dobrze. Ale to fizycy. A pan jest historykiem.

— Historia czasem zahacza głęboko o inne nauki. A tutaj mamy właśnie z czymś podobnym do czynienia. Wiesz, co łączy Heisenberga i von Brauna? Nie trudź się, to retoryczne pytanie. Pracowali razem, bo von Braun zajmował się nie tylko napędem raketowym, ale także, a w pewnym okresie przede wszystkim, energią jądrową, o czym niektórzy zapominają.

— Bomba atomowa? Ale Niemcy byli przecież bardzo dalecy od jej wynalezienia!

— Nie tak bardzo, jak się zdaje — oczy profesora zapłonęły ogniem pasji. — A poza tym i tak by nad nią pracowali. Gdyby nie akcje aliantów, które opóźniały postępy prac, nie wiem, jak by to było. Ale nie tylko to. Były też działania pewnych ludzi, a może nie tyle nawet działania, co zaniechania. Światlejsi i mniej zarażeni ślepotą nacjonalizmu naukowcy zdawali sobie sprawę z jednej podstawowej rzeczy. Użycie broni masowego rażenia musiało doprowadzić do ataków odwetowych ze strony aliantów. Ich skutki byłyby opłakane, a straty większe niż korzyści osiągnięte z jądrowego ataku.

— Nie rozumiem... a element zastraszenia?

— Pamiętaj, że w tamtym czasie szczytem możliwości było dwadzieścia kiloton. To dużo, ale i mało, o czym przekonali się Amerykanie w Japonii. Po ataku na Hiroszimę dowództwo japońskie stwierdziło beztrąsko, iż naloty konwencjonalne są o wiele groźniejsze w skutkach. Wówczas była to prawda. Zmasowany dywanowy rejs superfortec niósł większe zagrożenie, powodował dotkliwsze straty materialne niż bomba jądrowa. Gdyby nie interwencja samego cesarza po wybuchu w Nagasaki, wojna na Pacyfiku trwałaby dalej. A USA nie miały więcej bomb. Prezydent Truman blefował, strasząc Japończyków dalszym użyciem nowej broni. Z Niemcami byłoby podobnie. Ile głowic mogli wyprodukować? Dwie, trzy... Za jeden atak nuklearny bombowce sprzymierzonych zrównałyby z ziemią pół kraju bez pardonu, bez żadnej litości. Powiem więcej. Znalazłem poszlaki, że Amerykanie chcieli sprowokować Hitlera do użycia bomby, gdyby ją wyprodukował. Prawdopodobnie dlatego, za zgodą części generalicji, Heisenberg i von

Braun udawali idiotów, twierdząc, iż produkcja bomby atomowej wymaga setek ton uranu. Fałszowali dokumentację, podawali nieprawdziwe dane badań, sabotowali tych, którzy twierdzili, że można stworzyć wymarzoną przez Adolfa *Wunderwaffe*. Posunęli się do tego, żeby przy jednej z prób zamiast uranu włożyć do pojemników izotop ołowiu. Grali swoją rolę do samego końca. Kiedy Stany Zjednoczone rzuciły bombę na Hiroszimę, obaj przebywali już w niewoli. Ulokowano ich w jednym hotelu. Rzecz jasna byli podsłuchiwani. I, co oczywiste, zbyt inteligentni, żeby nie zdawać sobie z tego sprawy. Na wieść o użyciu broni masowego rażenia von Braun był zaskoczony, twierdził, że to niemożliwe, bo wyniki ich badań wykluczały podobną możliwość przy użyciu tak małej masy materiału rozszczepialnego i tak dalej.

— Nic dziwnego, że Amerykanie to kupili — temat był tak zajmujący, że Michał zapomniał, gdzie się znajduje i w jakim celu tu przyszedł. — Mieli dokumentację niemieckich badań, a von Braun potwierdził jeszcze tę wersję...

— No właśnie. Chyba jednak nie do końca kupili. Słyszałeś o wielkim U-bocie, podwodnym krążowniku dalekiego zasięgu, który pod koniec wojny w Europie został wysłany do Japonii? Kapitan, na wieść o kapitulacji, wynurzył się i poddał pierwszej napotkanej jednostce amerykańskiej. I bardzo dobrze. Bo to, co miał na pokładzie, zjeżyło włosy analitykom wywiadu USA.

— A co to było? Bomba atomowa?

— Tego nigdy nie ujawniono. Ale z różnych przecieków wynika, jakoby nie była to nawet sama bomba, ale część elementów potrzebnych do jej przygotowania wraz z dokumentacją techniczną. Von Braun i Heisenberg nigdy nie przyznali się do udziału w tym przedsięwzięciu, co więcej, wszystko wskazywało, że naprawdę nie mieli z tym nic wspólnego. Ale z hitlerowskimi Niemcami tak już jest. Im mniej śladów prowadzi do danego człowieka, tym większe prawdopodobieństwo, że coś jest na rzeczy. Tak czy inaczej pewna nieufność pozostała. Heisenberg zajął się dalszą pracą naukową, von Braun w pocie czoła pracował dla Stanów, konstruując rakiety. Został bohaterem narodowym. To wstrętne, wiem. Człowiek będący współwinnym setek tysięcy ofiar, którego rakiety bombardowały Anglię, który zatrudniał dziesiątki tysięcy niewolników w nieludzkich warunkach, został

wyniesiony przez polityków na ołtarze. To tylko potwierdza zdanie Sokratesa, Seneki i wielu innych filozofów o naturze ludzkiej ogólnie i naturze władzy w szczególności.

— To bardzo ciekawe — Wroński otrząsnął się. — Ale co ma wspólnego z naszą sprawą?

— Coś może mieć. Świat czasem okazuje się dziwnie mały. Gdzie Heisenberg, a gdzie śmierć Ramiszewskiego. Gdzie von Braun, a gdzie Oleśnica... Otóż to. A teraz przejdziemy do sedna. O tajnych archiwach SS na pewno coś wiesz. Zostały ukryte w różnych miejscach głównie na terenie Niemiec, byłych Prus Wschodnich i zachodniej Polski. W Górach Sowich między innymi. Do legendy już przeszły opowieści o ludziach przepadających bez wieści przy eksploracji wykutych w górze korytarzy. Podobno nawet w Karkonoszach Niemcy zryli zbocza gór, tworząc skrytki i pułapki na ciekawskich. Było nawet o tym głośno, w telewizji pojawiło się kilka programów, ale potem przycichło. I nie myśl, że samo z siebie, bo ludzie stracili zainteresowanie tematem. Co i gdzie jest, dokładnie nie wiadomo. Ale jedno jest pewne. Zginęło wielu ludzi, usiłujących eksplorować te tereny, ich tajemnicze i ukryte miejsca. Zbyt wielu, by był to przypadek i w zbyt dziwnych okolicznościach. Niemcy rozrzucili archiwa po terenach nie tylko obecnych Niemiec, ale i Dolnego Śląska, bo mieli nadzieję jeszcze tu wrócić, dalej budować tysiącletnią Rzeszę. Doktrynerstwo okazało się silniejsze od rozsądku. W efekcie mnóstwo skrytek znajduje się na wyciągnięcie ręki. Trzeba tylko widzieć, gdzie zostały umiejscowione. Węszą za nimi nie tylko chciwi złota poszukiwacze skarbów. Mityczne złoto Trzeciej Rzeszy, kosztowności i dzieła sztuki to mało. Są albo ich nie ma, mogą ucieszyć co najwyżej pojedynczych ludzi. Ale tutaj w grę wchodzi potężne obce wywiady. Archiwa mogą zawierać cenne informacje, a sam wiesz, że dobra informacja jest warta więcej od pieniędzy.

— Rozumiem, ale...

— Już przechodzę do rzeczy. Jakiś czas temu, grzebiąc w źródłach, odkryłem ślady, a raczej słabiutkie poszlaki, że von Braun z Heisenbegiem pracowali nad czymś znacznie ciekawszym niż broń jądrowa. W tym samym okresie Einstein zastanawiał się już nad możliwością podróży w czasie.

— Chce pan powiedzieć, że i oni...

— Nie. Oni pracowali nad czymś zupełnie innym. Von Braun nigdy nie przyznał się Amerykanom nad czym. Może i uczyniono go wielkim obywatelem tego potężnego kraju, ale w głębi duszy pozostał wierny nazistowskiemu przywódcom. Do końca życia czekał na odrodzenie Niemiec, tych ze snów Hitlera. Zabrał tajemnicę do grobu. Ale zapewne całość albo przynajmniej część dokumentacji została ukryta razem z innymi archiwami SS. A gdzie oni to wszystko chowali? W niedostępnych miejscach, nie tylko w górach, ale i utajnionych albo zapomnianych podziemiach, wszędzie, gdzie można było zatrzeć ślady, a jednocześnie liczyć, iż ładunek bezpiecznie przetrwa próbę czasu. Czy nie zastanawiał cię nigdy brak kompletnej niemieckiej dokumentacji architektonicznej tych terenów? Pewnie o tym nie myślałeś. Ale tak jest... Niby złośliwie nie chcieli oddać planów mostów i budowli, ale tak naprawdę chodziło o coś więcej.

— Chce pan powiedzieć...

— Chcę powiedzieć, że zostały celowo zniszczone. Niemcy oczywiście nimi dysponują, ale nie radzę próbować od nich tego wydobyć. A ja... — zawiesił głos, zastanawiając się, co dalej powiedzieć.

— A pan coś ma, tak? — pomógł Michał — I to się wiąże ze śmiercią doktora Ramiszewskiego?

— Może tak być.

— W takim razie...

Wroński przerwał, podniósł się szybko od stolika, zasłaniając profesora.

— Nie teraz — rzucił półgębkiem. — Wszedł ktoś, kto na pewno nie powinien nas razem widzieć. Proszę sączyć whisky jakby nigdy nic, ja się tym zajmę.

Odwrócił się do drzwi, robiąc ruch, jakby tylko omijał stolik, przy którym siedział Walberg. Niespiesznie ruszył w kierunku wyjścia.

— O, moi ulubieńcy, Flip i Flap — powiedział, udając zdziwienie. Większy z przybyszów poczerwieniał. — Włóczycie się za mną już wszędzie. Stęskniliście się? No tak, nie widzieliśmy się ładnych parę godzin. Ale ja właśnie wychodzę. Może pójdziemy do mnie na późną kolację? Żona się ucieszy.

— Jesteśmy tu przypadkiem — wyjaśnił mniejszy.

— Jasne. A ja nazywam się Sharon Stone i jestem pociągającą

blondynką z długimi nogami oraz niezłym cycem. Odpieprzcie się, chłopaki, bo na was wreszcie doniosę.

— Komu? — spytał z drwiną Flap. — Może naszemu szefowi?

— Komendantowi wojewódzkiemu — odparł z kamienną twarzą Michał. — Ministrowi spraw wewnętrznych. Prokuratorowi krajowemu. Premierowi. Prezydentowi. Wszystkim po kolei. Łamiecie moje prawa obywatelskie i prawa człowieka w ogólności.

— Skarż komu chcesz, choćby samemu papieżowi. Nas to kompletnie nie obchodzi. Wykonujemy swoją robotę i tyle. Takie mamy rozkazy.

— W ten sam sposób tłumaczyli się i tłumaczą zbrodniarze wojenni.

— Kiedyś mu wreszcie rypnę — odezwał się King Kong. — Będzie zbierał zęby po całym powiecie. Po całym świecie. Cholera, a po jedynki poleci na Księżyc, a ja mu jeszcze w tym pomogę! Kopem!

— O! — ucieszył się Wroński — Nareszcie coś w rodzaju żartu. Jaki był taki był, ale zawsze. Owszem, czytałem gdzieś, że małpy wykazują poczucie humoru, ale podobno tylko te bardziej rozwinięte... Tymczasem widzę tutaj... ho, ho, pogratulować. Ewolucja wyraźnie postępuje.

Flap zacisnął szczęki i pięści. Michał był pewien, że gdyby zostali na pół sekundy sami, spełniłby natychmiast swoją obietnicę.

— Idę teraz do domu. Możecie spokojnie zostać na drinka. Albo iść za mną. Ale uprzedzam, wtedy będę się starał wam urwać, a znam to miasto jak własną kieszeń.



Nie poszedł jednak do domu. Nie miał ochoty wysłuchiwać uwag żony. Na pewno jeszcze nie poszła spać. Postanowił wybrać się na zamkowe błonia. Obszedł całe, przeszedł przez jezdnię, kierując się w stronę łąk, aż wreszcie wylądował przy śluzie. Kiedy był tu ostatnio, teren rozświetlały policyjne reflektory. Teraz skazany został na docierające od ulicy światła lamp. Zresztą nazywanie tego odcinka ulicą mogło być mylące. W bezpośredniej odległości zamieszkały jest tylko ten jeden dom po drugiej stronie drogi. Kiedyś pewnie stanowił jakieś zabudowania należące do zamku, mieszkała tam służba, ogrodnik albo inne osoby pracujące na rzecz jego właścicieli. Teraz żyło tam kilka rodzin. Stare zabudowania, typowe poniemieckie domostwo. Teraz otynkowane, kiedyś jednak na wierzchu była czerwona cegła. Czerwona cegła... odbiło się w głowie echem. Niemcy lubili chyba widok surowych ścian, bo wiele oleśnickich budynków tak właśnie wyglądało. Budynków, ale czy tylko? W tej chwili przypomniał sobie opowieść stryja, starszego brata ojca, o tym właśnie pobliskim domu. Była tam stara studnia, bardzo porządna, z zadaszeniem. Stryj zajmował się w latach pięćdziesiątych kopaniem nowych i doprowadzaniem do porządku starych studzien. Tutaj też pracował. Wezwano go, żeby usunął gruz. Zszedł na dół i w trakcie roboty znalazł nieoczekiwanie dziwny otwór z boku, w cembrowinie. Z tego co Michał pamiętał, miał to być korytarz pełen walających się niemieckich hełmów oraz innego rynsztunku wojskowego. Trzeba by się upewnić. Stryj, co prawda, zmarł kilka lat temu, ale może ojciec coś będzie pamiętał.

Rodzice mieszkali niedaleko, na Młynarskiej. Zanim zdążył się zastanowić, pukał już do drzwi.

— Cześć, synu — ojciec jeszcze nie spał. — Coś się stało? Już po wpół do jedenastej. Magda cię znowu wywaliła z domu?

— Nie tym razem. Tato, mam do ciebie małe pytanie. Pamiętasz, co opowiadał wuj Stefan o tej studni w domu przy Wałowej?

Ojciec może miał sklerozę jeśli chodzi o to, co trzeba kupić w sklepie. W efekcie jedynym towarem, jakiego można się było spodziewać

z całą pewnością, były świeże gazety i piwo. Ale co do przeszłości dysponował pamięcią dokładną i precyzyjną na miarę słuchu absolutnego wirtuozów i dyrygentów.

— Tam był boczny korytarz. Pamiętasz film *Wilcze echa*? Właśnie coś w tym rodzaju. Tylko na Ukrainie konstruowali przejścia wzmacniając je drewnem jak w starych kopalniach, a tutaj to była solidna niemiecka robota. Sklepiony łukowato korytarz wyłożony cegłami. Musiał być stary, grubo sprzed wojny, bo nowa cegła inaczej wygląda. Tak mówił Stefan, a znał się na tym. Przecież z zawodu był murarzem. Oczywiście próbowali przejść dalej, ale napotkali na zawał. Ziemia i gruz. Dali sobie spokój, bo bali się pułapek. Hitlerowcy lubili zostawić po sobie jakąś bombę, miny a nawet bojowe gazy. A potem, wiesz jak to jest, rzecz poszła w zapomnienie. Jednak to nie wszystko. Jakiś czas później twój stryj kopał z pomocnikiem studnię przy tym drugim ponemieckim domu, przy Bratniej. Tam trafili z kolei na warstwę cegieł wyglądającą na sklepienie. Zasyпали dół, bo bali się kuć. Zresztą mieli wykopać studnię, a nie prowadzić odkrywki archeologiczne.

— A ty nie pamiętasz dokładnie, gdzie to było?

— Nie pamiętam — roześmiał się ojciec. — Nie mogę pamiętać, bo wtedy byłem w wojsku. Znam to tylko z opowieści. Ale przy Wałowej ta studnia chyba jeszcze stoi. Jeżeli jej nie zasypali. Ale Stefan mówił, że to bardzo porządna studnia. Mądrzy ludzie zostawiają takie rzeczy na wszelki wypadek. Napijesz się? Mam piwko w lodówce.

Wyszedł od rodziców grubo po dwudziestej trzeciej. Przed bramą stało czarne audi. Na ławce po drugiej stronie ulicy siedział Flap, paląc papierosa. Na widok Michała wstał z szerokim uśmiechem. W świetle latarni jego płaska twarz nabrała prawdziwie małego, złośliwego wyrazu. Z samochodu wysiadł chudy.

— Nie wiedziałem, że tutaj mieszkasz — powiedział nieprzyjemnym tonem. — Mówiłeś przecież, że idziesz do domu.

— I powiedziałem prawdę. To jest mój dom. Rodzinny. Wy nie macie rodzin? To znaczy ty. Bo tamten do swojej ma na pewno bardzo daleko.

Tymczasem wielkolud zbliżył się, dosłyszał ostatnie słowa.

— A ty skąd wiesz? — spytał zdziwiony. — Rzeczywiście rodzinę mam daleko. Sprawdzałeś nas? Ale nasze dane są utajnione.

— Nie trzeba niczego sprawdzać, żeby wiedzieć. Wystarczy spojrzeć.

Jesteśmy teraz w Polsce, więc siłą rzeczy do najbliższej dżungli musi być opętany kawał drogi.

Flap warknął. Był szybki. Piekielnie szybki. Wroński spodziewał się ataku, ale nie był przygotowany na takie tempo. Ledwie zdążył odchylić głowę, ale i tak pięść olbrzyma otarła się o ucho. Siła ciosu spowodowała, że okręciło go wokół własnej osi. Na szczęście nie upadł. Wiedział jednak, że ma tylko jedną, jedyną szansę i straszliwie mało czasu, zanim goryl uderzy drugi raz. Impet ciosu sprawił, że tamten wychylił się nieco do przodu, przez ułamek sekundy znalazł się w stanie chwiejnej równowagi. Musiał albo uczynić pół kroku do przodu, albo w tył. Wybrał drugą opcję. Michał nie myślał, liczył tylko na trochę szczęścia. Kończąc wymuszony obrót, kopnął z całej siły, kierując szpic buta w kolano. Gdyby Flap poszedł do przodu, oberwałby w rzepkę. Ale ponieważ się cofnął, kolano ocalało. Za to stopa Michała powędrowała wyżej i bardziej ku środkowi.

Wielkolud zgiął się w pół. Ale okazał się twardy. Pokonując okropny ból w kroczu, zaczął się prostować. Wroński miał w tej chwili tylko jedno wyjście. Może niezbyt honorowe, ale nie przypuszczał, żeby przeciwnik bawił się w rycerskie sentymenty. W każdym razie nie miał ochoty znaleźć się znowu w zasięgu potężnych ramion. Pomógł Flapowi wyprostować się, kopiąc go z całej siły w twarz. Przez chwilę miał wrażenie, że noga mu odpadnie. Żałował w tej chwili, że nie założył ulubionych wojskowych „skoczków”. Ale przecież szedł do kawiarni. Nie wypadało pojawić się tam w podobnym obuwiu. Z czego ten facet ma łeb, przeleciało mu błyskawicą przez głowę, z żelaza i tytanu?

Na szczęście po takim nieczystym zagranium olbrzym nie mógł już mieć zbyt wiele do powiedzenia. Co prawda nie przewrócił się nawet, ale był oszołomiony. A jednak... Mimo niejakiego zamroczenia, najwyraźniej zamierzał znów podjąć walkę. Michał zaczął się rozglądać za jakimś ciężkim przedmiotem. Zdaje się, że rękami i nogami, w sposób konwencjonalny może sobie nie poradzić.

— Dość — przerwał ostry głos Flipa. — Uspokójcie się obaj. A ty w szczególności — Wroński usłyszał charakterystyczny trzask. Tak brzmi tylko jedno. Odciągany kurek pistoletu. Po chwili poczuł na karku chłodny dotyk. — Wystarczy tego widowiska. Rusz się tylko, a z przyjemnością rozwalę ci łeb. Zeznamy potem, że usiłowałeś zabić

Wiesia.

— Nie rób jaj. Zabić go? Czym? Chyba wiośłem z rzymskiej galery!

— Nieważne. Nie rzucaj się.

— To on się rzuca.

— Bo go ciągle prowokujesz.

— Jest głupszy od szczotki do butów. Po co się odzywa, skoro nie potrafi odszczeknąć?

— Jasiu — odezwał się błagalnym tonem Flap. Też wyjął spluwę, podsunął ją pod nos Wrońskiemu. Ręka mu drżała z wściekłości. Michał pomyślał jak to cudownie, że Beretty mają porządne zabezpieczenia. — Pozwól mi go stuknąć. Chociaż raz, małym palcem! Obiecuję, że nie zabiję.

— Zamknij się i do wozu! Nasz złośliwy komisarz ma trochę racji. Jak nie umiesz mleć ozorem, nie próbuj przegadać tych, co potrafią. A ty — szturchnął Wrońskiego lufą — uważaj. Następnym razem możesz nie mieć tyle szczęścia. Nie zaskoczysz Wieśka.

Michał odwrócił się. Flip opuścił kurek swojej Beretty i schował ją do kabury pod pachą.

— Do jutra — rzucił, wsiadając do auta po stronie kierowcy i dodał uprzejmie — dobrej nocy.

— Spierdalaj — odpowiedział komisarz równie uprzejmym tonem.

\*

Ucho bolało potwornie. Małżowina podpuchła i przy każdym dotknięciu dawała się we znaki. Dlatego całą nos spędził na prawym boku. Nie bardzo mógł nawet przewracać się na plecy, bo poduszka dotykała wtedy ucha, a to było nie do zniesienia. Z pewnym przerażaniem myślał, co mogłoby się zdarzyć, gdyby cios King Konga doszedł celu. Wiesio... też do gościa pasuje takie zdrobnienie! To jakby wściekłego rottweilera nazwać Pimpusiem. Ale w sumie był zadowolony. Dać wycisk takiemu słoniowi, nawet podstępem, to spory wyczyn. Męskie ego zostało mile połechtane. Szkoda tylko, że nie dokończył rozmowy z profesorem. I nie dopytał o jego bliskie związki z Ramiszewskim. Kto by pomyślał, że lekarz sądowy pasjonuje się historią drugiej wojny. Czego też mogli u niego szukać zabójcy? Jeśli byli aż tak zdeterminowani, żeby torturować Agnieszkę, musi chodzić o grubszą sprawę. Czy to naprawdę może się wiązać z postaciami von Brauna i

Heisenberga? Nad czym naukowcy pracowali, że zostało to tak bardzo utajnione? Czyżby von Braun dokonał donioślejszego wynalazku niż napęd raketowy? SS nie miało chyba zwyczaju ukrywać skrupulatnie byle czego, jakichś poronionych pomysłów. Ale skąd nagle w tym wszystkim Oleśnica? Czyżby grzebiący w przeszłości pasjonaci odkryli coś, co może się okazać niezwykle cenne? I dla kogo?

Zaraz... a czy to może mieć jakiś związek z odkryciem przez robotników firmy telekomunikacyjnej sporej komory pod Pomnikiem Żłoty Godów na Placu Piastów Śląskich? Parę miesięcy temu nie zwrócił po prostu uwagi na tę wiadomość. I na to, iż wezwani na miejsce archeolodzy niezwykle szybko się zwinęli, a roboty czym prędzej zakończono? To samo było z wykopkami archeologicznymi. Nagle studenci porzucili pracę, a odkrywkowe doły pozostały osierocone przez kilka tygodni, zanim je zasypano. Trzeba dokładnie wypytać Walberga.

— Przystaniesz się rzucać? — rozmyślania przerwał zniecierpliwiony głos żony. — Jadę jutro na rano. Owsików się nabawiłeś? A może przyśniła ci się któraś z twoich bab?

Ranek powitał z prawdziwą ulgą. Z jednej strony bolało ucho, z drugiej dokuczał zdrętwiały bok. Natychmiast chwycił za telefon, wywołał z bezpośredniej pamięci urządzenia numer do profesora. Jednak po drugiej stronie nikt nie podnosił słuchawki. Oczywiście, przecież jest rok szkolny, czas matur! Walberg pewnie już wyszedł. Za jego czasów miał zwyczaj spotykać się przed egzaminami z uczniami klasy, w której sprawował wychowawstwo, żeby ich trochę odstresować, podnieść na duchu. Nauczyciel z powołania, jeden z nielicznych prawdziwych pedagogów, jakich Wroński spotkał w życiu, a w tym przekłętym ogólniaku w szczególności. W większości pracująca tam kadra to byli wyrobnicy, patrzący jak tu najmniej się napracować, uczniów mający głęboko w poważaniu. Michał bardzo źle wspominał czasy licealne. To był koszmar. Nawet skoszarowane studia w Szczytnie okazały się miłszym przeżyciem. Czasem jeszcze nachodził go sen, że jest już dorosłym człowiekiem, ale czegoś tam nie dopatrzył, nie zdał i musi wrócić do uczyliszcza imienia Juliusza Słowackiego, żeby uzupełnić edukację. W dodatku do czynienia w tym śnie miał z całym kompletem wariatów i najwredniejszych typów, jacy tu pracowali. Nieodmiennie budził się wtedy z poczuciem ogromnej ulgi i nawet poranne złośliwości

żony znosił lepiej niż zazwyczaj.

No cóż, jeśli nadarzy się okazja, odwiedzi belfra w szkole. A jeśli nie, zadzwoni po południu. Jednak po południu musiał załatwić jeszcze jedną sprawę.

\*

Samochód z charakterystycznym logo stał przed okazałym domem. Właściwie można raczej rzec — domostwem. Wroński spoglądał z pewną zazdrością na willę. Nieźle można się wzbogacić na ludzkiej krzywdzie. Swoją drogą, jakie komornicy muszą mieć obsuwy, żeby ich było stać na coś takiego. I nikt tego nie kontroluje. Przypomniał sobie ostatnią rozmowę z pracowniczką urzędu skarbowego. Został wezwany, żeby po raz piąty tłumaczyć się, skąd zdobył fundusze na zakup mieszkania. Okazało się, że nie można się doliczyć pięciu tysięcy. Tych pięciu tysięcy, które pożyczył z funduszu zakładowego. Musiał więc lecieć do pracy, wziąć zaświadczenie i dostarczyć do skarbowki. Był wściekły i rozgoryczony, bo ciągać człowieka o takie pierdoły mogą tylko w Polsce. W tych nerwach zapytał załatwiającą jego sprawę kobietę, czy w ten sam sposób są sprawdzane dochody pana burmistrza, wiceburmistrzów i innych oficjeli, z których przynajmniej połowa mieszka w domach, na które ich nie stać i jeździ samochodami, o których powinni co najwyżej pomarzyć. „Drogi panie — padła odpowiedź, a urzędniczka zaczęła się serdecznie śmiać — ich rozlicza zupełnie kto inny! I na szczególnych zasadach”. Nie drążył dalej tematu. Wszystko jasne. Na ich wysokości władzy nawet srogi strażnik czystości portfela, groza obywateli, nieubłagany i potężny Pan Fiskus patrzy życzliwszym okiem.

W domu zaświeciło się światło. Wielkie na całą ścianę okno to na pewno salon. Powoli zapadał zmrok. Nad drzwiami wejściowymi, tuż pod puszką z napisem „Security” zapaliła się czerwona, migająca dioda. Ostrzeżenie dla intruzów. Posiadłość jest monitorowana. Każdy, kto naruszy prywatność właściciela, musi się liczyć z konsekwencjami. Przyjadą ochroniarze, rzuca delikwenta na ziemię, przy okazji mniej lub bardziej dyskretnie pobiją. Przyjedzie policja, zamknie go i przesłucha. Potem pod sąd. A do pana komornika ochrona przybędzie na pewno szybciej niż nawet do sklepu jubilerskiego. Bo pan komornik za czujność potrafi na boku wsunąć do kieszeni małą premię. Bo pan komornik ma znajomości na szczytach władzy. Bo pan komornik poluje z wysoko

postawionymi przyjaciółmi. Obrzydliwość. Ile krzywdy ludzkiej w tych murach? Ile łez? No bo ile też razy przedstawiciel wymiaru sprawiedliwości przychodzi zająć majątek komuś, kto jest prawdziwym złodziejem? Prawdziwi, wielcy złodzieje to właśnie ci, z którymi jeździ strzelać do zwierząt. Czy, widząc szkliste oczy jelenia, w których zastygło przerażenie, widzi też zapłakane oczy starej kobiety, której opieczętował telewizor, jedyne co łączy ją ze światem, bo zalega z czynszem. Czy jest równie opryskliwy dla kryminalisty, któremu nic nie zajmie, bo tamten oficjalnie nic nie ma, ale zawsze może poczęstować nożem w ciemnym zaułku? Dlaczego wszystkie takie typy należą do kół łowieckich? Wroński potrząsnął głową. Jemu też proponowano udział w polowaniach. Kolega leśniczy ciągnął na ambonę, żeby strzelić dzika. Ale on wolał zabawę na strzelnicy, gdzie nikomu i niczemu krzywdy zrobić nie można. Czym innym jest zresztą odstrzał zwierzyny chorej, jaką robią leśnicy, a czym innym polowanie na najpiękniejsze sztuki, domena myśliwych z kręgów trzymających władzę.

Zerknął na zegarek. Wpół do dziesiątej. Długo pismak będzie jeszcze siedział? Wyszedł z samochodu, rozprostował kości. Ostrożnie zbliżył się do płotu, usiłując dostrzec, co się dzieje we wnętrzu salonu. Niewiele było widać, bo chwilę wcześniej ktoś zaciągnął wercicale. Dwie postacie, jedna stojąca... Może już się żegnają? Wrócił do wozu. Rzeczywiście, po kilku minutach otworzyły się wejściowe drzwi. Dwóch mężczyzn równego wzrostu, jeden dobrze zbudowany, drugi chudy. Pożegnali się.

Chudy poszedł do samochodu z czerwonym logo, po chwili zapuścił silnik, cofnął auto z piskiem opon, skręcając w lewo, następnie również z piskiem opon ruszył do przodu. Komisarz też już trzymał nogę na gazie. Odczekał kilka sekund, a potem wyjechał na środek ulicy. Odgłos ostrego hamowania. Pojazd z logiem zatrzymał się kilkanaście centymetrów od bocznych drzwi. Wskoczył z niego mężczyzna. Nawet w półmroku widać było, że twarz poczerwieniała mu z wściekłości.

— Ty buraku jeden! — zawołał wysokim, piskliwym głosem. — Kto ci dał prawo jazdy?

Michał też już był na zewnątrz.

— Państwo polskie — odparł spokojnie. — Tak jak i tobie.

— Ty... — głos uwiązł tamtemu w krtani. — To pan, komisarzu?

— To ja, panie redaktorze.

— Oszalał pan? Prawdziwy z pana pirat drogowy. Chyba będę musiał to opisać...

Wroński już był przy nim. Chwycił Niwę za rozchełstaną na piersi koszulę, skręcił materiał i uniósł do góry. Dziennikarz znalazł się na masce swojego samochodu, przegięty w niewygodnej pozycji.

— Opiszesz, łachudro — wydyszał prosto w twarz przestraszonego mężczyzny — ale dzisiejszą noc w areszcie!

— Nie ma pan prawa mnie zatrzymać, nie ma podstaw!

— Nie — zgodził się Wroński. — Nie jestem nawet na służbie. Ale wystarczy, żebym zadzwonił po patrol. Wiesz, wszystkie są wyposażone w alkomaty. I jesteś, kmiotku, skończony!

— Nie rozumiem...

— Rozumiesz, rozumiesz. A ja czuję. Prowadzisz po pijanemu.

— Teraz nie prowadzę — redaktor zhardział.

Wroński zacisnął chwyt.

— Ale siedziałeś w wózku, kiedy cię zatrzymałem. Zresztą to nieważne. Chcę od ciebie czego innego.

Niwa milczał. Zaczął się wyrywać, ale uspokoiło go lekkie uderzenie w policzek.

— Nie żądam wiele — ciągnął Michał — odpieprz się po prostu ode mnie. Zabierz szanowne zelówki z moich pleców. Inaczej załatwię cię definitywnie.

— Nadal nie rozumiem. Chodzi o ten artykuł, w którym...

— W dupie mam twoją pisaninę, gnojku. Możesz sobie drukować co chcesz. Mam inną sprawę. Kto mnie podesrał u burmistrza? Kto ryje pode mną przy każdej okazji? Ty, brudny pismaku!

— Puść — jęknął dziennikarz — udusisz mnie.

Wroński poluzował uchwyt.

— To nie ja — Niwa złapał oddech. — Byłem u burmistrza, ale powiedział, że nie będzie się z panem użerał. Żebym sobie sam radził. Przysięgam! — zawołał, widząc uniesioną dłoń komisarza. Ten podrapał się w tył głowy. — Nie tylko ja pana nie lubię. Ktoś mocniejszy ode mnie musiał interweniować. Bo zaraz potem, zanim wyszedłem, zadzwonił telefon i nagle zmienił zdanie. Obiecał z panem pogadać.

— Kto telefonował? Kim ma być ten człowiek?

— Gdybym wiedział takie rzeczy, pracowałbym w prasie



ogólnopolskiej, a nie lokalnym czasopiśmie!

— Jakoś ci nie wierzę — puścił jednak koszulę redaktora.

Niwa odetchnął głębiej, stanął wreszcie obiema nogami na ziemi.

— Nie obchodzi mnie pana wiara — odparł. — Ale jeśli burmistrz się do pana dobrał, to nie moja zasługa. Niestety.

Wroński zastanowił się. Wyglądało, że redaktorek mówi prawdę. Ale jeśli nie on, to kto? I jakże nowego znaczenia nabierają słowa burmistrza, żeby na siebie uważał. Wtedy wziął to jedynie za zwykły wyraz frustracji ojca miasta. Nie zwrócił większej uwagi na ton. Teraz dopiero dotarło do niego, że burmistrz wyglądał na autentycznie zatroskanego.

— Dobra — mruknął — na razie może pan iść. Ale radzę uważać. Jeszcze jeden numer, jeden artykuł i stracę cierpliwość.

— Podobno ma pan gdzieś moją pisaninę.

— Mam, ale skoro już tak sobie gawędzimy, załatwię i tę sprawę przy okazji.

— Mogę iść?

— Jasne. Do widzenia.

Niwa poszedł do samochodu od strony kierowcy. Wroński natychmiast znalazł się przy nim.

— Zaraz, zaraz — sprawnie wyjął kluczyk ze stacyjki.

— O co jeszcze chodzi?

— Panie redaktorze, jest pan po użyciu alkoholu! Nie wolno w takim stanie prowadzić!

Niwa zgrzytnął zębami.

— To jak mam wrócić do domu?

— Na piechotę.

— Wie pan przecież, że mieszkam po drugiej stronie miasta!

— To się pan przejdzie. Spacer jeszcze nikomu nie zaszkodził. Albo niech pana odwiezie kumpel, pan komornik.

— On nie może. Też by się pan czepił, że jest po wódce.

Wroński roześmiał się głośno.

— Oczywiście, z prawdziwą rozkoszą.

Niwa zmrużył oczy, zmierzył wściekłym spojrzeniem komisarza.

— Po której właściwie pan jest stronie? Przecież jako policjant...

— Na pewno po przeciwnej niż pan albo pana przyjaciel od kieliszka. Wy jesteście sprzymierzeńcami prominentów. A ja, właśnie

jako policjant, powinienem pilnować właśnie takich ludzi, bo to oni są prawdziwymi przestępcami. Niestety, otacza was aureola porządnych obywateli. Ale marzę, że kiedyś przyjdzie chwila, kiedy ktoś się do was dobierze.

— Ciekawe, co pana przełożeni na taką postawę.

— Niech pan ich zapyta. A teraz wybaczy pan, trochę się śpieszę.

— Zaraz — Niwa złapał go za ramię. Komisarz zrzucił doń dziennikarza. — A co z kluczami?

— Znajdzie je pan w redakcyjnej skrzynce na listy. Jutro.

Patrzył za odchodzącym redaktorem. Wreszcie machnął ręką, zaklął pod nosem i ruszył.

— Pan wsiada — zatrzymał się obok Niwy. — Podrzucę pana. Proszę się nie obawiać — roześmiał się na widok niepewnej miny naczelnego. — Nie wywiozę pana za miasto, żeby zostawić pobitego w krzakach.

Dziennikarz z wahaniem zajął miejsce obok kierowcy.

— Co z pana za człowiek — powiedział.

— Jak to człowiek — odparł lekkim tonem Wroński. — Raz dobry, raz zły. Normalnie.

Przez dłuższą chwilę jechali w milczeniu. Wreszcie przerwał je Michał.

— Redaktorze, mam pytanie.

— Tak?

— Kiedyś w gazecie ukazał się artykuł o pracy archeologów w okolicach naszego zamku, o odkryciu komory pod pomnikiem Złotych Godów. Pamięta pan, kto go napisał?

— A po co to panu? — Niwa spojrzał badawczo.

— Nie wiem właściwie — wzruszył ramionami komisarz — ale chciałbym z tym człowiekiem pogadać. O ile wiem, miał napisać więcej na ten temat, ale jakoś rzecz się ucięła.

— Zgadza się — odparł ostrożnie naczelny. — Jakoś się ucięła. Marek Jedliński, bo o nim mówimy, zrezygnował z tematu. Chyba nie było tam nic interesującego do opisywania.

— Tak — mruknął Wroński. — Nic interesującego albo wręcz przeciwnie. Może mi pan dać do niego jakiś namiar?

— Mogę — dziennikarz skrzywił się niechętnie. — Ale na wiele się

to panu nie przyda.

— Dlaczego? Nie zechce ze mną rozmawiać?

— Nie o to chodzi. Nie może. Leży na nowym cmentarzu. Zawał serca. Wie pan, co to znaczy w wieku trzydziestu lat? Wyrok śmierci.

Wroński zacisnął wargi. Zawał serca... Łańcuszek zgonów czy przypadek? Ciekawe czy była zrobiona sekcja. I co wykazała.

— Komisarzu — odezwał się Niwa. — Za co mnie pan tak nie lubi? Zaskoczył Michała. Przez dłuższy moment zbierał myśli.

— Podobne pytanie zadał mi burmistrz — powiedział wreszcie — więc usłyszysz pan podobną odpowiedź, przynajmniej w pierwszych kilku słowach. Nie chodzi tylko o pana. Raczej o to wszystko, co pan sobą reprezentuje. Widzę w pana osobie nie człowieka, ale dziennikarską hienę. W dodatku zamotaną w układy i układziki, bojącą się ugryźć rękę, która ją karmi. Niezależna prasa — prychnął. — Może jest takowa, ale nie w dziurach podobnych naszemu miastu! Właśnie tego nie cierpię.

— Jeszcze chwila, a powie pan, że nie ma w tym nic osobistego...

— Bez przesady — roześmiał się głośno Michał. — To cholernie osobista sprawa.

Zatrzymał się przed domem redaktora. Nowy dom jednorodzinny lśnił jeszcze mało przykurzonym tynkiem. Wroński westchnął w duchu z zazdrością. Człowiek zasuwa całymi dniami i nie stać go nawet na nowe meble, a ten stawia dom bez większego bólu.

— Dziękuję — Niwa otworzył drzwi. — Mimo wszystko dziękuję.

— Nie ma za co. Naprawdę. A na przyszłość niech pan nie siada po kielichu za kółkiem. To się z reguły źle kończy. A jeśli złapią pana policjanci, postaram się ze wszystkich sił, żeby potraktowano pana jak każdego. A nawet bardziej surowo.

— Wyobrażam sobie.

— Nie pomogą wtedy znajomości.

— Pan jest jednak okropny, wie pan o tym?

Wroński kiwnął głową.

— Jasne, że wiem. Mam żonę. A kto potrafi uświadomić takie rzeczy lepiej niż kobieta? Aha — zatrzymał jeszcze naczelnego. Rzucił mu kluczyki do samochodu. — Mnie to już po nic, a pan nie będzie nadrabiał drogi do redakcyjnej poczty.

\*

Telefon wyrwał go z płytkiej drzemki. Ułożył się już wygodnie w wielkim, skórzanym fotelu, a teraz trzeba było opuścić legowisko. To okazało się wcale nie takie proste. Końcami palców prawej ręki namacał dźwignię, pociągnął ją w górę. Teraz unieść głowę i pół pleców. Sprężyny naciągu powinny zrobić resztę. Ale nie zrobiły. Stary szmelc! Ale był do niego przywiązany. Kiedy został szefem wydziału operacyjnego w Moskwie, zabrał ten mebel z Kazania na dobrą wróżbę. Szarpał się z fotelem, a telefon dzwonił jak opętany.

Wreszcie wygrzebał się, chwycił czerwoną słuchawkę.

— Czego? — warknął. Słuchał kilkanaście sekund głosu z drugiej strony. — No to dawać go tutaj — Lekko uderzył pięścią w blat biurka. — Na co czekałeś, durniu? Myślałeś? Następnym razem, z łaski swojej, ogranicz ten zgubny nałóg, lejtnancie. Jak cię weźmiemy do pracy koncepcyjnej, będziesz myślał. Na razie masz tylko wypełniać polecenia! No już, czekam na niego!

Malinin wszedł bez pukania. Marszałek Winogradow nie uznawał takich konwenansów. „Jeśli będę sobie życzył posiedzieć w samotności — mawiał — zamknę się od środka i wywieszę kartkę, żeby nie przeszkadzać. Pukanie przeszkadza tak samo jak wtargnięcie. A poza tym, kiedy ktoś kiedyś zapuka, będę wiedział, że muszę się mieć na baczności, bo tak może postąpić tylko obcy”. Nie siadał też nigdy tyłem do drzwi. Podobno nawet we własnym domu zachowywał się w taki sposób.

Major stanął w progu niepewnie, nie wiedząc jak się zachować. Widok przełożonego, klnącego najgorszymi słowami i szarpiącego się z wielkim czarnym fotelem. W pierwszej chwili chciał się cofnąć, ale widok był zbyt fascynujący, żeby z niego natychmiast zrezygnować. A potem było za późno. Marszałek dostrzegł go.

— Czego stoisz jak słup soli? — wydyszał. — Pomóż z tym cholerstwem!

Oleg posłusznie zbliżył się. Marszałek ciągnął z całej siły za dźwignię z boku fotela, a jednocześnie drugą ręką starał się przygiąć mebel, szarpiąc zagłówek. Coś zgrzytało i trzeszczało, ale przedmiot nie chciał się poddać zabiegom.

— Niech pan zaczeka — powiedział Malinin. — Tu trzeba delikatnie.

— Delikatnie?! — ryknął Winogradow. — Już próbowałem

delikatnie, chłopcze! Bierz się do roboty.

Major wzruszył ramionami, chwycił zagłówek i zaczął go pchać w stronę marszałka. Efekt był tylko taki, że unieśli ciężki fotel nad podłogę.

— Może jednak pozwoli pan spróbować? — spytał nieśmiało Oleg.

— Próbuj — Marszałek odsunął się. — Jak ci się uda, masz u mnie dużą wódkę.

Malinin pochylił się, zajrzał pod spód, obejrzał dokładnie konstrukcję. Ujął dźwignię, uniósł ją delikatnie. Coś zgrzytnęło. Włożył palce w przestrzeń z boku, wymacał mechanizm. Nacisnął palcem zapadkę. Fotel złożył się z trzaskiem.

— Cholera — Marszałek pokręcił głową z niedowierzaniem. — Jak to zrobiłeś?

Malinin też kręcił z niedowierzaniem głową, tyle tylko, że w duchu. Jak taki geniusz operacyjny, najinteligentniejszy człowiek, jakiego w życiu spotkał, może być jednocześnie taką niesamowitą techniczną gułą?

— Trzeba naoliwić mechanizm — wyjaśnił. — W środku jest taki zespół prętów, który zacina się, jeżeli nie ma smarowania. Kiedy pan to ostatnio robił?

Odpowiedzi się nie doczekał. Zresztą nie była potrzebna. Osłupienie na twarzy marszałka dawało najlepsze świadectwo, że od nowości fotel nie był konserwowany.

— Dzięki, majorze — Winogradow usiadł za biurkiem. — Obiecałem, dotrzymam.

Wyjął dwie szklanki i butelkę wódki „Rossijskaja”. Nalał, wychylili w milczeniu.

— No — sapnął marszałek — mów!

— Otrzymałem raport od Malachiasza. Musimy się śpieszyć, bo ktoś gotów nam wszystko sprzątnąć sprzed nosa. W Oleśnicy podobno roi się od agentów.

— Co robią Amerykańce?

— Mniej więcej to samo, co my. Pilnują i węszą. Tyle że oni działają po swojemu. Żadnych gwałtownych ruchów. Prawie ich nie widać. My pracujemy bardziej zdecydowanie.

— Mogą sobie pozwolić. Wiesz doskonale, że wywiad Angoli chętnie wyświadczy im niejedną przysługę. A jeśli się postarają, to dostaną jakieś materiały od Polaków czy nawet Niemców. My jesteśmy sami.

Zamyślił się. Piękne to były czasy, kiedy Rosja stanowiła centrum państw bloku wschodniego. O ileż łatwiej wtedy prowadziło się działalność szpiegowską, przeprowadzało koronkowe akcje!

— Niemców? — powtórzył Malinin. — Może i tak. Ale nie wszystkich. Tam mamy dwa rodzaje ludzi z Niemiec. Jedni to pracownicy wywiadu RFN, ale drudzy pracują na własną rękę.

— Mówisz o...

— Właśnie. Stara hitlerowska sitwa, prawdziwa międzynarodowa mafia potomków zbrodniarzy wojennych. Tajna organizacja stworzona przez weteranów SS. W porównaniu z naszymi możliwościami są słabi, ale zdeterminowani, żeby tajemnica pozostała w ukryciu. Mają niewątpliwą przewagę. Wiedzą, gdzie to jest i zrobią wszystko, żeby tam zostało do czasu odrodzenia się wielkiej Rzeszy.

— A my naprawdę jeszcze nie wiemy, gdzie jest to, czego szukamy?

— My się tylko domyślamy.

— Popędź no tam naszych chłopaków! Chcę mieć efekty. Jak najszybciej! Na mnie też wywierają naciski różne siły. Myślisz, że dla czego was tak gonię? Dla własnej przyjemności? Posłałem najlepszych, niech pokażą, co potrafią.

— Starają się, obywatelu marszałku. ale to nie takie proste. Trzeba uważać. Nie możemy...

— Trzeba to zdobyć! — uciął twardo Winogradow. — Nieważne, ile będzie ofiar, czy wybuchnie międzynarodowy skandal. Rzecz jest tego warta! Koniec z działaniem w białych rękawiczkach. Nie po to płacimy agentom krocie, żeby siedzieli na dupach. Jeśli trzeba kogoś zabić, niech zabiją, jeśli torturować, niech torturują. Prezydent jest osobiście zainteresowany postępami operacji. Pół biedy jeśli wyprzedzą nas Amerykanie. Gorzej, gdyby udało się Chińczykom!

— Tak jest! — major wstał. — Natychmiast wydam odpowiednie dyspozycje.

\*

Jerzy szedł ulicą Rzemieślniczą. Od domu Martynty, jego obecnej partnerki, najbliższej było przejść przez bramkę wykutą w murze obronnym. Z jednej strony dochodziły do niego nieduże błonia, oddzielające ulicę od zabytku, z drugiej stały domy przy ulicy Łużyckiej i Rycerskiej. Zasiadzał się, było już ciemno. Jeszcze wspominał przeżycia

ostatnich godzin. Znienacka, tuż przed bramką, otoczyły go zwaliste, ciemne sylwetki. Czterech osiłków. Nie miał najmniejszych szans.

— Dajcie spokój, chłopaki — powiedział pojednawczym tonem — jestem glina.

— Pan Jerzy Majer? — padło pytanie. Zadał je piąty mężczyzna, który w tym momencie wyłonił się z mroku.

W tej chwili policjant zdał sobie sprawę, że jest niedobrze. To nie zwykli chuligani. Czekali specjalnie na niego.

— Nie. Znam go, ale to nie ja...

Jęknął i skurczył się od mocnego ciosu w żołądek.

— Zła odpowiedź. Pan Jerzy Majer?

— Tak — wydusił.

— Potrzebujemy kilku informacji. Paru rzeczy, o których powinienes mieć jakieś pojęcie.

Ktoś go wyprostował, chwycił pod ramiona. Znów uderzenie, w splot słoneczny. Stracił oddech, usiłował się skurczyć, ale uchwyt był zbyt mocny.

— O co chodzi? — szepnął samymi wargami, bardziej do siebie niż do nich.

— O szczere wyznanie — przywódca prześladowców odczytał ruch ust. — Wszystko, co wiesz na temat sprawy prowadzonej przez Michała Wrońskiego.

— Jego zapytajcie, jeśli jesteście ciekawi!

— Ale pytamy ciebie, gnojku!

Jerzego zastanowił dziwny akcent mówiącego. Dziwnie, trochę twardo wymawiał spółgłoski, a śpiewnie samogłoski.

— Pracujecie dla Filipa?

— Jakiego Filipa?

— No... — nagle zdał sobie sprawę, że nie bardzo może powiedzieć coś więcej. Jeśli są ludźmi jego oficera prowadzącego, i tak nie powiedzą, a jeśli nie, on się pogąrzy.

— Czego oczekujecie?

— Głuchy jesteś? Rzetelnych informacji.

— Ale ja nic nie wiem — dopiero teraz, przez watę strachu dotarło do niego, jaki to akcent słyszy w głosie napastnika. Mylnie wziął go za Francuski. — Jesteś Rosjaninem...

Cios otwartą dłońią w twarz. Bolało tym bardziej, że miał obrażenia po pobiciu przez Michała.

— Gównu ci do tego! Jutro masz przygotować pisemny raport.

— Następny — mruknął Jerzy.

— Co powiedziałeś?

— Nic.

Tym razem uderzenie dosięgło wątroby. Potworny ból przeszył gorącą falą najpierw brzuch a potem całe ciało.

— Tylko nie w wątrobę — wyjęczał.

— Na jutro rano! Zrozumiałeś?

Pytanie zostało poparte powtórny uderzeniem.

— Nie w wątrobę, proszę — znów bałaganie. — Jestem chory...

— Ale chlać wodę możesz.

Jerzy podkurczył nogi, zwiśł całym ciężarem na trzymających go prześladowcach.

— Gównu dostaniecie — powiedział niespodziewanie pewnym, głośnym tonem.

Nie było odpowiedzi. Spadły na niego ciosy. Bili tak, żeby bolało, ale by nie zrobić zbyt dużej krzywdy.

— Namyśl się. Bo jeśli nie będzie, czego żądam, zabierzemy cię na rozmowę do nas. Mamy bardzo ładną chałupę w lesie. Tam możemy zrobić z tobą wszystko. Przypiec, usmażyć, wykastrować, obrać ze skóry. Zastanów się.

Puścili go. Legł na ziemi.

— Dorzuc mu coś jeszcze na pożegnanie — powiedział przywódca.

— *Tak toczno*, Wiktor — padło radosnym tonem.

Mierzone kopnięcie czubkiem buta. W wątrobę. Przez niesamowity ból przedarły się jeszcze jakieś dźwięki.

— Jak komu powiesz — to mu wepchnięto prosto w ucho razem z zapachem przetrawionej wódki — znajdziemy i zabijemy. Pamiętaj.

Głos oddalał się, w głowie narastał szum. Do usta napłynęła fala słonego smaku. Jerzy stracił przytomność.

\*

— Pamiętaj, jesteś odpowiedzialny, żeby wszystko zostało jak dotąd.

Głos z ciemności, jak zwykle pozbawiony wyrazu, wyprany z emocji. Mógł należeć do każdego. Nigdy nie widział tego człowieka. Więcej, nigdy



nie mógłby zobaczyć jego twarzy, bo to równałoby się śmierci. Przyszedł do tego starego, na wpół zrujnowanego domu zdać meldunek. Spotykał się z prowadzącym go agentem przynajmniej raz w miesiącu w różnych miejscach. To znaczy ostatnio było to raz w miesiącu albo częściej. Przedtem tajemniczy człowiek pojawiał się co pół roku albo i rzadziej. Ale też nie bardzo było o czym mówić. Ostatnio sytuacja uległa zmianie, a kontakty intensyfikacji.

— Masz zrobić wszystko, żeby tajemnica nie wyszła na jaw!

— To nie takie łatwe — zaprotestował. — Wie pan przecież. W Oleśnicy przebywa więcej agentów niż w najgłupszym filmie szpiegowskim! Są nawet Niemcy, pana ziomkowie. Ich też mam zabijać?

— Likwidujesz każdego, kto zbyt daleko zajdzie. Nieważne, jakiej jest narodowości. Niemiec, który służy obecnemu rządowi nie jest godzien, by nazywać go potomkiem Nibelungów! To mięczaki, niezdolne do samodzielnego działania i myślenia, uzależnione od instrukcji ze Stanów Zjednoczonych!

— Ja też nie jestem Niemcem.

— Milcz! — po raz pierwszy głos nabrał jakichś konkretnych tonów. Zabrzmiał gniewem. — Twój dziad był Niemcem, twój ojciec wiernie służył Rzeszy, więc i ty jesteś jednym z nas, chociaż w ojczystym języku nie potrafisz powiedzieć najprostszego zdania. Ale tak ma być, taki nam jesteś potrzebny.

— Pan naprawdę wierzy, że wielka Rzesza kiedyś się odrodzi?

Suchy, kostyczny wręcz śmiech.

— Odrodzi? Ona nigdy nie umarła! Zapamiętaj to sobie. Przetrwiała w tych, którzy dochowali wierności führerowi, została przekazana ich potomkom z mlekiem matek, z nasieniem ojców. Rzesza żyje wszędzie tam, gdzie jesteśmy. A los rozrzucił nas po całym świecie. A nawet nie los, tylko Bóg.

Bóg? Ten człowiek stał się bardzo religijny, odkąd rozwiązano sławetną enerdowską Stasi. Inaczej kiedyś się wypowiadał o Bogu. Jako pracownik komunistycznych służb specjalnych był ateistą. Zresztą wtedy nie opowiadał bzdur o czwartej Rzeszy, ale o wierności wobec bohaterskich przodków. Nieważne, koniec końców. Istotne, czego żąda, a nie z jakich pobudek.

— Powinienem chyba otrzymać jakiś pistolet... Różnie może być.

— Nie! — padła ostra odpowiedź, a po chwili głos znów stał się monotony. — Musisz być czysty, poza podejrzeniem. Jeden nieopatrzny ruch, jedno ciekawskie ludzkie oko, a znajdziesz się nagle w centrum zainteresowania polskiego kontrwywiadu i obcych agentur. Poza tym z bronią człowiek staje się zbyt pewny siebie i nieostrożny. Masz swoje sprawdzone metody, ich się trzymaj. Muszą wystarczyć.

— Ale ostatnio ktoś użył spluwy! Nie słyszał pan? Bo ja nie tylko słyszałem, ale i widziałem. Zapaściło się zbyt daleko dwóch. Najpierw myślałem, że są razem, ale nie. Jeden drugiego zastrzelił, nawet z nim nie rozmawiał. A potem rozwalił mu głowę z półautomatycznej śrutówki. Tego zabójcę załatwiłem. Ale miałem potem strasznie pracowitą noc. Wynieść dwa trupy to nie byle co.

— Słyszałem oczywiście. My wiemy wszystko, czy kiedyś to przyjmiesz do wiadomości? Ale to nie powód, żebyś pętał się z bronią palną. Poradzisz sobie jak zawsze.

Jasne, zaśmiał się gorzko w duchu. Ciekawe tylko, czy oni by sobie bez niego poradzili.

— Nie ma ludzi niezastąpionych.

Drgnął. Czy ten człowiek potrafi czytać w myślach? Może to prawda, co opowiadają o metodach pracy wschodniemieckiego i sowieckiego wywiadu? Podobno korzystali z usług mediów i różnych jasnowidzów.

— Każdemu można znaleźć następcę — ciągnął pogrążony w mroku człowiek. — Tobie też. Mówię to, żeby nie przychodziły ci do głowy głupie myśli. Nie miej takiej przerażonej miny. To nie wyrok, ale ostrzeżenie.

Ostrzeżenie! Starzy esesmani i ich uczniowie z wywiadu niemieckiego rzadko odróżniali te dwie sprawy. Niezwykle często niewinne ostrzeżenie wiązało się z wyrokiem śmierci. Włoska camorra mogłaby się od nich uczyć metod zastraszania własnych członków.

— Przestraszyłem cię? W sumie to dobrze. Stałeś się zbyt pewny siebie i swojej pozycji. Trochę pokory, mój drogi. To ty istniejesz dla nas, nie my dla ciebie. A teraz konkretnie. Potrzebujesz czegoś? Może więcej pieniędzy?

Wzruszył ramionami. A po co mu więcej pieniędzy, jeżeli nie może ich użyć, uwięziony w jednym miejscu, zmuszony udawać zwykłego obywatela, żyć jak inni, chodzić do pracy, spotykać się ze znajomymi...

Przez całe lata nie pamiętał, że jest człowiekiem nie stąd, że wisi nad nim odium pracy dla tajemniczego stowarzyszenia założonego pod koniec wojny przez ocalałych hitlerowskich bonzów. Dopiero niedawno przypomnieli mu o roli psa łańcuchowego, o zadaniach przejętych po ojcu i dziadku.

— Niczego mi nie trzeba.

— Dobrze. Instrukcję co do miejsca i czasu następnego spotkania znajdziesz tam, gdzie zawsze. Spisz się jak należy. Twój dziadek prawie pięćdziesiąt lat temu wykazał się w podobnej sytuacji wielką odwagą, determinacją i wyczuciem. Zapobiegł nieszczęściu.

— Mam tylko jedno pytanie. Mogę?

— Nie gwarantuję odpowiedzi, ale pytaj.

— Pan wie, o co chodzi, prawda? O co ta wojna? Dlaczego nagle moje zdanie stało się takie ważne?

— Wiem albo nie wiem. To bez znaczenia. Każdy z nas ma wykonać swoją pracę najlepiej potrafi. Być może stoisz na straży niezwykle ważnych spraw. A może pilnujesz jakiegoś gówna. Tego nie wiesz i nie powinieneś wiedzieć.

— Gdyby to było byle gówno, nie fatygowałby się pan do mnie osobiście. Mam rację?

— Być może. Ale pamiętaj, w tej robocie nigdy nic nie wiadomo. Nie byłem przy ukrywaniu archiwów, nie wiem z całą pewnością, gdzie co się znajduje. Wystarczy taka odpowiedź?

— Wystarczy — przymknął oczy, żeby tamten nie zauważył w nich błysku zrozumienia. Ten ogromnie ważny rozkazodawca, wielki i wszechpotężny, w istocie rzeczy też jest jedynie wykonawcą czyichś poleceń. Nad nim stoi ktoś bardzo ważny, może najważniejszy, a może też tylko pośrednik, przyjmujący dyrektywy z jeszcze wyższego poziomu. Kto jest pierwszym po Bogu w tym łańcuszku? Tego nie wie, nigdy się nie dowie, a przede wszystkim wiedzieć nie powinien i nie chce.

\*

Nikt nic nie widział, nikt nic nie słyszał. Nikt nic nie wie. Czeski film skrzyżowany z amerykańską komedią. Tylko temat cokolwiek mniej zabawny. Zebrany materiał był skąpy niczym nowoczesne bikini. Oglądał zdjęcia z parku. Zmasakrowana twarz trupa zdawała się nierealna, jakby od tamtego wydarzenia minęły miesiące, a nie kilka dni. Ale jakich dni! W

dotatku stary zazaądał na czternastą raportu w sprawie dochodzenia. I mają być jakieś wyniki, a przynajmniej sensowne wnioski! Obrzydliwy satyr, złośliwy dziad. A jakich się wyników spodziewa? Żadnego świadka, choćby tylko pośredniego, kogoś, kto widział coś podejrzanego. Jeśli traktować tę sprawę odrębnie od innych, zgodnie z wytycznymi, nie ma o co się zahaczyć. A raport musi być sporządzony właśnie tak, jakby postępowanie dotyczyło tylko tego jednego przypadku. Okropność! W dodatku po wiadomości wyciągniętej od burmistrza zaczął zyskiwać pewność, że jego osoba jest tylko i wyłącznie maleńkim pionkiem na wielkiej szachownicy. Pionkiem, który nie ma pojęcia, gdzie zaprowadzi go kolejny ruch mistrza. A może nie mistrza wcale, ale kiepskiego gracza.

Skrzypnęły drzwi. Podniósł głowę znad papierów. Do gabinetu zajrzał prokurator Paweł Szlęzak.

— Dzień dobry, panie Michale — uśmiechnął się, wchodząc dalej. — Jestem akurat na komendzie, wpadłem zapytać, jak tam postępy z tym zastrzelonym.

— Rany — jęknął Wroński. — Pan też?

— Co ja też? Aaaa, rozumiem, szef naciska? Właśnie. Mój także.

— No to jest nas dwóch. Ale choćbym szturmową pałą walił w te wszystkie papiery i protokoły przez trzy dni, nic z nich nie wydobęde. Nic! Takiego zera poszlak i wniosków do wyciągnięcia nie widziałem od ostatniego wystąpienia premiera.

Prokurator roześmiał się.

— Właśnie. Coś straszego, prawda? Podobnie jak przy wszystkich wypadkach trupów znalezionych wokół zamku. Nie ma się o co zaczepić. Pan tych spraw nie łączy?

— Oficjalnie łączenie ich zostało mi zabronione. Chyba, żebym je wiązał z narkotykami. Wtedy wolno.

Szlęzak spoważniał, na przystojnej twarzy pojawił się wyraz napięcia.

— Właśnie, panie Michale — powiedział cicho. — U nas każdy prowadzi innego z tych denatów. A raczej prowadził, bo trzy sprawy, jak pan wie, umorzono, a następne czekają tylko na termin, żeby można to było uczynić. Nie podoba mi się to — dodał po chwili. — Ale skoro przełożeni tak chcą, trzeba się podporządkować.

— Właśnie, panie prokuratorze. Trzeba się podporządkować.

— I kto to mówi? — na twarzy Szlęzaka znów pojawił się uśmiech.  
— Pan chyba nie lubi takiego przymusu i dyktowania warunków.

— Lubię czy nie, na pewne rzeczy nie mam wpływu.

— No to powodzenia, panie Michale — Szlęzak wyciągnął rękę. —  
Wracam do sądu.

Po wyjściu prokuratora Wroński odruchowo wytarł dłoń w spodnie. Za każdym razem, kiedy ścisnął rękę tego człowieka miał wrażenie, że chwycił prezerwatywę wypełnioną ciepłą wodą. Miękka i gładka skóra, uścisk w granicach zera. Prokurator tak naprawdę podawał same palce. Luźne w dodatku. Inni mężczyźni w jego wydziale byli o wiele normalniejsi. Ale co tam panowie! Kobiety mieli bardziej zdecydowane i z jajami! A ten to typ śliskiego karierowicza. Dobrze by się czuł w latach Bieruta i Gomułki.

Po co przylazł? Wyglądało, że chciał wyciągnąć od komisarza jakieś informacje, skłonić do wyznania, że buntuje się przeciw decyzjom góry, samemu przyłączyć się do tego buntu. Naprawdę myślał, że nabierze starego glinę na takie prowokacje? Przyjaciel za pięćdziesiąt groszy! Nie podobają mu się rozkazy przełożonego? Samo to wyznanie musiało go kosztować prawie atak serca ze strachu, nawet jeśli wypełniał czyjeś polecenie. Ale jeżeli działał na własną rękę, musiał to sam ocenić jako szaleństwo. Teraz pewnie trzęsie się ze strachu, że Wroński powtórzy komuś treść rozmowy. Że też ktoś taki został prokuratorem! Powinien raczej zająć się ogrodnictwem.

Machnął ręką i przystąpił do pisania raportu.

Od pracy oderwał go dzwonek telefonu. Odruchowo spojrzął na zegarek. Wpół do pierwszej. A napisał zaledwie kilka zdań!

— Michał? — usłyszał znajomy głos.

— To ja, panie profesorze.

— Czy możesz do mnie teraz przyjść?

— W tej chwili nie. Może po pracy.

— Wolałbym teraz.

— Ale nie mogę się wyrwać. Panie profesorze, czy to nie może poczekać ze trzy godziny?

— Pewnie może. Ale dla mnie to niesłychanie pilne. Boję się. Adam mi się dzisiaj śnił. Może chciał mnie ostrzec? Nie chcę podzielić jego losu.

— Myślę, że w Oleśnicy nic podobnego panu nie grozi. A czy w ogóle

u pana jest czego szukać?

— To nie rozmowa na telefon!

— Oczywiście. Zjawię się zaraz po służbie.

\*

Wyszedł z komendy już dziesięć minut później. Po drodze minął gabinet komendanta. Stary stał przy drzwiach rozmawiając z jakimś cywilem.

— Raport, komisarzy! — zwołał na jego widok. — Punktualnie o czternastej.

— Jasne.

— I bez opóźnień, bo pojedę po premii.

Wroński machnął ręką. Dziadyga musi się przed kimś pochwalić, że krótko trzyma podwładnych. Teraz pewnie wstawia komentarz w stylu „jak się samemu nie dopilnuje, wszystko zaczyna się rozłazić”. Zobacysz dzisiaj ten raport jak świnia niebo, myślał z wściekłością komisarz. I zabierz mi premię, jak chcesz, a nawet udziel ostrzeżenia z wpisem do akt.

Rozmowa z Walbergiem wzbudziła niepokój. Opanowany zawsze historyk zdawał się wytrącony z równowagi jeszcze bardziej niż wczoraj. Gadanie o ostrzeżeniu we śnie też świadczyło o nieszczególnej kondycji psychicznej. Lepiej zobaczyć się z nim zaraz. Tym bardziej, że później, po przemyśleniu, może ochłonąć i dojść do wniosku, żeby nie mówić wszystkiego. A Wroński potrzebował informacji, nawet pozornie nieprzydatnych. Gdzieś tam w zakamarkach umysłu dojrzewały wnioski, konkluzje. Znał ten stan. Jeszcze trochę, jeszcze tylko jakieś wydarzenie i wszystko połączy się w logiczną całość. Czy może raczej logiczny wycinek całości, ale na tyle wyraźny, żeby dało się coś z tym zrobić. Poza tym na końcu rozmowy w słuchawce rozległ się nieprzyjemny metaliczny szcęk. Najpierw nie zwrócił na to uwagi. Podśłuchiwanie rozmów ze służbowych telefonów to norma w policji. Ale dopiero po chwili dotarło do komisarza, że kontrola nie wydaje takich odgłosów. Są po prostu na linii, nie muszą się rozłączać. A w takim układzie oznaczać to może jedno. Telefon Walberga jest monitorowany.

Dom profesora stał przy ulicy Dąbrowskiego. Willa z lat siedemdziesiątych, taki gierkowski potworek z płaskim dachem, zupełnie niepasujący do poniemieckich domów i nowszych budynków.

Furtka była uchylona. Michał wszedł. Na ganku wygrzewał się czarny jak smoła kot. Michał pochylił się nad zwierzakiem, wyciągnął rękę. Kocur zasyczał ostrzegawczo, ale się nie ruszył. Odważna bestia. Komisarz uśmiechnął się pod nosem, chciał zagadać do kocura, ale w tej chwili usłyszał ze środka domu zduszony okrzyk. Zamarł, nasłuchując. Po chwili krzyk się powtórzył. Michał popędził do drzwi. Kot zerwał się, przestraszony. Było otwarte. Następny niepokojący sygnał. W domach jednorodzinnych rzadko mieszkańcy zostawiają beztrosko otwarte wejście. Pognał na piętro. Nie wiedział, dlaczego akurat tam skierował pierwsze kroki. Pewnie dlatego, że wiedział, iż na górze profesor ma gabinet. Po drodze minął leżące ciało jakiejś kobiety. Związana i zakneblowana, patrzyła na niego rozszerzonymi przerażeniem oczami.

Wpadł do pracowni Walberga, prawie wyrywając drzwi z zawiasów. W oknie, w jaskrawym świetle wpadającym od południowej strony, zamajaczyła ciemna postać. Prawa dłoń wyglądała dziwnie, jakby jej palce uległy niezwykłemu wydłużeniu. Dopiero kiedy uniosła się w jego kierunku, pojął, co to jest. Pistolet z tłumikiem! Uskoczył, kryjąc się za ścianą. Bezgłośny wystrzał wyrwał wielką drzazgę z framugi na wysokości oczu. Michał wyszarpnął z kabury pod pachą pistolet, wziął głęboki oddech, a potem skoczył w drzwi, od razu przyklekając. Usłyszał świst nad głową. Strzelił. Huk i brzęk tłuczonego szkła. Ciemna postać zawahała się przez chwilę, Wroński nacisnął spust ponownie, ale pistolet był martwy. Tamten skoczył, nie oglądając się. Michał podbiegł, szarpnął zacięty zamek. Pocisk ze zgniecioną łuską wyleciał na podłogę, mógł wreszcie przeładować broń. Podbiegł do okna, wycelował w dół. Nie było jednak już do kogo strzelać. Napastnik jakby rozpułnął się w powietrzu. Tylko wysokie krzewy kiwały gałęziami na pożegnanie.

Wroński natychmiast skoczył do leżącego na dywanie profesora. Walberg miał otwarte oczy, ciało wyprężone, a prawą rękę wyciągniętą nad głowę, jakby chciał po coś sięgnąć. Michał zbadał puls tylko dla formalności. Historyk na pewno nie żył. Strzał prosto w serce... nie, trzy strzały, wszystkie w okolicach lewej strony klatki piersiowej. Sekcja pewnie wykaże, iż każdy z nich był śmiertelny. Michał przyjrzał się uważnie ułożeniu ciała. Było w nim coś dziwnego. Widział w karierze trochę trupów, w tym ofiar zabójstw, ale w tym przypadku miał wrażenie jakiejś wyjątkowości. Wreszcie zrozumiał, co jest na rzeczy. Właśnie!

Gdzie w momencie śmierci patrzył profesor? Rzadko się zdarza znaleźć denata w takiej pozycji, z wykręconą ku górze, przekrzywioną głową. Powinien raczej patrzeć na zabójcę, a nie gdzieś pod biurko. Schylił się, podążył za wzrokiem Walberga. Dlaczego w chwili śmierci skierował wzrok akurat tam? Czyżby coś podkleił pod blat? Nic nie widać. Szuflada została wywalona na podłogę, papiery rozrzucone, obie szafeczki z lewej i prawej strony także wybebeszone. Ale na dywanie zalegały same rachunki, uczniowskie zeszyty i jakieś luźne kartki. Przyjrzał się im. To tylko sprawdziany. Na czworakach wpełzł pod mebel. Zaczął obmacywać uważnie deski. Biurko pamiętało na pewno jeszcze rządy Bieruta, a może nawet sanację. Może jest jakaś skrytka? Nie widać. Nacisnął raz i drugi dębowe deseczki z boku. Nic. Siedziały mocno, nawet nie zaskrzypiały. Zaczął wyłazić z ciasnej przestrzeni. W pewnej chwili pośliznął się na jakiejś karteczce. Na puszystym dywanie zadziałała podobnie jak skórka od banana. Żeby nie runąć na nos, musiał się mocno oprzeć dłonią o wewnętrzną stronę biurka. Ale to nie pomogło. Poczul, że oparcie usuwa się spod palców. Jeszcze tylko zdążył jakoś wyciągnąć przed siebie drugą rękę, zanim upadł. Uderzył głową kant, ale nie zwrócił na to uwagi. Zbyt był zaintrygowany tym, co zobaczył. W życiu trzeba mieć trochę szczęścia, liczyć na przypadek. Jak teraz. Intensywnie wpatrywał się w przestrzeń pod biurkiem. Tak, to mu nie przyszło do głowy. Zabójcy, jak widać, również. Oczywiście jeżeli szukał właśnie czegoś podobnego. Biurko stało na stalowych pałkach, piętnaście, może dwadzieścia centymetrów nad podłogą. Żeby nogi nie kaleczyły dywanu, profesor ustawił je tuż za jego linią, na parkiecie. Teraz, leżąc płasko, na boku, Michał prawym okiem widział właśnie tę przestrzeń. Światło odbijało się od wypolerowanego parkietu, dzięki czemu mógł dostrzec jakiś płaski kształt, którego nie było widać po przeciwnej stronie mebla. A przecież powinny być idealnie symetryczne. Sięgnął pod spód. Chwilę rozpoznawał palcami, co to może być i czy nie jest jednak elementem spodu. A potem szarpnął.

Po chwili zszedł na dół. Związana kobieta zdołała się już przeczołgać w stronę wyjściowych drzwi, a teraz na próżno usiłowała wstać.

— Proszę się nie obawiać — powiedział schrypniętym głosem. Odchrząknął. — Jestem policjantem. Zaraz panią rozwiążę.

Zerwał taśmę z jej ust. Kobieta odetchnęła głęboko. Potem zaczął się



mocować z węzłami. Jednak napastnik pozaciągał pętle tak, że każde szarpnięcie zaciskało je mocniej. Poszedł do kuchni. Kobieta z przerażeniem w oczach śledziła jego ruchy. Kiedy zbliżył się z nożem, jęknęła próbując wcisnąć się w kąt.

— Naprawdę jestem z policji. Muszę przeciąć sznur. Gdybym chciał panią zabić, po co zdejmowałbym knebel?

Widać było, że nadal mu nie ufa, ale poddała się zabiegom. Pochylił się nad nią. Przymknęła oczy. Delikatnie, żeby jej dodatkowo nie przestraszyć, zaczął ciąć. Najpierw opłoty na ramionach, potem rękę. Po chwili skończył, a ona zaczęła masować otarte i napuchnięte nadgarstki. Dopiero teraz przyjrzał się jej uważniej. Miała może koło trzydziestki. Ładna, efektowna blondynka o szarych oczach. Nawet przestraszona, potargana i skulona była atrakcyjna.

— Nie wiedziałem, że profesor ma córkę — przysiadł na schodach, naprzeciwko niej. — Pani jest jego córką, nie mylę się?

— Co z nim? Co z tatą? — Poderwała się na równe nogi. — Gdzie ten bandyta?

— Bandyta uciekł. A pan Walberg... Przykro mi — również wstał. — Profesor nie żyje.

Rzuciła się w kierunku schodów. Chwycił ją mocno. Szarpała się, próbowała go udrapać w twarz. Chwilę trwała szarpanina.

— Nie pomoże pani ojcu w żaden sposób — przemawiał łagodnie, jak do małego dziecka. — A na górze wszystko musi zostać jak było. Proszę pójść ze mną. — Zaprowadził ją do dużego pokoju, posadził na wersalce. Wyjął telefon. — Zaraz wezwę ekipę.

Rozmawiał przez chwilę z dyżurnym, kazał się połączyć z komendantem. To zbyt gruba sprawa, żeby go pominąć.

— Może pani rozmawiać? — zwrócił się do kobiety.

— Tak — kiwnęła głową.

— Jak to się stało?

Baliński był najwyraźniej bardzo niezadowolony. Nic nie powiedział, ale wyraźnie przeżuwał w sobie złość. Komendant za to nie miał żadnych oporów, żeby okazać uczucia.

— Miałeś mi dostarczyć raport o czternastej, a nie wyłączyć sobie z roboty!

— Dzięki temu wyłączeniu trafiłem na miejsce przestępstwa! Pewnie uratowałem życie córce profesora.

— Cholera jasna. Uratowałeś czy nie, znalazłeś się tam, gdzie nie powinienes!

— Pewnie! Lepiej, żeby ją też zarznął!

— Nie wiadomo — do rozmowy włączył się niespodziewanie milczący inspektor — czy nie skrócił pan swoim działaniem życia Walbergowi. Zabójca zastrzelił go, słysząc, że ktoś biegnie na górę.

— To tylko hipoteza — Wroński sam już nad tym myślał, ale chciał wierzyć, że jest inaczej. — U Ramiszewskiego nic nie pomogło.

— Pan łączy te dwie sprawy? — zmarszczył brwi Baliński. — Tam przecież zbrodni dokonano nożem, a tutaj za pomocą pistoletu z tłumikiem.

— Nie łączę. Ale są pewne podobieństwa.

— Niezupełnie. Doktora wykończono podczas próby ucieczki, zapewne przypadkiem. A nauczyciela gość rąbnął z pełnym rozmysłem.

— No i sam pan sobie zaprzecza — zauważył Michał. — Najpierw pan twierdzi, że mógł zginąć przeze mnie, a teraz słyszę sugestię, jakoby zabójca i tak miał zamiar go wykończyć.

— „Jakoby” — mruknął z przekąsem komendant — co za wyszukane słownictwo.

— A co, szefie, mam mówić jak policja z telewizyjnych seriali? Co drugie słowo do wypikania? Może tak łatwiej byłoby mnie niektórym zrozumieć?

— Czy mówiąc o niektórych masz na myśli może mnie?

— Niektórych. Po prostu niektórych. Ale jeśli chce pan to wziąć do siebie, nie mogę nic poradzić...

— Spokój, panowie — Baliński zdecydowanie wkroczył do akcji. — Zachowujecie się jak przedszkolaki. Teraz zabieram komisarza na rozmowę. Czy jego pokój jest wolny?

— Wolny — komendant skrzywił się. — Jerzy jest w szpitalu. Przez jakiś czas nasz tu obecny przyjaciel będzie siedział w pokoju sam.

— „Tu obecny przyjaciel” — Wroński nie mógł sobie odpuścić. — Przed chwilą ktoś miał uwagi do wyszukanego słownictwa.

Zanim komendant zdołał odpowiedzieć, inspektor wyciągnął Michała z gabinetu.

— Po cholerę to panu? — syknął na korytarzu. — Po co go jeszcze bardziej rozwścieczać? Nie dość kłopotów? Chce pan większych?

— A mogą być większe? Nie słyszał pan, co powiedział? Odsunął mnie od wszystkich spraw, mam iść na wymarzony przymusowy urlop. Pojechał mi po premii na pół roku z góry. Wpisze naganę do akt. Co jeszcze może mnie spotkać?

— Zawsze jeszcze można pana aresztować. Za podejrzenie udziału w zabójstwie. W końcu pan też strzelał.

Doszli do miejsca pracy Wrońskiego. Baliński pieczołowicie zamknął za sobą drzwi.

— Strzelałem, ale do mordercy. To chyba oczywiste.

— To nie jest oczywiste, jeśli się temu bliżej przyjrzeć. Pani Dorota, córka ofiary, twierdzi, iż był pan na górze zastanawiająco długo. Słyszała jakiś hałas, łomot. Czego pan szukał?

— Niczego nie szukałem. A co do hałasu, przewróciłem się. Panu się nigdy nie zdarzyło?

— Na miejscu zbrodni raczej rzadko. Ale czegoś pan szukał, prawda?

— Gada pan jak ci z wewnętrznego. Wieczne podejrzenia. Czego miałem szukać? Stałem w oknie, bo chciałem zobaczyć zabójcę. Sprawdziłem, czy profesor żyje. Potem przejrzałem pomieszczenie, żeby się zorientować czy zostały jakieś łuski. Zostały. Na oko od kalibru dziewięć parabellum. To chwilę trwało. Ale nie tak długo, jak pan chce mi to wmówić.

— Mamy zeznanie naocznego świadka.

— Raczej nausznego, jeśli już. A poza tym kobieta była w ciężkim szoku. Wtedy raczej rzadko można precyzyjnie określić czas trwania zdarzeń.

— A te pytania, które jej pan zadawał?

— Były rutynowe.

— Ale w tak poważnej sprawie przesłuchać powinien ją człowiek wyznaczony przez pana przełożonego.

— Regulaminy nie przewidują...

— Pieprzyć regulaminy — zirytował się Baliński. — Pan wie i ja wiem, o co chodzi. Ta śmierć wiąże się ściśle z zabójstwem Ramiszewskiego. Teraz czekam na zwięzły raport, co panu wiadomo o tej sprawie.

Wroński wzruszył ramionami, włączył komputer.

— Co pan robi?

— Napiszę raport, skoro pan tego żąda.

— Wystarczy ustny.

Michał wklepał login i hasło. Na ekranie pojawiła się egzotyczna plaża, upstrzona mnóstwem ikonek.

— Wolę to napisać.

— Skoro chce pan tracić czas — Baliński usiadł na miejscu Jerzego, wziął do ręki pozostawioną przed kilkoma dniami gazetę.

Wroński tymczasem wszedł w swój ukryty folder. Najpierw chciał skasować wszystkie notatki, ale przyszła mu do głowy inna myśl. Włączył internet, zajrzał do ostatnio założonej skrzynki. Jest wiadomość! Od Adasia. Przeleciał ją szybko wzrokiem. Jedno zdanie: „Masz to w załączniku”. Cholera, za dużo tego, żeby się teraz wczytywać! A wymazać z poczty trzeba zaraz. Diabli wiedzą, czy jakiś policyjny haker nie czyha już gdzieś w cyberprzestrzeni, śledząc każdy jego ruch. Płyta w nagrywarce? Sprawdził. Na szczęście była. Zapomniał ją wyjąć dawno, z tydzień temu. A teraz proszę — jak znalazł. Znów pożytek z bałaganiarstwa. Skopiował plik. Teraz trzeba to jakoś sprytnie wyjąć, nie budząc podejrzeń. Najlepiej, żeby ktoś wywołał inspektora. Ale o tym można tylko pomarzyć. Na symbolu napędu DVD rozwinął roletę, dał polecenie „wysuń”. Kieszeń otworzyła się. Baliński spojrzał czujnie.

— Niech to szlag — zaklął Michał. — Znów się zawiesił! Trup cholerny! Muszę go teraz odpalać na twardo.

Pochylił się, włączył przycisk „reset”. Zanim płyta schowała się, zdążył ją chwycić. Co teraz? Upuścił krążek na podłogę obok komputera. Potem się coś wymyśli.

— Niech pan już lepiej powie to, co chciał pan napisać — rzekł ze zniecierpliwieniem inspektor. — Naprawdę szkoda czasu.

— Nie. Sam dla siebie też chcę mieć to na piśmie.

Tym razem naprawdę otworzył edytor tekstu, palce zatańczyły na klawiaturze. Po minucie zaczęła pracować drukarka.

— Co, już? — zdumiał się Baliński. Chwycił kartkę, zanim spadła na podajnik. Przeleciał wzrokiem kilka linijek. — „Ja, niżej podpisany Michał Wroński — przeczytał głośno — oświadczam, iż w sprawie zabójstwa nauczyciela historii, Stanisława Walberga, nie posiadam żadnych informacji poza tymi, które zostały ujęte w policyjnych protokołach. Nie prowadziłem w jego domu nielegalnego przeszukania, a znalazłem się tam na wyraźną prośbę ofiary, co można sprawdzić w rejestrach zapisów rozmów policyjnych”.

Inspektor poczerwieniał ze złości, zmiął kartkę.

— Jeszcze mój podpis! — zaprotestował komisarz — Powinienem to chyba podpisać.

— W dupie mam podpisy. Gównu mnie obchodzi takie oświadczenie! Pan wie o wiele więcej, niż chce powiedzieć. Proszę przestać udawać kretyna.

— Nikogo ani niczego nie udaję — odparł ze stoickim spokojem Michał. — A pan na ile frontów pracuje? Przy starym opowiada pan dyrdymały, jakie to sprawy są ze sobą nie związane, a na boku chce ugrać swoje!

— A może warto by było zagrać po mojej stronie, co? — wycedził Baliński — Komendant jest na pana cięty. Nie daruje ciągłego robienia z niego idioty. Ma pan przeciwko sobie jego, a za nim cały aparat służbowy. A ja mogę...

— Wolę mieć na pieńku z tym starym durniem — przerwał mu Wroński — i użerać się z jego złośliwościami niż współpracować z kimś, o kim nawet nie wiem, co naprawdę robi i dla kogo pracuje! Baliński wyprostował się, wstał, podszedł do okna. Michał czekał na taką właśnie chwilę. Błyskawicznie schylił się, porwał płytke i wsunął ją za koszulę. Guziki rozpiął już wcześniej. Był mokry od potu. Dobrze, że to CD, a nie dyskietka, bo mogłoby potem być różnie z jej otwarciem. Inspektor odwrócił się.

— Co pan chciał przez to powiedzieć? Proszę nie robić głupiej miny.

Wie pan, o co chodzi. Dla kogo, pana zdaniem, pracuję, jeśli nie dla policji?

Wroński pokręcił głową.

— Tak tylko powiedziałem, żeby pana podrażnić. Dopiec. Pokazać, że się nie boję.

— A może jednak rozsądniej byłoby się bać, chociaż trochę? Wiem, że wyglądam na łagodnego faceta. Ale pozory czasem mylą. Warto uważać.

— Zgadza się, pozory mylą, jak powiedział pewien jeź schodząc ze szczytki ryżowej. Pan mi grozi?

— Ależ skąd! Apeluję jedynie o odrobinę rozsądku. Wiem, że to może być dla pana zbyt wiele, ale może warto spróbować?

Wroński zmrużył oczy. Rozsądku, powiadasz? Wykażę rozsądek. Ale nie tak, jak myślisz.

— Potraktowaliście mnie jak przestępcę — starał się mówić spokojnie. — Poddaliście rewizji osobistej. Sugerował pan kilka minut temu, że mój udział w wydarzeniach jest co najmniej dwuznaczny. A teraz mam się zachowywać, jakbyśmy byli przyjaciółmi?

— Sprzymierzeńcami — poprawił Baliński.

— Wszystko jedno. Nic nie wiem. A teraz, pozwoli pan, skorzystam z zasłużonego urlopu.

\*

Sekretarka próbowała go zatrzymać za wszelką cenę. Pewnie rzuciłaby się pod nogi niczym Rejtan na obrazie Matejki i rozerwała koszulę na piersi, gdyby mogło to pomóc. Ale nie mogło i doskonale sobie zdawała z tego sprawę widząc wyraz twarzy Wrońskiego.

— Szef ma naradę — powiedziała, wstając zza biurka. — Nie wolno mu przeszkadzać.

— Gównu mnie to obchodzi — warknął. Zobaczył w jej oczach zdumienie. Nie spodziewała się ze strony policjanta takich słów. — Choćby był u niego sam papież, muszę wejść.

— Będzie wściekły...

— To ja jestem wściekły!

Próbowała jeszcze bez przekonania zasłonić drzwi, ale tylko odsunął ją, delikatnie lecz stanowczo.

— Słucham pana? — burmistrz był w pierwszej chwili bardziej

zdziwiony niż zły. — Jestem w tej chwili bardzo zajęty.

Michał podszedł zdecydowanym krokiem do biurka, z trzaskiem zamknął elegancką, lakierowaną teczkę na dokumenty, leżącą przed jednym wiceburmistrzem. Potem wyszarpnął kabel zasilacza laptopa, na którym pracował drugi zastępca.

— Już pan nie jest zajęty — powiedział, ledwie panując nad głosem. Miał ochotę krzyknąć. — To może poczekać.

— A pan nie?

— Nie! Do widzenia — komisarz spojrzął za zdumionych wiceburmistrzów. — Panowie są wolni.

— Hola, hola! — zawołał burmistrz. — Proszę się nie rządzić w moim gabinecie. — Ja zdecyduję, kiedy panowie mają wyjść!

— Proszę bardzo — wycedził Wroński. — Możemy rozmawiać przy nich. Mnie bez różnicy, ale nie wiem, czy panu będzie to pasowało.

— Przede wszystkim żądam, żeby pan natychmiast opuścił to miejsce! — burmistrz podniósł się z fotela. — Albo wezwę policję!

— Proszę bardzo! — Michał uczynił ruch, jakby chciał wyjść mu naprzeciw. — Ale zanim przyjadą, zdążę zadać kilka pytań. Na przykład o osobę, która kazała panu ze mną ostatnio rozmawiać.

— O panu Niwie?

— Proszę mnie nie rozśmieszać. Co on ma do tego? O prawdziwych pana mocodawcach!

— Wyjdźcie — rzucił burmistrz do zastępców.

Zerwali się natychmiast. Widać odczuwali przed szefem należyty respekt. Michał doskonale zdawał sobie sprawę, że każdy z nich chętnie utopi przełożonego w łyżce wody, skorzysta z każdej okazji, by wskoczyć na jego miejsce. Burmistrz też to na pewno wiedział. Komisarz przelotnie poczuł uczucie współczucia dla ojca miasta. Sam ostatnio ciągle musiał się mieć na baczności, a ten decydent ma to od lat dzień w dzień. No cóż, przyszła zaraz refleksja. Tyle że on sam wybrał sobie ten los i bierze za to przyzwoite pieniądze, a jemu zapewnili coś podobnego inni, w dodatku bez jakiegokolwiek finansowej gratyfikacji.

— Mam po kogoś zadzwonić? — spytał któryś z mężczyzn.

— Nie! To sprawa między mną a panem komisarzem.

Po chwili zostali sami. Michał zbierał myśli. Krępującą ciszę przerwał wreszcie gospodarz.

— O co panu konkretnie chodzi?

— Powiedział pan na końcu tamtej rozmowy, że bym na siebie uważał. Co to miało znaczyć?

— Takie sobie powiedzenie. Nic szczególnego...

— Pan wybaczy, ale mówiąc w ten sposób obraża pan nie tylko moją, ale przede wszystkim swoją inteligencję. Jest pan za mądry, żeby rzucać takie uwagi bez powodu. Pan nic nie robi bez przyczyny i przemyślenia.

— Dziękuję.

— Nie ma za co. To niekoniecznie komplement. A teraz proszę odpowiedzieć.

Burmistrz pokręcił głową, usiadł z powrotem.

— Wymyślił pan sobie coś, jakąś niestworzoną historię.

— Wymyśliłem? Kolejna osoba, która zarzuca mi nadmiar wyobraźni. A mnie się z kolei wydaje, jakby moja wyobraźnia okazywała się zbyt mało pojemna na to, co się wokół dzieje. Proszę posłuchać. Zginęło już kilka osób. Do tej pory byli to osobnicy, o których nie wiedzieliśmy nic, można było to zlekceważyć, odsuwać od siebie nazwanie problemu po imieniu i udawać, że nic się nie dzieje. I tak to właśnie wyglądało. Chowanie głowy w piasek w podobnych sytuacjach to nasza narodowa przypadłość. Ale niedawno bestialsko zamordowano policyjnego patologa z bratanicą. Wczoraj ciężko pobito mojego kolegę, Jurka Majera. Wylądował w szpitalu. A dzisiaj został zastrzelony profesor Walberg! Tak — dodał widząc zdumioną minę ojca miasta. — Zamordowano z zimną krwią czcigodnego obywatela Oleśnicy! A przy okazji mało się nie oberwało i mnie! Dlatego mam prawo zadać panu kilka pytań. Od tego może zależeć moje życie. I nie tylko moje. Kto panu kazał mnie wtedy ustawić do pionu?

— Nie wiem naprawdę, o czym pan mówi — burmistrz miał przerażone spojrzenie, które stało w jawnej sprzeczności ze spokojnym tonem.

— Wie pan doskonale. Kto tu miesza?

— Mogę zapewnić o jednym. Ten, kto prosił mnie o interwencję...

— A jednak — uśmiechnął się triumfalnie Wroński — ktoś to panu zlecił.

— *Prosił!* — powtórzył z naciskiem urzędnik. — Otóż ten ktoś na



pewno nie może mieć nic wspólnego ze śmiercią lekarza sądowego albo pana profesora. Tego jestem pewien. Michał prychnął pogardliwie.

— Pewien? A czego można być pewnym w takiej dżungli?

— Tego jednego. Człowiek, o którym rozmawiamy, nie mógł działać w ten sposób.

— A kto to jest? Może mi pan jednak powie? Znam go?

— Raczej tak.

— Komendant? Nie — odpowiedział sam sobie. — Jego by pan nie musiał tak usilnie kryć. Poza tym jest za krótki, żeby się pan nim tak przejął, żeby mnie ostrzegać... Kto?

— Obaj wiemy doskonale — odparł powoli burmistrz — że nie wolno mi ujawniać takich informacji.

— Jeżeli to tajemnica państwowa — zamyślił się komisarz — i tak za dużo pan powiedział. A jeśli nie, nie wiem, dlaczego ma stanowić taką tajemnicę.

— Są sprawy, o których dżentelmeni...

— Dość tych bzdur — Wroński machnął niecierpliwie ręką. — Jacy dżentelmeni? To nie jest rzecz kultury, ale bezpieczeństwa, instynktu samozachowawczego. Nie chce pan mówić, to nie. Ale może to oznaczać, że czyjaś krew spłynie na pana ręce. Coś się dzieje. Mam wrażenie, że wszyscy dookoła wiedzą o wiele więcej ode mnie, a jednocześnie oczekują, iż ja posiadam jakąś wiedzę. Im mniej wiem, w tym większym jestem niebezpieczeństwie. Nie tylko ja zresztą — Odwrócił się, poszedł do drzwi. — Przepraszam za zakłócenie pracy. Do widzenia. Może pan napisać skargę do komendanta na moje zachowanie. Mnie to już obojętne.

— Niech pan zaczeka. Nie będę nic pisał. Mam ważniejsze sprawy na głowie — Burmistrz milczał dłuższą chwilę. — Dobrze, powiem panu, kto mnie prosił o interwencję. Nie chodziło wcale, żeby pana straszyć. Ten ktoś chciał raczej zorientować się, ile pan wie. A ja nie mogłem odmówić współpracy. Jestem przecież urzędnikiem państwowym.

— Kto to więc był?

Burmistrz wziął głęboki oddech. Opanowało go wrażenie, jakby z jednej strony spełniał dobry uczynek, a z drugiej postępował wbrew zasadom. Wreszcie zdecydował się i powiedział.

— Pakuj się! Szybko. Bierz małego i wyjeżdżajcie.

Magda była tak zdziwiona, że zapomniała go ochrzanić za powrót z pracy ponad cztery godziny po czasie.

— No już! — wyciągnął walizkę z szafy. — Wszystko, co wam będzie potrzebne na przynajmniej dwa tygodnie. Bierz auto i zmykaj!

— Dokąd? — wydobyła wreszcie głos.

— Wszystko jedno. Do twoich rodziców, do siostry... Byle szybko. Niech to szlag! Możesz nawet jechać do tego swojego Jarka, wielkiej miłości.

— Jarka? Skąd... co ty mówisz — poprawiła się natychmiast. — Jakiego Jarka?

Zatrzymał się w pół ruchu. Czy ona naprawdę jest taka naiwna? Przypuszczała, że przed gliną zdoła ukryć swojego kochanka? Myślała, że mąż łyknie jak wodę z sokiem te wszystkie brednie o wyjazdowych szkoleniach? Rewelacje, które opowiedział mu Jurek stanowiły tylko potwierdzenie. Tak naprawdę dzięki niemu poznał jedynie imię gacha Magdy.

— Słuchaj, kochanie ty moje — wycedził powoli, dobitnie. — Odkąd się z nim spotykasz, zaczęłaś i mnie podejrzewać o zdradę, zaczęłaś ją we mnie wmawiać.

— Ale...

— Pewnie łatwiej przyprawiać rogi zarzucając drugiej stronie nieuczciwość. Osiągnęłaś w tym mistrzostwo. Powinienem pogratulować pomysłu i konsekwencji, ale raczej nie ma czego w sumie.

Nigdy nie przypuszczał, że czas na powiedzenie wreszcie prawdy nadejdzie w takich warunkach. Uciekał przed tą chwilą od miesięcy, bał się nawet pomyśleć, że trzeba wziąć byka za rogi. A dzisiaj okazało się to proste niczym wrzucenie kamienia do stawu. Były o wiele ważniejsze sprawy niż niewierność.

— Powiedz — odparła agresywnie — no powiedz, że nie masz żadnej kochanki.

— Mam trzy — powiedział spokojnie. — Kasia, Misia i Bela mają na imię. Piękne i chętne laseczki. Różę się z nimi codziennie na wszelkie sposoby, spotykamy pojedynczo i w czworokącie. Sypiam też z komendantem i zaliczam wszystkich nowoprzyjętych krawężników. Zadowolona?

Z przyjemnością zauważył, że Magdę zupełnie zatkało. Otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, ale przerwał jej niecierpliwym gestem.

— Teraz nie pora na wyjaśnienia. Pogadamy kiedy indziej, jeśli jeszcze będzie o czym rozmawiać. I z kim, bo mogę tego nie doczekać. Pakuj się, no już!

— Co się stało? W co wdepnąłeś? — zaczęła powoli odzyskiwać rezon. A może zamierzasz sobie sprowadzić tutaj... — zaczęła odruchowo, ale natychmiast urwała i zaczerwieniła się.

— Nie tyle wdepnąłem w wielką kupę gnoju, co zostałem wepchnięty. Niech ci wystarczy za odpowiedź, że profesor Walberg nie żyje. Przedtem zabito niejakiego Ramiszewskiego. Giną ludzie, którzy usiłują mi coś przekazać. Którzy wiedzą to, co ja powinienem widzieć. Wystarczy? Nie mam ochoty patrzeć także na wasze zwłoki. Patryka w szczególności.

— Ale na moje mógłbyś?

— Powiedzmy — odparł z rozmyślnym okrucieństwem — że ciebie jakoś bym jeszcze przeboleał.

— Wiesz, że takie słowa oznaczają między nami koniec? — warknęła.

— Między nami dawno się skończyło, zostały tylko pozory, dla ludzi. Nie gadaj tyle, rób, co mówię! Wyjął ze skrytki w szafie pistolet z kaburą i szelkami. Służbową broń musiał zostawić do analizy. A poza tym był na urlopie. Stary i tak kazałby zdać spluwę.

— A ty gdzie znowu? W dodatku z rewolwerem.

— Pistoletem! — może to nie miało znaczenia, ale przez całe życie denerwowała go, myśląc te dwa pojęcia. — Rewolwer ma bębenek, kobieto! A to jest pistolet. Konkretnie glock siedemnaście.

— Co za różnica — wzruszyła ramionami. — Jak cię z tym złapią, pójdziesz siedzieć.

Westchnął ciężko. Do niej nigdy nie dotrze, że ma tę broń legalnie. Z trudem wychodził pozwolenie, napocił się, natrudził, ale w końcu dostał. Z glockiem jeździł na prywatną strzelnicę do Wrocławia, używał go dla przyjemności. Doskonała broń, niezawodna, poręczna, lekka i celna. Policyjny P-83 nie mógł się z nim równać nawet w jednym parametrze.

— Wrócę za godzinę lub dwie. Masz być gotowa.

Długo patrzyła na zamknięte drzwi, kiedy wyszedł. Podobał jej się

taki zdecydowany, wręcz brutalny Michał. Szkoda, że nie potrafił wykazywać podobnego zdecydowania na co dzień. Może wtedy nie szukałaby fascynacji poza związkiem.

\*

— Rany boskie! — Michał patrzył na śmiertelnie bladą twarz kolegi. — Ale cię ktoś urządził! Byłem w szpitalu rano, ale mnie nie wpuścili. Dobrze, że już odzyskałeś przytomność.

Wiedział już od ordynatora, że stan Jerzego jest poważny. Rozległe obrażenia wątroby. Pękła pod wpływem urazów mechanicznych, jak to się mądrze określa. Przez tyle lat Wroński nie miał pojęcia, że partner z pracy choruje, w dodatku na wątrobę właśnie. Mógł przecież wypić kontener wódki.

— Zabijał się na raty — odpowiedział lekarz na wątpliwości komisarza. — Pewnie by jeszcze trochę poegzystował w ten sposób. Ale organ był w strasznym stanie, nadwątlony nie tylko schorzeniem, ale i trybem życia. Uraz spowodował duże krwawienie. Dobrze, że ktoś go znalazł. Jeszcze pół godziny, godzina i byłoby po człowieku.

— Kto to był? — Michał zacisnął pięści ze złości. Może Jerzy ostatnio nie okazał się zbyt lojalnym kumplem, ale znali się przecież od dziecka. — Kim były te skurwysyny?

— Skąd wiesz, że było ich więcej? — Kruger głos miał słaby, ledwie go można było zrozumieć.

— Stąd, że jeden nie dałby ci rady!

— Daj spokój, Michał. Nie szukaj winowajców. Sam jestem sobie winien.

— To wiąże się jakoś z tamtymi wypocinami na mój temat?

Jerzy przymknął oczy. Widać było, że toczy wewnętrzną walkę.

— Niezupełnie — odparł po chwili. — To nie był mój mocodawca. To zrobili... — zawiesił głos. Przypomniała mu się groźba człowieka nazwanego przez osiłka Wiktorem.

— Kto? Mów wreszcie.

— Powiem. Ale tylko tobie, bo rzecz dotyczy właśnie ciebie.

— Mów!

— To byli Ruscy.

Michał wciągnął powietrze.

— Rekieterzy?

— Napadło mnie pięciu. Czterech wyglądało na osiłków, takich jacy kręcą się po bazarach, właśnie specjalistów od ściągania haraczy. Ale jeden, który nimi dowodził, to facet z innej gliny. Jeszcze gorszy od tych bandytów. Koniecznie chciał dostać pisemny raport o tobie i twoim dochodzeniu. Pewnie wynajął tamtych czterech.

— Niekoniecznie wynajął — mruknął Michał. — Wiesz, jak u nich jest. Rekieterzy najczęściej wywodzą się ze Specnazu albo innych oddziałów specjalnych. Jeśli ktoś stamtąd chce się nimi posłużyć, działają jakby nadal byli w szeregu. To pewnie cena za swobodę działania na terenie Polski i bezkarność wobec ich prawa. Inaczej rosyjska milicja mogłaby ścigać tych typów o wiele bardziej zaciekle i skutecznie niż to robi. Pamiętasz te wszystkie sprawy? Niby prokuratura rosyjska szuka, niby chce złapać, a jak przyjdzie co do czego, mają wszystko w dupie.

Jerzy przymknął oczy. Błada cera świadczyła, iż stracił dużo krwi. Z kroplówek powoli sączyły się płyny. Antybiotyki i sól fizjologiczna. W następnej kolejności podłączył środki odżywcze.

— To był gość z wywiadu. Z KGB albo GRU — powiedział nagle Jerzy, nie otwierając oczu. — Obrzydliwy typ, może nawet zawodowy morderca.

— Skąd wiesz?

— Tak uważam. Po co zwykłemu bandycie takie informacje, jakich zażądał? Ale jeśli to agent, ma cholernie tępe metody pracy.

— A może właśnie o to chodzi? W pracy wywiadowczej robi się nie takie numery. Prowokacje, pobicia, zabójstwa, wszystko ma swój cel.

— Nie, Michał. On naprawdę chciał się czegoś dowiedzieć. Przecież nie zamierzali mnie wysłać do szpitala. Normalnie takie kopnięcie, jakie dostałem na koniec, nie miałyby ostrych konsekwencji.

Wroński zamyślił się. Niech to diabli. Klocki zaczynają się układać w wielce niepokojącą konfigurację.

— Dobra, stary — wstał. — Nie przejmuj się. Jak stąd wyjdiesz, urządzimy sobie popijawę za wszystkie czasy.

— Nie urządzimy — uśmiechnął się smutno Jerzy. — Z moja wątrobą po tym wypadku nie wypije już niczego mocniejszego niż piwo karmelowe.

— No to się nałoiimy piwa karmelowego. A co, raz się żyje.

Jurek uśmiechnął się do niego z wdzięcznością. Chciał coś

powiedzieć, ale przeszkodził lekarz, który wszedł do izolatki.

— Wystarczy tego dobrego — oznajmił. — Chory musi się przespać.

\*

Magda z Patrykiem wyjechali. Mały płakał, czując, że coś jest nie w porządku, chociaż oboje go pocieszali i zapewniali, że to zwyczajna wizyta, dawno zaplanowana tylko zapomnieli o niej powiedzieć. Wroński odetchnął z ulgą. Pewnie, jeśli by się ktoś uparł, może za nimi jechać, sprawdzić, gdzie będą. Ale miał nadzieję, że w panującym cichym chaosie nikt nie będzie się interesował kobietą i dzieckiem. Czuł ten chaos dookoła siebie, chociaż jeszcze nie zdawał sobie sprawy z jego przyczyn.

Zamknął mieszkanie, a potem poszedł do domu profesora. Dorota Walberg otworzyła drzwi po dłuższej chwili. Musiał trzy albo cztery razy naciskać dzwonek.

Twarz miała zapuchniętą od płaczu. Wionął od niej zapach alkoholu. Jednak nie była pijana. Najwyraźniej musiała się napić na uspokojenie. Większość kobiet zażyłaby jakiś modny lek. Wódka to raczej lekarstwo dla mężczyzn. Ale spodobało mu się to. Babka z charakterem.

— To pan — skrzywiła się z niechęcią. — Mam dość...

— To ja — uśmiechnął się nieśmiało. Wiedział, że właśnie ten uśmiech — nazywał go numerem pięć — potrafi rozbroić każdego. Ale nie ją.

— Czego pan chce? — spytała nieprzyjaźnie.

— Wpuści mnie pani?

Cofnęła się, wszedł ostrożnie, jakby bał się ją spłoszyć.

— Czego pan chce? — powtórzyła.

— Wyniosła już pani śmieci do pojemnika na podwórzu?

— Jeszcze nie — odparła zaskoczona. — Ale nie rozumiem, co panu do tego.

Bez słowa ominął ją, wszedł do kuchni. Dreptała za nim, zbyt zdezorientowana, żeby protestować. Otworzył drzwiczki szafki pod zlewem. W dziewięćdziesięciu dziewięciu procentach polskich domów tu właśnie znajduje się kosz na śmieci. U profesora nie było inaczej, o czym przekonał się wczoraj, kiedy poszedł po nóż. Wyjął wiaderko. Kobieta obserwowała go z niedowierzaniem. Nie dorzuciła tam od śmierci ojca nawet papierka. Czego on chce?

Wroński wyjął spomiędzy śmieci gruby zeszyt.

— Wie pani — mówił przez cały czas. — Jest taka scena w jednej z książek Chandlera, nie pamiętam w tej chwili tytułu. Detektyw, oczywiście Philip Marlowe, żeby ukryć coś przed policją, wyrzuca to do śmieci. Wie, że jego mogą sprawdzić, przeszukać samochód, ale do kosza już niekoniecznie będą zaglądać.

— Co to znaczy... Kim pan właściwie jest?

— Najpierw odpowiem na drugie pytanie. Jestem gliniarzem, który czuje się straszliwie zagubiony w gąszczu sprawy przerastającej go o trzy głowy. A to są notatki, prawdopodobnie pani ojca. Proszę zerknąć.

Otworzyła zeszyt. Z podziwem obserwował jej opanowanie. Profesor zginął przed kilkoma godzinami, a jej nawet ręce nie drżą.

— To nie jest pismo taty — powiedziała zdecydowanie. Przerzuciła parę kartek. — O, tutaj, na marginesach są jego dopiski. Ale reszta... Czyj to brulion?

Zerknęła na okładkę.

— Pani też jest nauczycielką, prawda? Czego pani uczy? Historii?

— Skąd pan wie, że pracuję w szkole? A, prawda, podawałam zawód do protokołu.

— Nie czytałem protokołu — uśmiechnął się. — Spojrzała pani odruchowo na okładkę i pierwszą stronę, jakby zeszyt z natury rzeczy musiał być podpisany.

Chcąc nie chcąc, odpowiedziała lekkim grymasem, przypominającym uśmiech.

— Trafne spostrzeżenie. Tak, pracuję w liceum. Ale nie poszłam w ślady ojca. Uczę fizyki.

— Fizyki... — powtórzył powoli, w zamyśleniu. — Czy pani wie, że profesor interesował się tą dziedziną nauki? A dokładniej naukowcami von Braunem i Heisenbergiem?

— Wypytywał mnie parę razy o nich. Ale wie pan, ja mogę od biedy wytłumaczyć teorię nieoznaczoności, jeśli chodzi o Heisenberga, mogę coś powiedzieć o napędzie raketowym, jeśli idzie o von Brauna. Ale życiorysów tych panów nie znam. Napije się pan?

Kiwnął głową. Otworzyła kredens, nalała w kieliszki wódki. Wychylili w milczeniu.

— Dlaczego właściwie pan to ukrył? — wskazała leżący na stole zeszyt.

— Poniekąd przez wzgląd na pamięć pani ojca. Przypuszczam, że poświęcił życie, żeby zapiski nie wpadły w niepowołane ręce.

— Policja to niepowołane ręce?

— Niepotrzebna drwina. Sam jestem w tym wszystkim zdrowo pogubiony. Nie wiem, czy w ogóle to są sprawy dla policji, szczególnie formatu powiatowego. Nie wiem, komu mogę zaufać.

— Dlatego pan ukrył dowód? To chyba przestępstwo.

— Ale go oddam — uśmiechnął się. — A właściwie pani odda.

— Nie rozumiem. Po to pan zadał sobie trud i ryzykował, żeby go teraz zwrócić?

— Ma pani komputer? — zapytał zamiast odpowiedzieć.

— A jak pan myśli? — Pokręciła z politowaniem głową. — Fizyk bez komputera? W dzisiejszych czasach? — Gestem kazała mu iść za sobą.

— O, znakomicie, jest i skaner. Nie będę się musiał trudzić z robieniem zdjęć.

Zatrzymał się, spojrzał kobiecie głęboko w oczy.

— Pani Dorotko — powiedział cicho — dlaczego pani pomaga mi tak bez protestu i komentarza?

Odpowiedziała mu poważnym spojrzeniem. Na dnie źrenic czaił się ból, zmęczenie i odrętwienie.

— Po pierwsze wiem, że i tak pan zrobi swoje. Determinacja wylewa się panu uszami. Po drugie, jakoś dziwnie wzbudza pan zaufanie. A po trzecie, zaczynam pojmować, że jeśli nie pan, może już nikt nie wyjaśni przyczyn śmierci taty. Na załapanie mordercy nawet nie liczę. Kiedy patrzyłam na pana kolegów... Ruszali się wolniej niż muchy w smole, nie wzbudzali zaufania. Pan mi zadał więcej pytań w ciągu pięciu minut niż usłyszałam potem przez dwie godziny. Poza tym, zdaje mi się, jakby pan wiedział dużo więcej niż inni policjanci. Podejrzewam, że o moim tacie więcej nawet niż ja. To znaczy o jego śmierci.

Naprawdę bystra babka, pomyślał z uznaniem. Szkoda, że spotykają się w takich okolicznościach... i, oczywiście, że jest żonaty. Nawet jeżeli to małżeństwo nie jest warte funta kłaków.

Skaner pracował powoli. Michał przypomniał sobie o płycie. Przecież dlatego pytał o komputer. Wyjął krążek.

— Mogę? — wskazał kieszeń napędu.

— Oczywiście.



Przewrócił jeszcze kartki w zeszycie, potwierdził komendę skanu, a potem otworzył płytę. List od Adasia. Czytał go uważnie, każde zdanie po dwa, trzy razy, wyławiając z fachowego słownictwa właściwy sens.

— Co to jest? — Dorota stała za jego plecami, śledząc tekst. — Wygląda na interpretację analizy spektralnej. Między innymi. Bo reszty zupełnie nie rozumiem. A pan?

— A ja trochę więcej. Kryminalistyka to był mój konik. Marzyłem nawet o pracy w laboratorium, ale nie mam odpowiedniego wykształcenia.

— Te dane... Czy to kolejna tajemnica? Inne pana prywatne śledztwo?

— Nie. Ściśle dotyczy moich ostatnich poszukiwań. Może się też łączyć z zabójstwem pani ojca. Proszę spojrzeć na podsumowanie. Te wszystkie uczone i najeżone terminologią zdania, mówią jedno. Analizowany materiał pochodzi z miejsca położonego pod ziemią, o wilgotności, która spowodowała przyspieszoną erozję. Składa się z pyłu ceglanego i wapna. Skład chemiczny i zawartość izotopów wskazują na pochodzenie gliny z okolic Wrocławia, natomiast wapna z terenów bliższych Karkonoszom. Pewnie z któregoś z tamtejszych kamieniołomów. Nasycenie izotopami i innymi substancjami śladowymi, poziom wilgotności świadczy o użyciu tych materiałów w przestrzeni zamkniętej, o niewielkiej cyrkulacji powietrza, położonej poniżej poziomu gruntu na głębokości w przedziale od trzech do dziesięciu metrów.

— Można ustalić takie rzeczy na podstawie jakichś kawałków?

— Na podstawie zwyczajnego pyłu z ubrania, droga pani.

— Co to wszystko znaczy?

— To znaczy, że na ubraniu pewnego człowieka jest coś, co na pewno można znaleźć w legendarnych podziemnych przejściach naszego pięknego miasta.

— Pan coś z tego rozumie?

— Coraz więcej.

— I ta analiza tak panu pomogła?

— Niezupełnie. Ona tylko potwierdziła moje podejrzenia. W tej chwili mógłbym się bez tego obyć. Tak naprawdę najbardziej pomógł mi profesor Walberg.

Na wspomnienie ojca, twarz jej się ściągnęła.

— Już się zeskanowało — wskazała milczące urządzenie. — Trzeba przerzucić kartkę.

— To wszystko — wyjął brulion, podał jej. — Jutro rano niech pani zadzwoni na komendę i powie, że znalazła go podczas sprzątanego pokoju profesora.

— A jeżeli powiem im prawdę? — przekrzywiła przekornie głowę.

— Będę miał kłopoty. Straszliwe kłopoty. Wyleją mnie z pracy, postawią pod sąd i takie tam. Jeśli pani tego, chce, proszę bardzo.

— Nie chcę — odparła poważnie. — Nie chcę też zostać dzisiaj sama.

Zacisnął usta. Chętnie by został. Ale przecież ma swoje obowiązki. Powinien być pod telefonem, odwiedzić jeszcze Jurka, jeśli go w ogóle wpuszczą o tej porze na oddział. A poza tym... Zbyt mu się córka profesora podobała, żeby nie chodziły mu przez cały czas po głowie niespokojne myśli. A przecież ona jest w żałobie, a on przed godziną wysłał Magdę w podróż. Nie wypada. Byłoby jakoś głupio, chociaż i on nie miał ochoty na spędzenie samotnej nocy z ponurymi myślami.

— Gdyby coś panią zaniepokoiło albo się przypomniało, proszę dzwonić — podał jej wizytówkę. — O każdej porze dnia i nocy.

— A żona nie będzie zła?

— Od dzisiaj już nie. Nie zabiłem jej — parsknął śmiechem na widok jej miny. — Po prostu wyjechała. Jeśli pani pozwoli, wpadnę jutro po południu.

— Pozwolę. Oczywiście. Niech pan przychodzi. I proszę pamiętać o jednym. Ja też chcę się dowiedzieć jak najwięcej na temat śmierci taty.

\*

Mieszkanie zastał splądrowane. Rzeczy z szaf powyrzucane na podłogę, szuflady otwarte, papiery na wierzchu. Kopnął leżący pod samymi nogami słomiany abażur. Nawet żyrandol nosił ślady plądrowania. Dobrze, że odesłał Magdę z małym, dosłownie w ostatniej chwili. Nieważne, gdzie pojechali, byle ich tutaj nie było.

Ktoś chciał go przy okazji ostrzec czy tylko przestraszyć? Bo przeszukanie można zrobić tak, żeby nawet najbardziej pedantyczny gospodarz nie zorientował się, iż coś się wydarzyło. A tutaj panował bałagan większy niż po przejściu armii barbarzyńców przez rzymski dom publiczny. Celowa robota. Nic nie znaleziono, bo i nie było co

znaleźć. Wszystko, co ewentualnie mogło zainteresować intruzów miał przecież przy sobie. Zatem ostrzeżenie czy zastraszenie? Chyba jedno i drugie. Nie pchaj nosa między drzwi. Westchnął ciężko, i zaczął sprzątać. Co za koszmar! Żeby chociaż wiedział, o co naprawdę w tym chodzi! Bo mętny obraz, który miał w głowie nijak nie chciał się wyklarować.

Upychał rzeczy w szafach, nie bardzo dbając, żeby znalazły się tam, gdzie było ich dotychczasowe miejsce. Papiery też powciskał w szuflady byle jak, myśląc bez przerwy, kto mógł to zrobić. Czyżby chłopcy z wewnętrznego? Nie. Ci niedawno tu byli. Zresztą po ostatnich wydarzeniach na pewno nie odmówiliby sobie przyjemności grzebania tylko w jego obecności. Czyżby pan inspektor Baliński? Wątpliwe, choć przecież niewykluczone. W końcu człowiek, który działa tak jak on, może się posunąć do różnych rzeczy. Czyżby mordercy zabójcy profesora albo on sam? Ci, którzy pobili Jerzego? Ta myśl sprawiła, że chwycił za telefon.

— Pani Doroto, to ja — powiedział. — Niech pani na siebie uważa i nikogo, ale to nikogo nie wpuszcza do domu! Jeśli ktoś zechce wejść, proszę natychmiast dzwonić po policję, pogotowie i straż pożarną. Nie żartuję! Żeby tylko ktoś jak najszybciej przyjechał.

— Co się stało? — spytała zaniepokojona.

— Miałem nieproszonych gości podczas wizyty w pani domu.

— Złodzieje?

— Raczej nie, a może nawet wręcz przeciwnie. Na pewno ciekawscy, którym nie chciało się czekać na mój powrót, żeby zadać kilka pytań. Woleli sami spróbować znaleźć odpowiedź.

— Dziwnie lekko pan do tego podchodzi — przysięgłby, że widzi jak kobieta po drugiej stronie słuchawki marszczy brwi.

— Nie podchodzę lekko. Ale co mam zrobić? W takiej sytuacji pozostają dwa wyjścia. Albo się śmiać, albo płakać. A pani niech zachowa ostrożność..

— Dobrze, będę uważać.

— Bardzo proszę. I nawet gdybym we własnej osobie pojawił się pod pani drzwiami i zaklinał na wszelki świętości, proszę ich w nocy nie otwierać!

— Oczywiście — odparła spokojnie. — To wprawdzie dziwne, ale ostatnio wydarzyło się tyle dziwnych rzeczy, że przestałam się

czemukolwiek dziwić.

Obudził się z ciężką głową. Przed snem wypił dwa piwa. W połączeniu z wódką, którą go poczęstowała córka profesora, dało to właśnie taki efekt. Nigdy nie znosił dobrze mieszania alkoholu, nawet w śladowych ilościach. Wstał ze szczerym zamiarem zalania tego marnego kaca wielką ilością kawy. Zbyt wiele miał do przemyślenia, żeby pozwolić sobie na poranną słabość. A poza tym powinien dzisiaj złożyć wizytę Dorocie Walberg.

Pierwszą filiżankę wypił zachłannie. Czuł każdym nerwem, każdą komórką, jak wraz z aromatycznym, gorącym płynem wlewa się w ciało życie. Drugą porcję już smakował, delectował się mocnym zapachem. Trzeciej nie zdążył donieść do ust. Przerwało mu łomotanie do drzwi. O tej porze? Kto może mieć do niego interes tak rano?

— Słucham? — spytał w przedpokoju.

— Policja! Otwierać. Mamy nakaz przeszukania.

Wpadli do mieszkania jak na amerykańskim filmie. Ubrani w kuloodporne kamizelki, niektórzy z bronią maszynową. Natychmiast rozbiegli się po całym domu. Za nimi weszli komendant z Balińskim.

— A wy co? — wydyszał zdenerwowany Michał — bawicie się w słynny patrol tego poronionego detektywa czy ściągnęliście sam GROM? Mogę zobaczyć nakaz?

— Dawaj klucze od piwnicy i strychu — rzucił zamiast odpowiedzi stary. — Ale już, ruszać się!

— Nakaz rewizji poproszę! Ale już, ruszać się! Bo zadzwonię do oficera dyżurnego w województwie!

Baliński podał złożoną na czworo kartkę. Wroński bez pośpiechu rozprostował ją, przeczytał uważnie.

— Proszę bardzo — z szuflady komódki przy drzwiach wyjął klucze. — Miłej zabawy. Ja sobie w tym czasie pooglądam telewizję.

— Nie, pan w tym czasie odpowie na parę pytań.

— Nie! Skoro uzyskaliście nakaz przeszukania, rozmawiać będę tylko w obecności prokuratora. Zresztą chętnie się z którymś zobaczę, bo i tak muszę zgłosić przestępstwo, bo wczoraj jakieś wesołe chłopaki

urządziły rewizję pod moją nieobecność.

Spojrzał czujnie na Balińskiego. Inspektor wyglądał na autentycznie zaskoczonego.

— Dlaczego pan tego od razu nie zgłosił?

— A to nie pana robota?

— Nie! — padła zdecydowana odpowiedź. — Nie moja. Zresztą nie uczyniłbym nic bez podstawy prawnej.

Michał miał ochotę parsknąć śmiechem, ale się opanował. Nie uczyni nic bez podstawy prawnej! Też coś.

— I co? — komendant pochylił się ku komisarzowi — Znaleźli coś?

— A co mieli znaleźć? Może mnie pan oświecić? I czego wy szukacie?

— Już my wiemy, czego!

— Szefie! — przybiegł jeden z funkcjonariuszy. — Mamy przejrzeć wszystkie dyskietki i płyty?

— Co głupio pytasz? — komendant prawie rzucił się na niego. — Chcesz po premii?

— Mamy pistolet — następny podszedł, trzymając w wyciągniętej dłoni glocka. — Co z tym zrobić?

— Zostaw — machnął ręką stary. — Sam mu pomagałem załatwić pozwolenie na tę spluwkę. Jest legalna.

— Mowy nie ma! — Baliński zareagował natychmiast. — Bierzemy broń do depozytu. Może pan — zwrócił się do komisarza — odebrać pokwitowanie jeszcze dzisiaj po południu.

— Pokwituje mi pan zatrzymanie pistoletu w tej chwili, albo dzwonię...

— Ależ pan jest upierdliwy! — inspektor przywołał jednego z policjantów. — Leć na komendę i przywieź formularz depozytowy.

— Ja jestem upierdliwy?! A kto mnie nachodzi o poranku w towarzystwie oddziału ramboidów? Mogliby sobie tylko kurz z tego sprzętu wytrześć. A najlepiej zdjąć w ogóle. Nieprzyzwyczajeni, szybko się zmęczą. Romkowi — wskazał zażywnego mężczyznę po czterdziestce — serducho gotowe pod takim obciążeniem strzelić.

Udawali, że nie słyszą. Michał włączył więc telewizor i udawał, że ogląda beznadziejną polską telenowelę. Potem sięgnął po telefon.

— Gdzie dzwoniś? — zainteresował się natychmiast komendant.

— Moja sprawa.

— Jeśli po jakiegoś papugę, daruj sobie.

— Dzwonię, gdzie mi się podoba, chyba że jestem aresztowany?

Chwilę czekał na odpowiedź, a potem wystukał numer. Jeden sygnał, drugi... czas dłużył się straszliwie w oczekiwaniu. Odbierz, no odbierz, błagał w duchu. Inaczej umrę z niepokoju! Wreszcie charakterystyczny szczęk.

— Słucham? — zdenerwowany głos Doroty Walberg.

Z ulgą odłożył słuchawkę. Może jest rozstrojona psychicznie, ale przynajmniej żywa. Komendant patrzył podejrzliwie. Michał wzruszył ramionami, stary odwrócił się, by obserwować pracę policjantów. Michał trzymał jeszcze przez chwilę rękę na telefonie. Delikatnie uniósł słuchawkę, a potem nacisnął piątkę. Nacisk na wyłącznik. Dwójka — wyłącznik, trójka — wyłącznik, czwórka — wyłącznik, siódemka. Wreszcie zabrał dłoń.

— Panie inspektorze! — rozległ się głos zza ściany. — Proszę tutaj! Na tej płycie jest coś dziwnego.

— No, zasuważ, komisarzu — rzucił z krzywym uśmiechem komendant. — To pewnie ciebie też zainteresuje.

Wroński przymknął oczy. Trzeba było dać nośnik na przechowanie sąsiadowi. Pan Edmund, przemiły staruszek, o nic by nawet nie zapytał. Miał nawyki dyskrecji jeszcze z wojennej i powojennej konspiracji.

— Co to jest? — Baliński spojrzał na komisarza spod zmarszczonych brwi. Na ekranie widniały zeskanowane notatki. — Skąd pan to ma?

— A bo ja wiem? Nie pamiętam nawet. Ktoś mi dał kiedyś płytę z tymi bazgrołami.

— Taaak? — Inspektor sprawdził statystyki. — Pliki utworzono wczoraj. Zatrzymujemy.

— Mogę to sobie przegrać? W końcu dysk jest mój...

— Pańska bezczelność przekracza wszelkie granice.

Wroński wrócił do pokoju. Stary pośpiesznie odłożył telefon.

— Może się pan nie trudzić — powiedział lekkim tonem Wroński, chociaż na sercu czuł ogromny ciężar. — Ten aparat zapamiętuje do pięciu ostatnich połączeń. A pięć ostatnich połączeń jakimś dziwnym trafem wykonałem do pojedynczych numerów. Chyba mi odbiło albo co...

— Twoja bezczelność...

— Wiem, wiem — przerwał Wroński — przed chwilą to już

słyszałem.

\*

— No i co? — spytała córka profesora. — Wyczytał pan coś ciekawego w tych notatkach?

— Niczego nie wyczytałem. Wczoraj ktoś splądrował moje mieszkanie, a dzisiaj była legalna rewizja. Zatrzymali płytę. I tak dobrze, że przegrałem skany na inny nośnik, a tamten z analizą zniszczyłem. Gdyby ją znaleźli, mój przyjaciel miałby kłopoty.

— Pan, policjant, ma przeciwko sobie policję? — zdziwiła się.

— Pani Dorotko... nie tyle policję, co paru funkcjonariuszy, którzy chcą czegoś, o czym na razie nie mam pojęcia. W dodatku wcale nie jestem pewien, czy oni działają z ramienia policji.

— A ja, widzi pan, coś jednak tam wyczytałam. Nie mogłam spać, więc dokładnie przejrzałam brulion.

— Szkoda, że go pani oddała... Ale inaczej mogłaby pani napytać sobie biedy.

— A kto powiedział, że oddałam? — na widok jego zdumionej miny roześmiała się. — Widzi pan, u mnie też rano przeprowadzono rewizję. Nie byłam przez to w pracy.

— Słucham?!

— Tak, tak. Zjawili się o wpół do ósmej.

— Czyli tak jak u mnie — mruknął. To tłumaczyło jej zdenerwowanie, kiedy zadzwonił. — A kto to był?

— Pokazywali legitymacje, ale w nerwach nie zapamiętałam nazwisk. Ale ten, który nimi dowodził to był wielki, gruby facet.

— Ostrzyżony krótko, z siniakami na twarzy... — po bójce z Wrońskim Flap musiał mieć wyraźne ślady na masywnej gębie.

— Zgadza się.

— W towarzystwie takiego małego chudego?

— Nie. Było ich trzech, ale żaden nie był mały i chudy.

Michał zamyślił się. Czyżby szanowny Januszek w tym czasie sprawdzał jeszcze coś innego? A Dorota ciągnęła:

— Byli bardzo nieprzyjemni. Tak mnie to zdenerwowało, że nie oddałam brulionu. Ukryłam go.

— Gdzie? — zdziwił się. Ukryła zeszyt na oczach na pewno doświadczonych policjantów?



— Tam, gdzie przedtem pan. W śmieciach.

— Nie zagłądali do kosza?

— Owszem. Ale tylko pobieżnie. Na pewno nie przyszło nikomu do głowy, że przybita śmiercią ojca kobieta może coś kombinować.

— Ja też bym nie przypuszczał.

Natychmiast spoważniała. Na delikatnej twarzy pojawił się wyraz głębokiego smutku.

— Chcę — powiedziała cicho — odkryć przyczyny śmierci taty. Chcę, żeby ten, kto to zrobił poniósł zasłużoną karę. I wiem, że panu chodzi o to samo.

— Ma pani rację. Ale ja mam jeszcze inne powody, żeby dojść prawdy.

Przed oczami stanęły mu znów zmasakrowane zwłoki Agnieszki Ramiszewskiej i przerażenie zastygłe w oczach doktora. Czyżby lekarz sądowy powiedział jednak zabójcom coś, co naprowadziło ich na ślad Walberga? Niewykluczone. A może mieli tak dokładnie rozpracowanych tych ludzi, miłośników historii, że po prostu przyszli do nich po kolei? Możliwość może być zresztą więcej.

— Szkoda, że nie wiemy, kto sporządził te wszystkie notatki i rysunki — westchnął.

— Mówią panu coś inicjały A. R.? — zauważyła, że Wroński drgnął. — Niektóre z dopisków taty je zawierają. Coś w rodzaju „AR, to trzeba dokładnie sprawdzić”.

— Adam Ramiszewski — prawie szeptem powiedział Michał. — A. R. Wygląda, że współpracowali z pani ojcem bardzo ściśle. Czy pan profesor coś kiedyś o nim wspominał?

— Nie. Ale przypominam sobie, że nieraz dzwonił do jakiegoś Adama. Może to ten?

— Może. A raczej na pewno.

— Jest jeszcze coś — powiedziała bardzo powoli. — W środku znalazłam interesujące wzory fizyczne.

— Słucham? — drgnął, jakby został żgnięty rozpalonym prętem. — Jakie wzory?

— Fizyczne. Niewiele z nich rozumiem, nie specjalizowałam się w fizyce jądrowej, ale coś mi mówi, że mogą mieć coś wspólnego z pracami von Brauna. I jest jeszcze coś. Przy skanowaniu nie zwróciliśmy na to

uwagi, bo za szybko to szło, ale to też wydaje się bardzo ważne.

\*

Wpatrywał się w schemat. To nie był zwyczajny odręczny rysunek, ale został najwyraźniej przekalkowany z jakiegoś opracowania. Zajmował całe dwie strony. Najciekawsze jednak były czerwone odcinki i kółka naniesione na czarne linie. I litery — Z, S, K, R, PZG, W, napisane zielonym długopisem.

— Co to może być? — zastanawiał się głośno. — Wygląda jak plan miasta. Ale coś mało ulic...

— To właśnie podziemne korytarze — pochyliła się nad zeszytem. — Doleciał przyjemny zapach delikatnych perfum i kobiecego ciała. — Jestem tego na sto procent pewna. Tato bardzo się nimi interesował. Pokazał mi nawet kiedyś coś podobnego, ale na o wiele większym formacie.

— W takim razie te litery... zaraz. Kłania się orientacja w terenie. Z to pewnie zamek, jeśli S oznacza sąd, K kościół, a W więzienie, wszystko by pasowało. W tym układzie R to ratusz, ale PZG? Leży blisko zamku i kościoła.

— Może Pomnik Złotych Godów?

— Może. A te czerwone kreski i kółka? Proszę. Jedno koło jest na PZG, drugie na R, a trzecie gdzieś w terenie.

Milczała długo, ważąc coś w sobie. Wreszcie zdecydowała się, wzięła głęboki oddech.

— Kiedyś podsłuchałam telefoniczną rozmowę ojca. Nie chciałam, ale jakoś samo wyszło. Mówił o jakichś wejściach do podziemi i możliwych do przejścia korytarzach.

Patrzył na nią uważnie, ze zmarszczonymi brwiami. To by z kolei pasowało do opowieści profesora o esesowskich archiwach.

— Chce pani powiedzieć...

— Może odcinki oznaczają jakieś ważne przejścia, a kółka miejsca, w których można tam wejść?

— Ciekawy tok rozumowania...

— No dobrze — uśmiechnęła się z przymusem. — Nie będę pana zwodzić. To wszystko jest napisane w różnych miejscach tego zeszytu. Są bardzo jasne wskazówki.

— Jeśli ma pani rację... — Zastanowił się, wpatrzony w mapkę,

potrząsnął głową. — Ale nie, to niemożliwe. Proszę spojrzeć tutaj. Wskazał czerwone kółko zaznaczone niedaleko zamku, na drodze prowadzącej szerokim łukiem do sądu, czyli punktu S. — To mi nie pasuje. Sprawdźmy w necie. Ostatnio na stronach urzędu miasta podobno jest dostępny dość dokładny plan Oleśnicy.

Po chwili siedzieli obok siebie przy komputerze.

— Widzi pani? Wynikałoby, że wejście jest w tym miejscu. Tutaj na Wałowej stoi ponemiecki dom. Przypadkiem wiem, że w studni jest tam ukryty korytarz, ale wiem również, iż jest on zasypywany. A z planu wynikałoby, że prowadzi tędy jakaś droga.

— Dobrze — powiedziała. — Ale to wszystko nie wyjaśnia nam, o co chodzi i dlaczego ten zeszyt jest tak ważny, że ojciec stracił życie.

— A ja zaczynam coś z tego rozumieć. Ale podczas rozmowy wspominał o tajnych pracach von Brauna i Heisenberga, o ukrytych archiwach SS... Może to jest ślad?

— Ale przecież von Braun swoje wynalazki przekazał Amerykanom.

— Podobno nie wszystkie i nie o wszystkim ich poinformował. Profesor wspominał coś o pracach nad energią atomową, ale nie w sensie broni masowego rażenia.

— Energia atomowa, mówi pan? Tato nie zwierzał mi się z takich spraw.

— Pewnie nie chciał pani narażać. Kto mniej wie... i tak dalej.

— Ale to by jednak coś wyjaśniało. Proszę dać mi brulion!

Zaczęła gorączkowo kartkować zeszyt. Michał patrzył na jej kolana, wysoko odsłonięte, kiedy siedziała. Już przedtem przyszło mu do głowy, że za stworzenie takiej pary nóg dobry Pan Bóg powinien dostać nagrodę Nobla. Zrobiło mu się trochę głupio. Mężczyzna zawsze pozostanie mężczyzną, pomyślał. Jej takie durnoty nawet nie przemkną przez głowę.

— Jest! — pokazała dopisek sporządzony ręką Walberga. — „WH i WvB prac. z całą pewn. nad wyk. e. j. do nap. rak.”. I dalej: „sprawdzić w archiwum państwowym, popytać fizyków na uczelni.”

— To drugie rozumiem, ale pierwsze...

— Mnie coś zgrzytało w głowie już przedtem — Zamknęła zeszyt, położyła go na kolanach. — Ale teraz raczej jestem pewna. Heisenberg i von Braun pracowali nad wykorzystaniem energii jądrowej do napędu rakiet!

— Czy to w ogóle możliwe? Nie znam się na tym.

— Teoretycznie możliwe. Jednak przy obecnym stanie wiedzy czegoś podobnego nie da się zrobić. Państwo, które by dokonało podobnego wynalazku i opracowało bezpieczne, łatwe w obsłudze i kontrolowaniu silniki napędzane uranem czy plutonem, dokonałoby technologicznego skoku do innej epoki. Nie mówiąc o możliwościach podróży kosmicznych. To tak jak z elektrowniami atomowymi. Stosunkowo tanim kosztem można osiągnąć wielkie efekty energetyczne.

— To brzmi jak fantastyka.

— Właśnie w fantastyce często jest mowa o napędzie jądrowym, o statkach kosmicznych korzystających ze stosów atomowych. Ludzkość szuka innych dróg rozwiązań, bo okiełznać atomu na razie nie umie w dostatecznym stopniu, a wszelkie maszyny napędzane energią jądrową korzystają z niej tylko pośrednio. Przecież nawet okręty atomowe są w istocie rzeczy jednostkami napędzanymi po staremu. Stos atomowy służy do wytworzenia dostatecznej ilości suchej pary, a tą poruszane są turbiny. Ale bezpośrednie przełożenie, w dodatku na silniki rakietowe? Szkoda, że ojciec nic mi nie powiedział. Chciał pytać naukowców... ja bym mu przecież powiedziała, że to mrzonki.

— Na pewno nie chciał pani narażać. Zdawał sobie sprawę, jak takie informacje mogą być cenne. A cenne oznacza zarazem groźne, bo podobnymi zagadnieniami interesują się wywiady chyba wszystkich państw. Zresztą i o tym mi napomknął.

Wstała gwałtownie, ukryła twarz w dłoniach, łzy zaczęły przeciekać między palcami.

— Po jednej rozmowie z moim tatą wie pan więcej o jego pasji niż ja mieszkając z nim od lat... Wroński poczuł się nagle bezradny. Wolałby znowu stanąć twarzą w twarz z rozwścieczonym Flapem niż siedzieć naprzeciwko płaczącej kobiety. Ostrożnie, nie chcąc, żeby to źle odebrała, również się podniósł i pogładził ją po włosach. Były jedwabiste miękkie i puszyste. Córka profesora, wiedzona nagłym impulsem, przytuliła się do niego. Stali tak kilka minut. Michał gładził jej włosy, wdychał zapach, ale myśli krążyły gdzie indziej. Wreszcie podniosła głowę. Patrzył prosto w mokre, błękitne od płaczu oczy. Widział zgrabną linię nosa, pełne wargi. Chcąc nie chcąc, nie bardzo nawet wiedząc, co czyni, pochylił głowę. Ich usta złączyły się na chwilę, ale kobieta od razu uciekła w bok.

— Nie mogę teraz — szepnęła. — Minał dopiero dzień od śmierci taty.

— Przepraszam — mruknął — zachowuję się jak idiota.

Oderwała się od niego.

— To co teraz robimy? — spytała, ocierając twarz.

— Trzeba się zastanowić. Ale chyba powinniśmy to wszystko przemyśleć i sprawdzić. Ma pani w domu dobrą latarkę? Zaczniemy tam, gdzie jest najłatwiej dotrzeć.

\*

O dziesiątej wieczorem pod koniec maja nie jest jeszcze zupełnie ciemno. Tak naprawdę nigdy wtedy tak nie bywa, jeśli nieba nie zasłaniają gęste chmury. To pora zmierzchu astronomicznego. Słońce chowa się tylko za północno-zachodnim horyzontem, żeby podążyć ku wschodowi, rozświetla jednak cały czas choć mały skrawek nieba.

Obserwowali uważnie okolice Pomnika Złotych Godów. Udawali zakochaną parę, najpierw przechadzając się wzdłuż i wszerz Placu Książąt Piastowskich, a teraz kryjąc się w cieniu przyzamkowej bramy. Ile bowiem można się prowadzić po czymś, co w istocie rzeczy jest tylko parkingiem, oddzielonym od zamku niskim murkiem i starą fosą? Szumna nazwa „Plac Książąt Piastowskich” była myląca, podobnie jak sporo innych w tym mieście.

— To wejście tutaj, jeśli rzeczywiście jest, musi mieć związek z komorą pod pomnikiem, o której chodziły różne plotki. Miałem nawet zamiar porozmawiać dziennikarzem, który to opisywał, ale okazało się, że on też nie żyje. Chciałem sprawdzić, jak zmarł i czy są jakieś ustalenia w tej sprawie, niestety zabrakło czasu.

— Myśli pan, że tak gdzieś jest jakaś odsuwana płyta czy coś podobnego?

— Mieliśmy sobie mówić po imieniu.

— Zapomniałam. To jak myślisz?

— Nie bardzo to sobie wyobrażam. Myślę, że raczej jakiś cichy mechanizm na dobrze naoliwionych prowadnicach. Ten pomnik to doskonałe miejsce. Nikt po nim nie łązi, bo nawet nie ma po co. Jest tak doskonale dostępny ze wszystkich stron, że po prostu nikogo to nie bawi. Pójdę sam. Jeśli znajdę wejście, spróbuję od razu dostać się do środka i zbadać teren. Nawet nie próbuj mnie przekonywać! Ktoś z nas musi

zostać. Gdybym nie wrócił, skontaktujesz się z moim przyjacielem w Warszawie. On będzie najlepiej wiedział, co zrobić.

— Nie chcę, żebyś tam szedł.

— A po co tu przyszliśmy?

— Patrz, tam pod murem leży pijaczek.

— Niech sobie leży. Tutaj to normalne.

Patrzyła za nim jak niespiesznym krokiem zmierza ku pomnikowi. To nie był typowy pamiątkowy monument, ale raczej ustawiony na stopniowym podwyższeniu obelisk zwieńczony książęcym czaprakiem. Z powodu przychodzących na myśl skojarzeń bywał przez miejscowych nazywany kutasem albo jeszcze bardziej dosadnie. Michał obszedł dookoła schodki, przytupując lekko co kilka kroków. Zatrzymał się, bo jacyś ludzie przechodzili drugą stroną ulicy. Dorota z emocji ledwie oddychała. Swoją drogą, co za idiotyczne miejsce, żeby ukryć wejście do podziemi. Chociaż, z drugiej strony, pod latarnią podobno bywa najciemniej. A żeby właśnie było najciemniej, dbają odpowiednie siły. W końcu firma, która robiła ostatnio prace remontowe, szybko się zwinęła z robotą, zamurując dokładnie to, co zostało przypadkiem odkryte. Niewykluczone, że ludzie zainteresowani ukryciem znaleziska wyłożyli sporo gotówki za milczenie pracowników przedsiębiorstwa. A może użyli jeszcze innych metod uciszania...

Wzdrygnęła się. W ciągu dwóch dni jej spokojne życie zmieniło się diametralnie. Najpierw zabito ojca, a teraz sama idzie z obcym jeszcze niedawno mężczyzną, żeby stawić czoła groźnej tajemnicy. Ile to już było trupów? Pięć niezidentyfikowanych zwłok bez śladów przemocy, jeden zastrzelony w parku i jeszcze dwóch zabitych — jej ojciec i ten doktor z Wrocławia. I ta dziewczyna... Dziewięć ciał, w tym cztery przez ostatnie kilka dni.

Michał wszedł już na stopnie. Rozejrzał się. A potem zaczął iść dookoła pomnika, tupiąc twardymi obcasami. Wszedł na kolejny poziom, znów to samo... Niech to szlag, nic nie słyhać, wszędzie, w każdym miejscu taki sam odgłos. Pochylił się, przejechał ręką po kamieniach, zastukał latarką. Zdaje się, że nic z tego nie będzie. Tu nie ma żadnego zejścia do podziemi. Co za idiotyczny pomysł, żeby tu przyjść. Na co liczył? Znów na szczęśliwy przypadek? Może w ogóle nie ma podziemi, a jeśli są, wejścia mogą być dawno zasypane albo nawet zabetonowane.

Może to wszystko tylko domysły i wymysły grupki pasjonatów? Dobrze, jednak skąd wtedy te trupy? Usiadł. Nie widział pijaczka, który wstał z kościelnego trawnika, a teraz chwiejnym krokiem zbliżał się ku niemu. Miał na sobie bluzę z kapturem, naciągniętym głęboko na głowę. Prawą rękę włożył do kieszeni.

Dorota pojawiła się nagle obok Wrońskiego.

— No, chodź już. Wygrałeś, wierzę, że mnie kochasz i całą noc możesz tu przesiedzieć, żeby to udowodnić.

Może nie miało to wielkiego sensu, ale pijak zatrzymał się, a potem zawrócił. Wroński patrzył za nim.

— Myślisz, że stoi tutaj na czatach? A może raczej leży.

— Nie wiem. Ale zauważyłam, że kiedy ruszył, w pewnym momencie przestał się chwiać i poszedł pewnym krokiem. Możliwe, że takich jak on jest tu w okolicy więcej.

Michał rozejrzał się. Właśnie. Blok obok, trawniki, garaże, fosa i wzgórze zamkowe... Można tu ukryć pluton wojska.

— Co robimy?

— Chodź — pociągnął ją za rękę. — Dzisiaj nic nie zwojujemy. Trzeba to wszystko jeszcze raz dokładnie przemyśleć, znaleźć inne rozwiązanie...

W tej chwili stanął jak wryty. Przed nimi wyrosła jakaś postać. Przyjrzał się. To ten pijaczek spod kościoła. Kaptur nadal na głowie, w rękę mętny błysk stali. Bez wątpienia pistolet. I bez żadnej wątpliwości z odciągniętym kurkiem. To było widać nawet w byle jakim świetle oddalanej o kilkanaście metrów latarni.

— Idziemy — powiedział intruz.

— Dokąd?

— Zobaczysz. Oboje cztery kroki przede mną i bez gwałtownych ruchów.

Dorota poczuła przenikliwie zimno pełznące od stóp przez całe nogi, potem wzdłuż krzyża aż po barki. Ojciec kiedyś mówił, że ludzie pod lufą tak się czasem czują.

— Już! — popędził ich fałszywy pijak. — Prosto, w stronę parku na wzgórze. Potem powiem, gdzie dalej.

Głos wydawał się skądś znajomy, ale w takiej chwili Wroński nie potrafił go przypasować do konkretnej twarzy. Pociągnął Dorotę. Szła

sztynno, jakby ogarniał ją paraliż. Potknęła się. Człowiek z tyłu syknął ostrzegawczo.

— Uważaj — Michał chwycił ją za rękę. — Mówiłem, żebyś ubrała lepsze buty. W tych potykasz się co chwila.

Już miała zaprotestować, bo przecież na nogach miała wyjątkowo wygodne sportowe półbuty, ale Wroński ścisnął ją tak mocno, że mało nie krzyknęła. Dopiero po dłuższej chwili dotarło do niej, co komisarz chciał dać do zrozumienia.

— Nie miałam innych.

— Iść, nie gadać!

Szli wzdłuż wschodniej ściany zamku. Za chwilę zbliżą się do schodów bocznego wejścia. Znów ponagleni, przyspieszyli nieco. Dorota nagle potknęła się i upadła na kolana. Idący z tyłu zrobił jeszcze dwa kroki. Wroński, pochylony troskliwie nad kobietą, nagle wyprostował się, wykonał półobrót i przygiął do ziemi rękę trzymającą pistolet. Pociągnął ją do przodu, spodziewając się usłyszeć wystrzał. Jednak broń milczała. Uderzył z góry w nadgarstek. Pistolet wypadł ze zdrętwiałej dłoni. Przeciwnik odskoczył. Zanim Michał zdołał powrócić do wyprostowanej pozycji, ujrzał przed oczami jasny rozbłysk. Ból nadciągnął dopiero po chwili wraz ze świadomością, iż odebrał mocne uderzenie w twarz. Odruchowo poszedł w przód, wyciął tamtego pod żebra, celując w wątrobę. To znaczy chciał uderzyć w to miejsce, ale nie zdołał. Trafił w powietrze. W ostatniej chwili, rozpaczliwym wyrzutem przedramienia, zatrzymał stopę lecącą ku jego głowie. Natychmiast poczuł ból w prawym udzie. Otrzymał krótkie kopnięcie szpicem buta. Najwyraźniej trafił na cholernego kickboksera. Uderzył krótkim sierpem, ale ręka uwięzła w zasłonie. Instynktownie uchylił się przed błyskawiczną kontrą prawym prostym. Trzeba przejść do zwarcia, może w parterze zdoła uzyskać przewagę. Rzucił się na nogi przeciwnika, chwycił go pod uda, podniósł w powietrze. W tej chwili zabrakło mu tchu. Straszliwe uderzenie oburącz w miejsce, gdzie mięśnie kapturowe łączą się z szyją sprawiło, że ręce opadły. Tamten odskoczył. Twarda pięść wylądowała na szczęce Wrońskiego. Komisarz upadł. A napastnik już siedział na nim. Obrócił go twarzą do ziemi, wykręcił ręce. Michał próbował się jeszcze uwolnić, ale każde szarpnięcie łączyło się z coraz większym bólem. To koniec, pomyślał.



Nagle ucisk zelżał. Niespodziewanie poczuł, że ręce ma wolne. Pijaczek zszedł z niego bardzo powoli. Wroński odwrócił się na plecy. Jednak ta kobieta ma charakterek! Trzymała lufę na potylicy zakapturzonego. Dłonie jej ewidentnie drżały. Mężczyzna musiał to doskonale wczuwać, więc zachowywał się bardzo spokojnie. Przy napiętym kurku łatwo o przypadkowy strzał.

— Spokojnie — powiedział łagodnie. — Ostrożnie z tą spluwą. To tylko ja. Mogę zdjąć kaptur?

Michał podniósł się, ostrożnie przejął broń od Doroty. Szarpnięciem odwrócił pijaka, odsunął się o dwa kroki i gestem polecił mu odstąpić twarz.

— Niech mnie diabli! — wciągnął gwałtownie powietrze. — Inspektor Baliński!

— Znasz go? — kobieta stanęła obok. — To jakiś twój kolega? Policjant grozi policjantowi bronią? Inspektor komisarzowi?

Baliński skrzywił się.

— Jaki tam ze mnie policjant. Jaki inspektor. Jestem kapitan Marek Baliński. Z polskiego kontrwywiadu.

— A ja jestem Mosze Patzowski, święty cadyk z Radomia.

— Bez kpin. Mam przy sobie legitymację. Jeśli ta pani może sięgnąć do tylnej kieszeni moich spodni...

— Nie ze mną takie sztuczki. Sam pan sięgnie. Dwoma palcami, wolniutko, żebym się przypadkiem nie zdenerwował.

Baliński wyjął z kieszeni skórzany portfel. Michał gestem polecił Dorocie odebrać dokumenty. Potem poświeciła mu latarką.

— Kapitan Marek Baliński — przeczytał głośno, a potem gwizdnął przeciągle — Jeśli to prawda, trzymając pana pod lufą właśnie popełniam ciężkie przestępstwo przeciwko bezpieczeństwu państwa.

— Może pan już przestać?

— Nie mogę. Jakoś mi trudno w to uwierzyć.

— Niech to szlag! Chce pan telefon do ministra obrony narodowej albo spraw wewnętrznych? Może do obu? Oni dostatecznie mnie uwierzytelnią?

— Nie mam zaufania do kogoś, kto przed chwilą mierzył do mnie z pistoletu.

— Nie miałem wyjścia. Zdarzyło się coś... No cóż, pogubiłem się,

przecież jestem tylko człowiekiem. Potrzebuję waszej pomocy.

— Naszej pomocy? Pod pistoletem? Niech pan poprosi tych dwóch goryli, którzy za mną chodzą. I pozdrowi ich ode mnie.

— Pan uważa, że to moi ludzie?

— A nie?

— Jak się pan domyślił?

— Bawiliście się w klasyczny układ zły glina, dobry glina. Z tym, że panu ten dobry coś ostatnio też nie wychodził. To co, może ich zawołamy? Pewnie gdzieś się czają, czekają na wezwanie.

Baliński splunął w bok słodko-słoną ciecżą. W czasie walki Wroński trafił go łokciem, rozcinając od wewnątrz policzek.

— Janusz, ten mniejszy, nie żyje — wbił wzrok w komisarza. — Został zabity przed dwiema godzinami. Był jeszcze trzeci człowiek, taki niepozorny. Działał w ukryciu, dyskretnie, na pewno go pan nie zauważył, bo tamci dwaj celowo robili sporo zamieszania. Zginął razem z Januszem. Dzięki jego poświęceniu zdołałem uciec. A Wiesiek gdzieś się zapodział. Od wczoraj nie daje znaku życia, chociaż powinien meldować się z terenu co dwie godziny. A my musimy się spieszyć inaczej może ucierpieć na tym interes Polski.

— Jak to się zapodział? Pana King Kong przecież przeprowadził rano rewizję u Doroty. W tym samym czasie, kiedy grzebaliście się u mnie.

Baliński milczał, wyraźnie zaskoczony.

— Nic pan o tym nie wie? — zdziwił się Wroński. — Przecież to pana człowiek!

— Nie wiedziałem... Ale to wiele tłumaczy. Zbyt wiele nawet.

Michał opuścił lufę. Dorota syknęła.

— Wierzysz mu?

— Wierzę, wierzę. Trochę się teraz z nim droczyłem. Domyśliłem się, że jest agentem po rozmowie z burmistrzem. Jemu Baliński tego oczywiście nie powiedział, przedstawił się jako oficer z Komendy Głównej Policji, który przyjechał z tajną misją śledzić korupcyjne praktyki. Ja wiedziałem, że jest oddelegowany z Wrocławia specjalnie do spraw tajemniczych zwłok. Tylko wywiad i kontrwywiad stosuje takie gierki. Nie byłem jedynie do końca przekonany czy pracuje koniecznie dla Polski. Ale już wiem. W każdym razie wydaje mi się, że wiem. A to, co

powiedział przed chwilą oznacza, że sytuacja jest jeszcze bardziej skomplikowana niż mi się zdawało.

— Właśnie — potwierdził Baliński. — Sytuacja jest wyjątkowo skomplikowana. Nawet w przybliżeniu nie ma pan pojęcia, jak bardzo.

Tym razem to Wroński został na czatach, a Baliński z Dorotą szli objęci w pól w stronę domu na skraju zamkowych błoni, tam, gdzie powinna być stara studnia. Wciąż jeszcze czuł się jakby został obudzony z nienacka w innym, nieznanym świecie. Ten stróż niby z komendy wojewódzkiej o dziwo nie miał wcale torpedować śledztwa Wrońskiego. Przeciwnie, wnioski z dochodzenia powinny mu pomóc wykonać zadanie. Owszem, usiłował je skierować na ślepe tory, kiedy zobaczył, że komisarz zbliża się niebezpiecznie do prawdy. Stąd pamiętna rozmowa o aferze narkotykowej. Jednak gdy Michał nie dał się na to złapać, postanowił odsunąć go od pracy. Ale nadal zamierzał skorzystać z ustaleń dokonanych przez policjanta. Stąd rewizja, kiedy nie można było inaczej. Zeskanowany brulion powiedział Balińskiemu o wiele więcej niż komisarzowi. Wejście do podziemi w ratuszu istniało i było wprost wymarzone dla rządowych agentów. Z dala od oczu ludzi, bezpieczne. Wystarczyło machnąć przed oczami nakazem komu trzeba, żeby otworzyły się wszystkie drzwi. Tyle, że w piwnicach siedziby magistratu nie byli sami. Flip z tym drugim tajniakiem zginął, kapitanowi udało się uciec. Jutro pewnie zawita do ratusza ekipa dochodzeniowa. Ale dopiero jutro. Policjanci będą robić mądre miny nad następnym tajemniczym ciałem. Tymczasem to po prostu oficer służb specjalnych. Wroński nie zdążył zapytać kapitana o sprawę ciał, ale postanowił odłożyć to na później. Chociaż, w zasadzie, nie musiał pytać. Wszyscy zamordowani musieli być związani z agenturą. I to, zdaje się, nie tylko polską, a może nawet głównie nie z polską.

Baliński z Dorotą weszli na posesję. Kiedyś strzegł jej nawet płot, ale odkąd rządy w posiadłości przejął syn poprzedniego gospodarza, dom nieco podupadł. Obeszli podwórze, w każdej chwili gotowi przytulić się, udając zakochanych. Michał poczuł ukłucie zazdrości. Przystojny oficer wywiadu i piękna kobieta. Jak w filmach o Bondzie. A on jest tutaj na przyczepkę. Wreszcie zobaczył, że wracają.

— Jest studnia — oznajmił niepotrzebnie Baliński. O tym mógł mu powiedzieć wcześniej komisarz. — Sprawdziłem, wierzchnia płyta da się

odsunąć, tyle że jest zamknięta na skobel i kłódkę.

— Ale tamten korytarz jest zasypany.

— Musimy spróbować. Na planie został zaznaczony, jakby był drożny. Może ten, kto sporządzał rysunek, wiedział więcej od nas? Może trzeba się tylko przekopać przez zawał? A może już ktoś to zrobił?

— No dobrze — wtrąciła Dorota. — Ale trzeba łopat, może kilof. Jak mamy się przebić? Gołymi rękami?

— Pani nijak — odparł Baliński. — Nie wejdzie tam pani. Ktoś musi pozostać na zewnątrz, żeby zawiadomić władze, gdybyśmy nie wrócili.

— Słyszę podobny tekst już drugi raz w ciągu godziny — mruknęła.

— Ma pan przy sobie blachę, komisarzu? — kapitan nie zwrócił uwagi na jej słowa.

Wroński już miał zaprzeczyć, ale poklepał się po kieszeni bluzy. Jest! Musiał ją odruchowo zabrać. Lata przyzwyczajień.

— Doskonale — Baliński zatarł ręce. — Wolałbym uniknąć dekonspirowania się.

— Kto to są ci oni?

— Ludzie z tego domu. Od nich weźmiemy sprzęt. Ale przecież nie dadzą narzędzi jakimś nocnym gościom. Policja to co innego.

— Ach, o to chodzi. Blacha nie będzie potrzebna. Niedawno rozmawiałem z mieszkańcami w tej okolicy. Wiedzą, że jestem gliną.

\*

— Ja pierniczę — powiedział pan Witek, właściciel domu. — Ale jazda!

— Nigdy pan nie schodził do studni? — spytał Baliński.

— A po co? Wiadomo, że jest tutaj zasypany korytarz. Ojciec cały złom, te hełmy i różne puszki wydobył ponad czterdzieści lat temu. Chciał nawet studnię zasypać, ale konserwator zabytków zabronił. No tośmy ją tylko zabezpieczyli, żeby jaki dzieciak nie wpadł.

Stali pochyleni w podziemnym przejściu. Było łukowato sklepienie, miało około metra siedemdziesięciu wysokości i tyleż szerokości. Przez zawał przebili się nieoczekiwanie łatwo. Górna warstwa okazała się mieć ledwie nieco ponad metr grubości. Odgarnęli ją na tyle, żeby mógł się precyzyjnie przemieszczać dorosły człowiek. Po drugiej stronie w świetle latarek widać było dalszy ciąg.

— Jeśli w głębi nic nie jest zawałone, powinniśmy dotrzeć na

miejsce dość szybko.

— Jakie miejsce? — spytał Wroński, milknąc zaraz, bo Baliński wzrokiem pokazał gospodarza, który z ogromnym zainteresowaniem oglądał otwór.

— Wygląda, że tu nic nie runęło — powiedział. — Ktoś chyba specjalnie naniósł ziemi i gruzu.

— Dziękujemy już panu. Sami dokonamy ostatecznych oględzin.

— Może zawiadomię policję? — Pan Witek podrapał się po głowie.

— Nie! — krzyknęli jednocześnie Michał i kapitan.

— Nie — powtórzył łagodniej Baliński, żeby zatrzeć wrażenie, jakie na gospodarzu uczynił ich protest. — Poradzimy sobie sami. I potem zawiadomimy kogo trzeba.

— No, nie wiem — mężczyzna łypnął nieufnie. — To powinien chyba ktoś zobaczyć.

Wroński spojrzał bezradnie. Kapitan westchnął ciężko.

— No dobrze — wyjął legitymację. — Panie Witoldzie. W imieniu Rzeczypospolitej Polskiej zobowiązuję pana do zachowania tajemnicy. Rząd polski zapłaci odszkodowanie za wszelkie straty materialne i moralne, jakie ta sprawa może spowodować.

— Kim pan jest? — szepnął zaskoczony gospodarz.

— Ma pan tam napisane.

— Ale nie bardzo to rozumiem. Co to znaczy...

— Nieważne — wpadł mu w słowo Wroński. — Ten pan jest wysokim urzędnikiem państwowym. Najważniejszym, jaki znajduje się w tej chwili na terenie Oleśnicy. Może mi pan wierzyć.

— Ważniejszy od burmistrza? — spytał z niedowierzaniem pan Witek.

— Ważniejszy od burmistrza, wójta, komendantów policji i straży pożarnej razem wziętych! Nie mamy czasu. Teraz opuści pan studnię, zakryje ją i zamknie, jakby nigdy nic, a potem zaprosi naszą koleżankę na kawę. Ona wie, co robić.

— Ale jak zakryję studnię, to nie wyjdziecie.

— Poradzimy sobie. Umówmy się, że co pół godziny ktoś będzie schodził i słuchał, czy nie stukamy od środka.

Pan Witek wygramolił się na zewnątrz.

— Cholera — powiedział Baliński. — Wygląda, że ktoś całkiem

niedawno odkopał ten otwór i zasypał z powrotem. Zauważył pan, jaka ziemia była spulchniona?

— To w ogóle bardzo dziwna sprawa. Dowiemy się, o co w tym wszystkim chodzi? Już się domyśliłem, że mamy tutaj rozgrywkę wywiadów, ale...

— Rozgrywkę? — prychnął kapitan. — Raczej regularną wojnę. Toczy się od czterdziestego piątego roku, czasem tylko bardziej przybiera na sile.

— Ale o co?

— O wszystko. Hitlerowcy pozostawili po sobie zbyt wiele interesujących rzeczy, żeby przejść nad tym do porządku dziennego, odpuścić sobie i patrzeć jak inni z tego korzystają.

— A tym razem o co się toczy bitwa?

— Nie mamy teraz czasu na takie rozmowy. Pan może zostać, jeśli chce, ale ja muszę iść — Baliński zaczął się przeciskać przez otwór. — Niech pan krzyknie. Jeszcze nie założyli kłódki.

— Też coś! Miałbym to przegapić? Tyle się nauzeralem z panem i pana pomagierami, żeby teraz zostać z tyłu niby jakaś ostatnia dupa?

Po chwili obaj stali po drugiej stronie, ubrudzeni ziemią po przeciskaniu się przez otwór. Ciemny, niegościnnie korytarz rozświetlały latarki.

— To dzisiaj ma się zdarzyć coś ważnego? Dlaczego akurat dzisiaj?

— Przez te plany, które pan znalazł u profesora. Ktoś w policji sypie, jest na usługach obcych agentur.

— Pan wie, kto?

— To rzadko wiadomo — uśmiechnął się Baliński. — Inaczej nie byłoby niespodzianek. Ale może przejdźmy na ty. W tej sytuacji uprościmy sobie znacznie komunikację.

Ruszyli przed siebie. Kapitan co chwila zerkał na kartkę z wydrukowanym planem.

— Dlaczego pozwalałeś mi na te wszystkie numery? — Wrońskiemu nie dawało to spokoju. — Przecież mogłeś mnie uziemić jednym słowem, nawet wsadzić do aresztu.

— Liczyłem, że co dwie głowy i tak dalej. Przez te kilka dni dałeś mi parę cennych wskazówek. Może nieświadomie, ale dałeś.

— Gdzie mamy teraz iść?

Kapitan zatrzymał się. Poruszał ustami, jakby coś liczył.

— Dwieście metrów. Przeszliśmy jakieś pięćdziesiąt. Tu, z prawej, powinien być ślepy korytarz.

Poświecił latarką po ścianach, oddalił się kilka kroków. Przywołał Michała i bez słowa pokazał odgałęzienie. Wroński czuł się nieswojo w podziemiach. Co prawda korytarz stał się wyższy i szerszy, dzięki czemu poczucie zamknięcia w ciasnej przestrzeni nieco zmałało, ale ciemne stare przejścia budziły dreszcze grozy na plecach.

— Dokąd mamy dojść? — powtórzył pytanie.

— Właśnie... — zamyślił się Baliński. — Tego dokładnie nie wiem.

— A niedokładnie?

— Będziemy krążyć po korytarzach, dokąd na coś nie trafimy. Albo na kogoś, kto jest lepiej zorientowany.

— Na co? Na kogo? Cedzi pan informacje jak rzecznik rządu przed upadkiem gabinetu.

— Mówiłem. Ktoś z policji wyniósł informację o tych planach. W sumie ten przeciek był mi na rękę. Z jego powodu wśród agentów wszczął się ruch, zaczęły niepokoje. Dzisiaj chyba wszyscy ruszyli na poszukiwania. A my mieliśmy z tego skorzystać, bo nie wiemy, gdzie przedmiot poszukiwań dokładnie został ukryty. Za to inne wywiady mają na ten temat lepsze informacje. Tyle że wszyscy, którzy wchodzili do podziemi, ginęli. Tak właśnie. To te niezidentyfikowane trupy. Nadszedł wreszcie czas rozstrzygnięcia. Na naszym terenie, na naszych warunkach. Tak mi się przynajmniej zdawało do dzisiejszego wieczora.

— Ruch wśród agentów? To ilu ich jest?

— Wymienię tylko najważniejsze kraje. Niemcy, Rosja, Stany Zjednoczone i my. To oczywiste. Ale trzeba brać pod uwagę także Wielką Brytanię, Francję, nawet Chiny. Chodźmy.

— Chiński agent? A jak, do ciężkiej cholery, miałby się wtopić w nasze małe miasto?

— A dlaczego sądzisz, że szpieg stamtąd musi od razu być niski, o żółtej skórze i skośnych oczach? To taki sam obywatel Polski jak ty czy ja.

Rzeczywiście. Wroński roześmiał się cicho. Kiedy się mówi o Chinach czy Japonii, przed oczami zawsze staje typowy przedstawiciel tamtych nacji. A przecież działalność agenturalna opiera się na członkach społeczeństwa danego kraju. Jeśli są tacy, którzy biorą pieniądze za



zdradę na rzecz Rosji czy Niemiec, dlaczego nie mieliby się znaleźć odszczepieńcy pracujący chociażby dla Chin właśnie, Hondurasu czy innego egzotycznego państwa.

Doszli do rozwidlenia. Jak w baśni, pomyślał komisarz. Droga w lewo i w prawo. Powinien tu stać gnom i ostrzegać podróżnych „Pójdiesz w lewo — stracisz życie, pójdiesz w prawo — stracisz rozum”. Baliński uważnie śledził plan.

— Powinniśmy pójść w prawo. Widzi pan? Czerwone linie krzyżują się w tym miejscu. Gdzieś między ratuszem a zamkiem. Z ratusza byłoby najbliżej. Niestety...

— Kto zabił Flipa? — spytał nagle Michał. Widząc, że kapitan zmarszczył brwi, wyjaśnił — Chodzi mi o tego Janusza.

— Acha, tak pan ich nazwał? Flip i Flap? Nawet pasuje. Nie wiem, kto zastrzelił jego, a potem. Nie widziałem. Musiałem się prędko ewakuować. Ale podejrzewam, że był to albo kagebista albo jakiś Niemiec ze starej szkoły Stasi.

— Skąd ten wniosek?

— Ze sposobu zabójstwa. Dwa strzały w okolice serca i upewniający w głowę. Mają to w odruchach. Znalazłem Janusza już martwego. Mnie kula minęła o włos. A raczej kule, bo strzelało więcej ludzi. Darek, ten drugi, osłaniał mnie i oberwał. Potem napastnicy na pewno zeszli do podziemi.

— Niedobrze.

— Z jednej strony tak, ale z drugiej... Wszystko to oznacza, że znaleźliśmy się na dobrej drodze.

— Jednak, skoro nie wiemy, gdzie dokładnie szukać, nie lepiej byłoby obstawić po prostu wszystkie wyjścia? Jesteśmy na naszym terenie, ludzi chyba by pan znalazł.

Baliński zamiast odpowiedzi syknął, zgasił latarkę, niecierpliwym gestem kazał zrobić to samo Michałowi. Nasłuchiwali odgłosów płynących gdzieś z przodu. Szuranie, jakby ostrożne kroki i przytłumione głosy.

— Dlatego właśnie obstawialiśmy wyjścia. Janusz w Ratuszu, ja miałem czekać przy studni, Wiesiek na Placu Piastów Śląskich, a Darek pod zamkiem. On też odpowiadał za łączność. Ale prawdopodobnie wejść jest więcej, a jeszcze przynajmniej jedno, nie zaznaczone na

naszym planie. A poza tym teraz nie ma o czym mówić. Zostaliśmy sami, a nie zdążę ściągnąć posiłków. Zresztą od dzisiejszego wieczora nie mogę mieć zaufania do ludzi z terenu. Cholera wie, na kogo trafię. Chodźmy w stronę dźwięków.

Już mieli ruszyć, kiedy usłyszeli coś dziwnego tuż obok. Głuchy stuk, odgłos osypującej się ziemi.

— *Okay* — powiedział schrypnięty głos. — *Wir sind da. Marcus, warte hier.*

Niemcy. Wroński domyślił się, że właśnie tutaj, gdzieś w pobliżu zamkowego wzgórza jest następne wejście do korytarzy. Baliński chwycił komisarza za rękę, dał znak, żeby się nie ruszał. Przyłgnęli do ściany. Intruzi zapalili latarki. Byli w poprzecznym korytarzu, którego także nie ujęto na mapce.

— *Und jetzt?* — spytał drugi głos — *Links oder rechts?*

— *Geradeaus* — padła zwięzła odpowiedź. — *Und Ruhe, Johann.*

Ciężkie kroki zaczęły się oddalać.

— Idziemy za nimi — tchnął Wrońskiemu prosto w ucho kapitan. — Bez pośpiechu.

Jaką odległość mogli pokonać, skradając się i oświetlając drogę tylko przez ułamki sekund? Sto, dwieście metrów? Ale komisarzowi wydawało się, że mają za sobą kilka kilometrów. Najpierw na palcach przekradli się obok korytarza, którym Marcus został zostawiony na straży, a następnie w żółtym tempie, nie tracąc z oczu błysków latarek z przodu, szli schyleni, gotowi w każdej chwili uskoczyć w bok. Tamci też najwyraźniej nie do końca wiedzieli, gdzie iść. A może po prostu byli ostrożni. Zatrzymali się, wobec czego Michał z kapitanem stanęli również.

— Ciekawe — mruknął Baliński. — Mówią po niemiecku, ale kogo stamtąd reprezentują?

Wroński chrząknął pytająco.

— Mogą być z wywiadu wojskowego, ale równie dobrze ze starych struktur, współpracujących z organizacjami postnazistowskimi. To właśnie specjalnie wyznaczeni i przeszkoleni agenci Stasi, wspierani przez byłych esesmanów, gestapowców oraz niektórych pracowników Abwehry od lat strzegli tajemnicy. A do takich zadań wybierano ludzi, których przodkowie mieli powiązania ze speckomandami SS. Tymi, które ukrywały ważne dokumenty.

— Taka konspiracyjna sitwa? Coś jak akta ODESSY?

— Mówisz o filmie czy prawdziwej historii? Tamten obraz to dziecinada w porównaniu z całą brutalną prawdą. Nazizm jest w tym kręgu przekazywany z ojca na syna, to gorsze niż zaraza. Chodźmy. Jeżeli przeżyjemy, wszystko ci wyjaśnię. Teraz cicho. I nie zapalaj latarki.

Ostrzeżenie padło w samą porę. Doszli do kolejnego skrzyżowania korytarzy. Wroński poczuł lekki przeciąg. Czyżby to znaczyło, że gdzieś te tunele mają otwory wentylacyjne? Możliwe. Solidna robota. Tym razem on zorientował się, że coś jest nie tak. Wyciągnął ręce, chwycił towarzysza za kaptur bluzy, pociągnął do tyłu, na siebie. Upadł, ciężar kapitana wyparł z niego dech. Pod plecami poczuł wszechobecne odłamki starych cegieł, które wbiły się boleśnie w kręgosłup. Z trudem powstrzymał jęk, ostatkiem sił przytrzymał Balińskiego, żeby ten nie narobił hałasu. Leżeli długą chwilę bez ruchu. Michałowi przypomniały

się te wszystkie ciała o ubraniach zabrudzonych wapienno-ceglanym pyłem. Sam pewnie jest już nim porządnie uwalany. Wiele tutaj nie trzeba. Ponure miejsce na umieranie. Na pewno każdy z odnalezionych nieboszczyków ginął w samotności, przerażony. Śmierć ma różne oblicza, ale to jest wyjątkowo okrutne. Nawet jeśli wszyscy mieli coś na sumieniu i sami byli gotowi zabijać bez wahania, umierać tutaj to coś strasznego.

Tymczasem z przodu ktoś się pojawił. Przystanął przyczajony, nasłuchujący. Mimo kompletnych ciemności Wrońskiemu zdawało się, że widzi zgęstek mroku o parę metrów od nich. Wstrzymał oddech. Kapitan uczynił to samo. Komisarz czuł, jak tamtemu wali serce. Sam też musiał mieć puls powyżej dwustu uderzeń na minutę, bo słyszał głośny szum w uszach. Wreszcie tajemniczy człowiek poruszył się. Pomaszerował w stronę, gdzie znikli Niemcy. Musiał doskonale orientować się w rozkładzie korytarzy, znać każdy ich centymetr, gdyż było słychać, że pomimo zupełnego braku światła nie potyka się, stąpa pewnie, bez wahania. Rany boskie, pomyślał Wroński, co to za miejsce? Pod poczciwym, dobrze znanym i spowszedniałym do imentu, pszenoburaczanym miastem znajdują się prawdziwe, rozległe katakumby. Labirynt korytarzy. Gdyby miejscowi dziennikarze mogli tu teraz zejść. Taki Niwa zfajdałby się w majtki ze strachu. Ale przynajmniej miałyby prawdziwy materiał, a nie kombinował tylko, jak z igły zrobić widły.

Baliński przystanął. Z przodu dał się słyszeć podniesiony głos.

— Ruch jak na Marszałkowskiej w godzinach szczytu — szepnął.

— Raczej jak w metrze. To bardziej pasuje do otoczenia.

Niespodziewanie padł strzał. Wszystko ucichło. Wroński odruchowo schylił się. W takich podziemiach trudno określić, czy huk rozległ się tuż przy uchu, czy o kilkadziesiąt metrów dalej. Równie dobrze mógłby ktoś celować w niego. Zaraz... celować? W ciemności?

Ale zanim myśl w całości przebiegła przez rozgorączkowany umysł, rozpętało się piekło. Odgłosy wystrzałów wypełniły zatechłe powietrze.

— Koniec zabawy — rzucił Baliński. Michał próbował przebić wzrokiem ciemności. Zdawało mu się, że dostrzega coś w rodzaju pomarańczowej łuny daleko z przodu, ale nie był pewien czy to nie złudzenie. Tymczasem kapitan szczęknął zamkiem pistoletu. — Nie pchaj

się tam. Nie masz broni. A poza tym któryś z nas powinien przeżyć. Zostań tu, albo lepiej wracaj do studni i sprowadź pomoc. Jakąkolwiek. Teraz tajemnica nie ma znaczenia. Musimy położyć łapę na materiałach, choćby nie wiem co.

Ruszył do przodu, zdecydowanym gestem zatrzymując komisarza na miejscu. Natychmiast rozpląnął się w ciemności. Michał przez mgnienie okaz rozważał co robić — pobiec jednak za Balińskim czy rzeczywiście posłuchać głosu rozsądku i wrócić do studni. To nie powinno być skomplikowane. Wystarczy iść po omacku zupełnie prosto, aż do rozwidlenia, a tam uważać, żeby nie wleźć w niewłaściwy korytarz. Zanim jednak zdążył podjąć decyzję, sytuacja sama się rozwiązała. Za plecami usłyszał tupot. Jak mógł zapomnieć! Ten Marcus, zostawiony na straży podążał swoim na odsiecz. Promień latarki biegnącego mężczyzny wydobywał z ciemności ceglane ściany i sklepienie. Latał i drgał jak opętany, w rytm pospiesznych kroków. Wroński nie miał szans umknąć. Ale musiał coś zrobić. Tamten na pewno jest uzbrojony. Odruchowo chciał się rozejrzeć i ogarnął go pusty śmiech. Jak można rozglądać się w zupełnych ciemnościach! W desperacji położył się tuż przy ścianie, wtulił jak umiał najmocniej w ciasny kąt, nogami w stronę biegnącego, ręce wyciągnął daleko nad głowę, kryjąc twarz w ramionach, dłoń zacisnął na rękojeści latarki. Przy odrobinie szczęścia tamten weźmie go za jakąś kłodę czy kupę gruzu, albo zupełnie nie zwróci uwagi na leżący kształt. A kiedy przebiegnie, będzie można go dopaść z tyłu. Trzeba go dopaść koniecznie! Przecież pierwsza osoba, na którą się natknie z przodu, to będzie Baliński.

Jednak nadzieja okazała się płonna. Marcus zatrzymał się. Przez uchylone szparki powiek Wroński widział wędrujący po nim snop światła. Czyżby za chwilę miał nastąpić koniec? Usłyszał pstryknięcie bezpiecznika. Teraz wystarczy delikatnie pociągnąć za spust. Jednak strzał nie następował. Zamiast tego poczuł szturchnięcie. No tak! Niemiec wziął go za trupa! Nie chce niepotrzebnie robić hałasu, inaczej dawno by strzelił. A teraz jedynie upewnia się, że znaleziony człowiek nie żyje. Ale zaraz może nabrać wątpliwości. Mocne kopnięcie w udo. To jeszcze można przeżyć. Ale jeśli teraz uderzy w brzuch albo głowę... Znów szcęknięcie. Ale tym razem bardziej metaliczne, brzęczące. Taki dźwięk wydaje tylko jedna rzecz — nóż sprężynowy. Nie ma już na co

czekać. Tylko element zaskoczenia może uratować życie.

Światło latarki zadrgało. Marcus pochylił się. Michał zacisnął pięść, nagarniając w nią wszechobecny pył, zmieszany z suchą ziemią. Tamten przyłożył mu ostrze do żeber. Już miał pchnąć, kiedy nagle natknął się na otwarte oczy domniemanego trupa. Chwila zawahania wystarczyła. Ręką uzbrojoną w latarkę Wroński zbił nóż. Było to tym łatwiejsze, że napastnik trzymał w tej samej dłoni razem sprężynowiec i własną lampkę. Oba przedmioty upadły. Pył i ziemię cisnął prosto w twarz Niemca. Tamten odskoczył, oślepiony. Światło padało skośnie z boku, dość dokładnie oświetlając ten odcinek korytarza. Michał zerwał się, silnym kopnięciem trafił tamtego między nasadę dłoni i nadgarstek. Pistolet poleciał szerokim łukiem. Marcus próbował za wszelką cenę zetrzeć z oczu gryzącą zasłonę. Komisarz nie bawił się w skrupuły. Nie było na to czasu, a poza tym, tak samo jak w przypadku Flapa, wiedział, że przeciwnik nie dałby mu żadnych szans. Uderzył go szpicem buta w brzuch. Niemiec zgiął się w pół, natykając się przy tym ruchu na rozpędzoną dolnym hakiem pięść, w której tkwił metalowy walec latarki. Zagrucotała miażdżona chrząstka nosa, sucho strzeliła kość jarzmowa. Michał, pokonując wewnętrzny opór, chwycił małżowiny uszne prawie już nieprzytomnego człowieka, uniósł jego głowę i trzasnął z całej siły o kolano. Poczul, jakby nagle zwinne i sprężyste ciało zamieniło się w szmacianą lalkę. Marcus z przeciągłym jękiem zwałił się na ziemię. Wroński podniósł nóż, szukał chwilę, wreszcie dostrzegł leżący o kilka kroków pistolet. Znajoma konstrukcja. Glock, ale nie siedemnaście, taki jaki mu skonfiskowali rano, tylko kompaktowa dziewiętnastka z krótszą lufą. Szlag by tych szpiegów trafił. Taka broń dobra jest dla agenta na pokładzie samolotu albo ochroniarza w ciasnych pomieszczeniach, a nie do prowadzenia normalnej akcji. Trudno. Jak się nie ma co się lubi... I tak lepsze to od służbowego pistoletu.

\*

Ile padło już strzałów? Pędził tak szybko, jak mógł, potykając się o kawałki cegieł i porzucone kilkadziesiąt lat temu przedmioty — puszki na maski gazowe, stare konserwy, jakiś chlebak. A z przodu za zakrętem grzmiało. Ten zakręt pod kątem przeszło dziewięćdziesięciu stopni właśnie sprawił, że łuna, którą dostrzegł poprzednio zdawała się złudzeniem. Ilu ludzi wali tam do siebie? Ile mają amunicji? Przed

załomem przystanął. Huk wystrzałów i krótkie błyski ognia z luf, błędzące światła latarek... Natychmiast zgasił swoją. Wtedy wyczuł obok ruch. Przestraszony, nie myśląc nawet, co robi, kucnął i rzucił się w tył. Zrobił to, bo spodziewał się strzału, chciał zejść z linii ognia. Zamiast tego usłyszał nad głową mokry łopot. Uderzył łokciem w bok. Trafił w coś miękkiego. W tej chwili na twarz spadła miękka, wilgotna szmata, zalatująca dziwnym chemicznym odorem. Wstrzymał oddech i strzelił na oślep. Raz, drugi, trzeci. Opróżnił pół magazynka, zanim materiał spadł na ziemię. Strzały zlały się z kanonadą dobiegającą z przodu.

Co to było? Czuł zawrót głowy i mdłości. To pewnie przez ten dziwny zapach. Potknął się o leżące pod nogami ciało. Poświecił. Martwa twarz o wytrzeszczonych oczach. Skądś znajoma... Skąd? Niedawno ją przecież widział... Tylko gdzie? Przetarł oczy. Żeby ta przeklęta mgła ustąpiła. Znów wystrzały, tym razem rzadsze. Oszołomienie spowodowało, że słyszał je nieostro, jakby dolatywało jedynie ich odległe echo. Patrzył na twarz trupa i nagle dotarło z całą mocą zrozumienie. Rany boskie, czy to możliwe?! Piekło i szatani, toż to nie kto inny jak pan Witek z domu przy studni! Nigdy nic nie widział, nie słyszał zawsze spał on i jego rodzina... Czy całe miasto jest zamieszane w tę sprawę? Co w takim razie z Dorotą? Miał nadzieję, że nie stała jej się krzywda. Dobrze, że nie wrócił do studni. Nie byłoby po co. A ten tutaj dotarł jeszcze inną drogą. To pewnie łączyło się z tym podmuchem powietrza, który wziął za skutek działania otworów wentylacyjnych.

Czuł łupanie w skroniach. Jakim świństwem została nasączona ta przeklęta szmata? Gdyby miał ją na głowie dłużej i musiał jeszcze wciągnąć powietrze, straciłby na pewno przytomność. Nieco chwiejnym krokiem, pokonując słabość w kolanach i ból głowy, poszedł w stronę kanonady. Gdyby był w pełni władz umysłowych, z pewnością zastanowiłby się nad sensownością takich poczynań. Ale umysł Michał pozostawał spowity w opary uniemożliwiające trzeźwą refleksję.

Wytoczył się zza zakrętu nagle, wpadł w sam środek wymiany ognia i runął na twarde podłoże. To uratowało mu życie, gdyż ledwie się pojawił, padły w jego kierunku przynajmniej cztery strzały. Chciał się podnieść, ale miał wrażenie, że kule fruwały w powietrzu gęsto niczym rój wściekłych os. Strzelający najwyraźniej uznali, że oberwał, bo nikt się nim więcej nie zainteresował. Leżał w najgłupszym miejscu, jakie mógł

sobie wybrać. Skrzyżowanie pięciu korytarzy tworzyło całkiem sporą komorę, oświetloną teraz migotliwymi, błędnymi snopami światła z latarek. Pod ścianą z prawej strony stała wprawdzie porządna gazowa lampa, ale raczej przyczyniała się do powiększenia chaosu niż pomagała rozpatrzeć się w położeniu. A on spoczął na samym skraju kręgu światła, pod ścianą między wylotami korytarzy. Nie pozostawało nic innego, jak udawać nieboszczyka. Nie miał pojęcia, gdzie kto jest i ilu agentów znajduje się w tym miejscu. Mógł się tylko domyślać, że Baliński powinien być gdzieś za nim. Ale co do reszty... Od zakończenia drugiej wojny światowej podziemia na pewno nie gościły tylu ludzi w jednym czasie.

Strzał i krzyk. Rozpaczliwy głos, jaki wydać może tylko umierający. Potem drugi i trzeci. Szybki grzechot, jęczący odgłos rykoszetów. Jakiś idiota strzela z broni maszynowej! Michał poczuł szarpnięcie przy udzie i gorący podmuch. Zabłąkana kula musiała przeszyć spodnie. Wreszcie kanonada ucichła. W martwej ciszy rozległ się tubalny głos.

— Nie macie już pestek, panowie! A mnie zostało jeszcze z pięć magazynków. Mam też zwykły pistolet i granaty. Kto się ruszy bez pozwolenia, zginie! Wyłazić! Ręce do góry i na środek. Werner, ty pierwszy! Wiem, gdzie jesteś. W korytarzu od strony więzienia! Nie próbuj uciekać! Rzucić ci odbezpieczony i fachowo zaostrzony granat?

Po chwili w kręgu światła rzucanego przez gazową lampę pojawił się człowiek.

— Teraz spluwa. Wyjmij magazynek, przeładuj i na ziemię. A ty stój. Pozostali to samo i tak samo. Jedna uwaga. Nie jestem sam. Gdzieś tu są moi ludzie. W każdym korytarzu. Zatem wszyscy macie takiego stróża za plecami. Jestem z brytyjskiego wywiadu. Dogadamy się, ale nie róbcie głupstw. To się nazywa sytuacja patowa. Wszyscy musimy zdobyć materiały, nawet za cenę życia. Ale możemy też się porozumieć. Biznes to biznes.

Gdzieś z lewej strony z przodu rozległ się strzał i jęk. Na środek wyskoczył niski mężczyzna, trzymając się za brzuch. Zgiął się w pół, upadł na bok.

— Widzicie? Ten chciał się urwać. Kto następny?

Zaczęli wpełzać ze wszystkich stron. Pięciu. Po chwili dołączył jeszcze Baliński.



Człowiek, który przed chwilą wytoczył się z korytarza i skonał, teraz poruszył się, podniósł, odszedł na bok.

— Daliście się nabrać, panowie na taki prosty numer. Strach ma jednak wielkie oczy. A teraz do rzeczy. Według moich wyliczeń powinno być nas dwunastu. Sprawdź! — rzucił do zmartwychwstałego.

Ten podjął latarkę, obszedł korytarze. Po chwili rozległ się strzał.

— Zgadza się — powiedział w przestrzeń, stając pośrodku. Miał charakterystyczny akcent. Na pewno nie angielski. Michał wstrzymał oddech, a zabójca raportował. — Sześciu tutaj, i czterech zabitych w korytarzach. Jednemu musiałem trochę pomóc. Ale już się uspokoił. Plus my dwaj. A ten nieboszczyk — wskazał na Michała, ledwie widocznego na granicy światła lampy — jest nadprogramowy. Z kimś się przywłókł.

Wroński pomyślał, że w głębi korytarza przecież jest jeszcze Marcus, więc rachunek nie powinien się zgadzać. Ale zaraz nadciągnęła myśl o martwym Witku. Oprawca musiał też go zaliczyć do grona agentów. A z tego wynika, że nikt się nie spodziewał tutaj właściciela domu przy zamkowych błoniach. Kim on jest? A właściwie — kim był? Oszołomienie spowodowane zawartą w szmacie substancją mijało. Oddychał bardzo powoli, powstrzymywał kaszel, chociaż nos i usta zapchane miał wszędobyłskim pyłem.

— Panie kapitanie — odezwał się głos z ciemności. — Mówię do jedyne go Polaka w naszym gronie. Proszę podejść do lampy i przenieść ją trochę dalej. Pilnuj go, Wiktor. Reszta na kolana i bez numerów.

Baliński posłusznie odszedł na bok. W tej chwili rozległa się seria. Klęczący ludzie na darmo starali się umknąć przed kulami. Na klęczkach trudno uczynić sensowny unik. Po chwili leżeli jeden obok drugiego. Kapitan szarpnął się, ale znieruchomiał, bo stróż wetknął mu lufę pistoletu między zębra. A w świetle lampy pojawiła się potężna postać. Michał wstrzymał oddech. Flap. Zaginiony podobno Wiesław.

— Ty szmato — powiedział nieoczekiwanie spokojnym głosem Baliński. — Ty przekłete ścierwo. Pracujesz dla Rosjan. Powinienem się wcześniej domyślić.

— Szefie — odezwał się Wiktor. — Kropnąć go?

— Nie bądź durny — fuknął Flap. — Nie po to go oszczędziłem, żebyś miał zabawę. On nam się przyda. Jura przecież zginął.

— Rozumiem. A ten się zna?

— Co głupio pytasz? Łap za kilof i zasuważ. Nie mamy czasu. Już ja go dopilnuję.

— Ścianę mam rozwalić?

— Jaką ścianę? Esesmani nie mieli czasu kuć i maskować ścian. Prościej im było wykopać dół, a potem zrobić kamuflaż. Wala się tyle gruzu, że to była kwestia paru minut.

— To gdzie mam zacząć?

— Na środku i leć w każdą stronę. To nie boisko piłkarskie. W dwie godziny powinniśmy znaleźć. Pan kapitan zresztą pomoże. Prawda?

— Kiedy zacząłeś pracować dla KGB? — spytał Baliński.

— To niedobre pytanie. Powinno brzmieć, kiedy przeniknąłem do waszych struktur wywiadowczych. I nie dla KGB, ale GRU. Zwerbowali mnie jeszcze na studiach.

— Ty zabiłeś Janusza?

— Nie. Wiktor. On miał dyżur w ratuszu. A Darek oberwał i z mojej ręki, i jego ręki. Ale nie jestem pewien, kto go dokładnie wykończył. Nie było możliwości dłubać w ranach po pociskach. Jak znam życie to Wiktor. Lepiej strzela.

— Ale odpowiesz tak, jakbyś sam to zrobił.

Rozległ się nieprzyjemny rechot obu rosyjskich agentów.

\*

Michał zdrętwiał, leżąc długi czas w tej samej pozycji. Oddałby wiele, żeby móc chociaż poruszyć prawą nogą, która dokuczała szczególnie. Zupełnie, jakby ktoś wbijał w nią wielką igłę. Miał poczucie, że odzyskał wreszcie pełnię władz umysłowych. King Kong uważnie śledził poczynania Balińskiego. Pistolet trzymał w pogotowiu. Co on przedtem powiedział? Że jest z brytyjskiego wywiadu? A kapitan zarzucił mu, że pracuje dla Rosjan. Właściwie wynika z tego, że Wiesiek jest pracownikiem wojskowego wywiadu Rosji od bardzo długiego czasu. Dlaczego ktoś, kto urodził się Polakiem robi coś takiego? Tylko dla pieniędzy? Podobno Rosjanie potrafią wyłożyć sporo gotówki na działalność szpiegowską.

Tymczasem kapitan z Wiktorem pracowali. Trupy zastrzelonych zostały przeniesione do jednego korytarza, żeby nie przeszkadzały. Wrońskiego pozostawiono na razie w spokoju. Ale tylko patrzeć, jak się tutaj zbliżą i wytargają go gdzieś dalej. Do ogólnego stanu potwornej

niewygodny dołączał się pistolet, który uwierał w brzuch. Wypadł mu z ręki przy upadku i znalazł się pod nim. Odbezpieczony, wystarczy sięgnąć i pociągnąć za spust. Ale jeśli się tylko ruszy, seria z pistoletu maszynowego rozpruje go na pół, jak tamtych nieszczęśników. Gdyby zdarzyło się coś, co odwróci uwagę Flapa i jego pomagiera... A tak będzie musiał improwizować, jeśli zechcą go przenieść. Rosyjski agent może się przecież zorientować, że komisarz żyje.

Tymczasem Baliński wyprostował się.

— Coś jest — powiedział. — Jakiś dziwny pogłos.

Michał odetchnął z ulgą. Jeśli tego szukali, do niego już może nie dotrą. Wiesiek gestem nakazał kapitanowi odejść, a jego miejsce zajął Wiktor. Odgarnął ziemię i gruz, uderzył styliskiem kilofa.

— Faktycznie. Jakby pusta przestrzeń pod spodem.

— Kuj!

Po kilku minutach agent wydobył na wierzch deski. Zajrzał, przyświecając sobie latarką.

— Całkiem duża komora. Dobrze się przygotowali.

— Niemcy zawsze lubili ryc w ziemi — zaśmiał się Flap. — Jeśli to takie duże, pewnie planowali schować tu więcej rzeczy, ale front szedł zbyt szybko, musieli się związać. Wskakuj, kapitanie. Sprawdzisz, czy nie ma jakiej miny albo innej cholery.

Baliński ostrożnie zszedł do dołu. Wynurzył się po chwili.

— Wygląda w porządku. Nie ma zabezpieczeń.

— Mam nadzieję, że dobrze sprawdziłeś, bo teraz będziesz ją wyciągał. Pomóż mu, Wiktor.

Rosjanin wskoczył do komory. Stękając z wysiłku wydobyli z Balińskim solidną drewnianą skrzynię z wojskowymi oznakowaniami i dużą swastyką.

— Z ziemi wylazły jeszcze jakieś kości — oznajmił Wiktor.

— Pozbyli się niewygodnych świadków — odparł Flap obojętnie. — Normalnie. Każdy by tak zrobił. Oglądał z uwagą skrzynię. Wiktor tupnął niecierpliwie.

— Czas ucieka. Odbijać, szefie?

— Zgłupiałeś? A jeśli w środku jest bomba? Niemcy lubili takie zabawki. Skoro nic nie zostawili w przejściach, nie podłożyli w komorze, mogli zabezpieczyć samą skrzynię. Pan kapitan otworzy.

Baliński spojrzał ponuro.

— Nie wygląda na zaminowaną.

— Nie pytam jak wygląda, tylko każę fachowo otworzyć. Nasz saper zginął, mówiłem przecież. A ty jesteś przeszkolony. Już!

Kapitan obejrzał uważnie skrzynię. Wyciągnął rękę. Wiktor podał mu łom. Baliński jednym uderzeniem zerwał kłódkę. Ostrożnie uwolnił zasuwę ze skobla, powoli ją przesunął, a potem niespodziewanie gwałtownym ruchem podniósł wieko.

— Kurrrr... — zaklął Flap — chcesz nas zabić, kutasie? A gdyby tam była mina? — urwał nagle. — Masz jednak jaja, kapitanie — zarechotał. — Liczyłeś, że może coś walnie i wypieprzy w powietrze nie tylko dokumenty, ale i nas? No to przeliczyłeś się. A teraz odejdz. Zobaczymy, co nam zostawili faszyci od von Brauna. Amerykańce z nerwów dostaną wysypki.

W tej chwili przy wejściu z korytarza, którym dotarli tu z Balińskim, pojawiła się jakaś postać. Niesamowite! Wroński rzucił okiem z niedowierzaniem. Faktycznie ruch w tych podziemiach jak na Wielkanoc w pałacu ślubów. Tym razem kto? Człowiek słaniał się na nogach, musiał się oprzeć o ścianę. Potem ruszył przed siebie niepewnym krokiem. Wszedł w krąg światła. Zakrwawiona, zmiażdżona właściwie twarz, jedno oko zapuchnięte tak, że prawie go nie widać, Chrapliwy, głośny oddech. Wroński domyślił się już. To bezwzględnie przez niego potraktowany Marcus. Przybyły wyciągnął przed siebie rękę, szukając jakiegoś oparcia. King Kong zrozumiał ten gest jednoznacznie. Nie przyglądał się, czy intruz ma broń, ale posłał w jego stronę serię. Na jej końcu zamek szczęknął sucho. Koniec magazynka. Wiktor natychmiast wziął na cel Balińskiego. Wtedy Michał zdecydował się działać. Przetoczył się na bok, wyrwał spod siebie pistolet i skoczył. A raczej zamierzał skoczyć, bo ledwie się poderwał, legł znów jak długi. Prawa noga odmówiła posłuszeństwa, załamała się pod nim. Poturlał się więc pod przeciwległą ścianę. Pociski z pistoletu Wiktora uderzyły w miejsce, gdzie jeszcze przed chwilą leżał. Ale komisarz już trzymał glocka pewnym chwytem, już naciskał spust. Celował najpierw we Flapa, widząc, że zdążył załadować broń i kieruje w jego stronę lufę. Trysnął z niej ogień. Jednak rosyjski agent spóźnił się o ułamek sekundy. Michał wystrzelił pierwszy. King Konga rzuciło do tyłu, na ubraniu wykwitły

wloty kul, a seria poszła obok Wrońskiego i po ścianie. Tymczasem Wiktor otworzył ogień. Oddał dwa, może trzy strzały, ale nagle wrzasnął i wypuścił pistolet. Na jego rękach wylądował bowiem ciężki łom. Znów krzyknął, kiedy żelazo uderzyło go w goleń. Zaraz jednak umilkł, bo Baliński, korzystając z impetu nadanemu narzędziu, zawinął nim i opuścił je z góry, miażdżąc przeciwnikowi czaszkę. Nim Wroński stracił przytomność, zobaczył tryskający na wszystkie strony mózg.

\*

Ocknął się z poczuciem dziwnej lekkości. Jakby opuścił ciało i unosił się nad nim. Wrażenie jednak zaraz minęło, a nadszedł przenikliwy ból w prawej nodze i prawym boku. Baliński siedział na skrzyni, przeglądając jakieś pożółkłe papiery. Wroński widział druki zaopatrzone czarnym orłem z hakenkrojcem, o wielkich tłustych nagłówkach wydrukowanych nachalną szwabachą.

— Co to jest? — spytał. Nie poznał własnego głosu. Przez wyschnięte, zawalone pyłem gardło wydobył się dziwny, chrapliwy wizg. Odchrząknął, chwilę kaszłał. Poczuł dotkliwy ból z lewej strony ciała i wilgoć na ustach. Otarł je. Na przegubie zobaczył rozmazaną krew. Rozbił sobie wargi albo przygryzł język. Gazowa lampa świeciła bardzo jasno. Widocznie kapitan rozkręcił ją na całą moc.

— Obudziłeś się? — Baliński spojrzał znad okularów. Wyglądał w nich na o wiele starszego niż normalnie. — Jesteś ranny. Ale wyliżesz się. Postrzał w prawe udo już się sam zasklepił. Musiałeś oberwać, kiedy jeszcze trwała strzelanina, pewnie zaraz kiedy tu wlałeś. A bok masz rozorany, ale tylko powierzchownie. Zatamowałem krew.

— Co jest w tej skrzyni?

— Interesujące rzeczy. Ale nie to, czego się spodziewaliśmy. Ja i ci wszyscy straceńcy.

— A czego się spodziewałeś? Czegoś związanego z von Braunem i Heisenbergiem, tak? Chodziło o napęd jądrowy do wielkich rakiet?

— Właśnie. Widzę, że zdążyłeś się zorientować. Miałem co do ciebie rację. Inteligentny i zdolny glina. Napęd jądrowy dla rakiet... O to cała wojna. Bezwzględna walka wywiadów na tym terenie zaczęła się kilka miesięcy temu. Wtedy zaczęliście znajdować trupy. Ale nie mam pojęcia, kto dokonywał zabójstw. Wiem tylko na pewno, że tego Anglika, który oberwał z shotguna w twarz wykończył ktoś od Rosjan. Ale pozostali...

— Zjrzyj do korytarza, z którego przyszliśmy. Sam zobaczysz, kto to mógł być.

Baliński poszedł z latarką. Wrócił po chwili, cmoknął ze zdziwieniem.

— Nasz miły gospodarz. Zdumiony, zszokowany odnalezieniem przejścia Wituś. Popatrz, o włos uniknęliśmy śmierci... teraz rozumiem, dlaczego wierzch zawału było tak łatwo odgarnąć. Ten facet korzystał z tej drogi, przynajmniej od czasu do czasu...

— I znał jakieś inne przejścia, skróty. Poruszał się po ciemku, jakby miał noktowizor.

— Lata doświadczenia, niewątpliwie.

— Nie rozumiem tylko, dlaczego nikt tu nie miał takiego sprzętu.

— Latarki, Michale. Latarki i strzały. Wiesz, co się dzieje z oczami porażonymi mocniejszym źródłem światła? Można było przewidzieć, że zejdzie tu więcej ludzi. Bezpieczniej wtedy działać przy bardziej prymitywnych metodach rozpoznawania otoczenia. A nasz miły pan Witold rzeczywiście musiał doskonale znać układ podziemi. Obszukałem go. Nie ma przy nim zupełnie nic, nawet zwykłej zapalniczki.

— Kim on był? Dla kogo pracował?

— Jeszcze nie mam pewności, ale się domyślam. Jest jednym z brakujących ogniw w układance. Tajemniczy człowiek, najprawdopodobniej niezwiązany konkretnie z żadnym wywiadem, zabijał każdego, kto się zapaścił w podziemia. Ani ja, ani żaden z agentów innych państw nie mógł czuć się bezpieczny schodząc tutaj. To dlatego dzisiaj tylu się ich znalazło. Chodziło o wzajemne ubezpieczenie. Gdyby nie to, rzeźnia byłaby o wiele mniejsza. Ale, jak widzę, toczyliśmy batalię o bezwartościowe notatki. Jest tu odpis niesłychanie ciekawej dokumentacji, także z biura współpracującego z von Braunem, ale dotyczącej przebrzmiałego dawno superdziała, a nie napędu atomowego. Ostatnim kretynem, który chciał mieć taką armatę był Saddam Husajn.

— Znasz się na tym?

— Trochę — roześmiał się kapitan. — Oprócz tego, że pracuję w wywiadzie, jestem doktorem fizyki jądrowej i inżynierem metalurgii. I saperem, jak się już pewnie domyśliłeś. Mamy tu kolejny ślepy zaułek w wyścigu poszukiwaczy odkryć hitlerowskich naukowców. Nagrodą główną dla zwycięzców dzisiejszego wyścigu miały być plany

rakietowego silnika uranowego. Rewolucja w przemyśle rakietowym, nowa droga rozwoju. A to tutaj zainteresuje raczej archiwistów i badaczy pomysłów różnych idiotycznych odmian *Wunderwaffe*.

Wroński chciał jeszcze o coś zapytać, ale zamiast tego znów się rozkaszłał. Otarł usta. Tym razem krwi było więcej, ciągnęła się za dłońią cienkimi nitkami, najwyraźniej zmieszana z jakimiś innymi płynami ustrojowymi.

— Słuchaj — wymamrotał — ja chyba mam uraz wewnętrzny. Jucha cieknie mi z ust razem ze śluzem. Baliński skoczył ku niemu, porzucając dokumenty. Zobaczył, że komisarzowi oczy uciekają w głąb czaszki. Podniósł go, poczuł wilgoć pod ręką podtrzymującą plecy. Dopiero teraz dostrzegł niewielki otwór na wysokości żeber z prawej strony. Pod wpływem ruchu wyciekła z niego strużka krwi.

— Niech to szlag! Przeoczyłem ranę. Była zasłonięta oddartym kawałkiem ubrania. Pewnie cię postrzeliła ta świnią — wskazał na leżącego z rozbitą czaszką Wiktora. — A może któraś kula ze skorpionia Wieśka. Nieważne. Musimy jak najszybciej dotrzeć do lekarza.

— Jak? Przez studnię nie dojdziemy. Dorota, jeśli nawet żyje, nie przyjdzie z pomocą. Już ten Witek się postarał.

— Właśnie — poderwał się kapitan. — Że też od razu o tym nie pomyślałem. Może potrzebna jej pomoc. Trzeba się spieszyć.

Michał uśmiechnął się z przymusem.

— Idź. Zostaw mnie. Sam szybciej dasz radę sprowadzisz pomoc. I zobaczysz, co z nią.

A potem zapadła ciemność. Nie od razu. Jeszcze przez chwilę pływał po powierzchni świadomości, słyszał gorączkową krzątaninę Balińskiego, ale stopniowo wszystko stawało się coraz bardziej odległe, obojętne i nieistotne. Śmierć ma o wiele lżejszą rękę niż można się spodziewać. Tą myślą zegnał się ze światem.

Nad głową miał jasne niebo. Tak jasne, że raziło nieskazitelną bielą. Czy tak właśnie ma wyglądać świat po tamtej stronie? Opowieści mówią raczej o długim ciemnym tunelu i świetle na końcu. A może pogrążony w nieświadomości przebył już tunel, znalazł się w jądrze owego światła? Z trudem rozwarł powieki. Miał wrażenie, że zostały posmarowane mocnym klejem. Wreszcie się udało. Jednak w chwili, gdy otworzył oczy, znów musiał je zamknąć. Po niedawnych ciemnościach podziemi blask był nie do zniesienia. Za to zyskał pewność, że rzeczywiście jest już po drugiej stronie. Rzeczywiście? Zaraz nadeszła wątpliwość. Czy po śmierci może głowa boleć tak, że zbiera się na mdłości?

— Budź się wreszcie, człowieku — nad uchem zabrzmiał znajomy kobiecy głos. — Ile będziesz jeszcze się wylegiwał?

Pokonując ból i przeraźliwie rażący poblask, otworzył oczy.

— To ty? — wymamrotał. — Jak? Skąd?

— Ten twój znajomy, Baliński, przywiózł mnie tutaj.

Milczał przez chwilę, zanim zapytał.

— Madziu...

— Tak?

— Długo już przy mnie siedzisz?

— Od wczoraj. Nic nie pamiętasz? Podobno kiedy cię przywieźli do szpitala, miałeś strasznie dużo do powiedzenia.

Wsłuchał się w siebie. Nie potrafił sobie przypomnieć nic, co nastąpiło po rozmowie z kapitanem, zanim stracił świadomość.

— Gdzie Patryk? — ogarnął go nagły niepokój.

— Został u... — urwała.

Trwało chwilę, zanim dotarło do niego, co oznacza zająknięcie się żony. Zdawało mu się, że cały wbija się w poduszki ze złości, żalu i upokorzenia.

— Musiałaś go jednak zawieźć akurat tam, do tego swojego Jarusia?

— Uznałam, że tak będzie najbezpieczniej. Sam mówiłeś, że powinnam dobrze się ukryć. Miałeś rację. Po drodze wstąpiłam do domu. Jest splądrowany, wszystko porozrzucane... Dobrze, że pojechałam do...



do niego. U rodziny łatwiej by było nas znaleźć.

— Jak widzisz, Baliński odszukał was bez trudu nawet u twojego gacha. Chciałaś po prostu pojechać do kochanka i pojechałaś. Nie dorabiaj do tego ideologii. A teraz odejdz. Chcę zostać sam. Nie mamy sobie nic więcej do powiedzenia.

— Ale — głos jej zadrżał — ale ja cię Kocham...

— Nie kłam, nie potrzebuję tego. Lekarz na pewno powiedział, że mam się nie denerwować. Ale świadomość, jak między nami jest już mnie nie zabije ani nawet nie pogorszy mojego stanu. Odejdz. Szkoda, że jednak nie umarłem.

Słuchał jak żona płacze, ale nie potrafił znaleźć w sobie sił, żeby jej powiedzieć coś życzliwego. Prędzej czy później musiało się tak skończyć. Niech będzie z głowy już teraz. Ona pójdzie swoją drogą, a on... Nieważne. Tylko Patryk... Ale chłopak już zaczął się domyślać, co w trawie piszczy. Ile jeszcze mogli przed nim grać? Miesiące? Rok? Nie dłużej. Dzieci zawsze najbardziej cierpią na kłótniach dorosłych.

\*

Baliński wyniósł go z podziemi na własnych plecach. Tyle Michał dowiedział się od lekarza. Wyniósł i poszedł do najbliższego domu wezwać pogotowie. Ale nie pozwolił zamknąć Wrońskiego w oleśnickim szpitalu. Kazał go wieźć na Weigla do Wojskowej Kliniki we Wrocławiu. Lekarzowi, który protestował i upierał się, żeby rannego dostarczyć do macierzystego ośrodka, najpierw pokazał legitymację służbową, a kiedy ten dalej chciał robić swoje, wyjął pistolet i w niewybrednych słowach opowiedział mu, jaki los go czeka, jeśli nie wypełni polecenia. A potem zadzwonił do kliniki i w równie nieogledny sposób wyłuszczył lekarzowi dyżurnemu swoje oczekiwania. Dzwonił potem jeszcze kilkanaście razy dowiadywać się o stan zdrowia pacjenta.

Doktor pogotowia, który wypełnił polecenia kapitana, na drugi dzień napisał na niego skargę do ministra spraw wewnętrznych. Chciał, żeby za groźenie bronią bez ważnego powodu poniósł surowe konsekwencje. Nawet wyżsi funkcjonariusze nie mogą być bezkarni.

— Co tu dużo gadać, pewnie uratował panu życie. W waszym szpitalu tylko by pana ustabilizowali i tak czy inaczej wysłali do Wrocławia, a tak znalazł się pan na miejscu dobre kilkadziesiąt minut szybciej. A tamtemu z pogotowia pogroził, bo gość nie miał

najmniejszego zamiaru dać się przekonać po dobroci. Co prawda ponoć kapitan dokładnie opisał co i w jakiej kolejności mu odstrzeli, a także przedstawił skutki odpalenia granatu w odbycie, ale w takich nerwach... nie ma co się dziwić.

W tej chwili Wroński pożałował, że parę razy załazł kapitanowi za skórę. Ale co robić. Tak to bywa, jak człowiek się konspiruje, nie ma zaufania do nikogo. Naraża się na podobne przykrości ze strony otoczenia.

— Kiedy wyjdę ze szpitala?

— Najwcześniej za dwa miesiące — lekarz rozłożył ręce. — Jeżeli nie będzie komplikacji. Odniósł pan poważne obrażenia. Sporo mieliśmy przy tym dłubaniny. Postrzał w udo z kalibru dziewięć i bok przestrzelony kalibrem siedem sześćdziesiąt dwa to pestka. Jednak płąt lewego płuca rozwalony, penetracja odłamkami organów wewnętrznych znowu z dziewiątki, ale tym razem pocisk się rozpadł. Ten, kto strzelał to wyjątkowy sukinsyn. Takiej amunicji używają nieformalnie jednostki specjalne na groźnych bandytów. Albo stosują ją właśnie bandyci. Do której kategorii ten się zaliczał?

— Myślę, że najbliższej prawdy będę mówiąc, że właśnie bandzior. Chociaż z cenzusem ruskiego patrioty.

Tak, to musiał być Wiktor. Flap walił z maszynowego, szły rykoszety, więc raczej używał konwencjonalnych pocisków. Ale Witia, zabójca Janusza i tajemniczego Darka... On mógł mieć w magazynku cięte naboje, swołocz posowiecka! Kiedy o tym pomyślał, z satysfakcją wspomniął widok rozsypującej się pod łomem czaszki agenta GRU.

— Jutro będzie miał pan gościa.

— Kogo? — próbował podnieść się na łokciu, ale doktor stanowczym gestem zabronił mu się ruszać.

— Nie mogę powiedzieć. Jutro się pan przekona.

— Czy mogę stąd zadzwonić?

Lekarz stanowczo pokręcił głową.

— Absolutnie nie! Kapitan Baliński zabronił. Jak znam życie, nie chce, żeby pan z kimś rozmawiał, zanim sam z panem nie pogada. I pewnie ma rację. Ten lekarz pogotowia ma długi język. Już tu wydzwaniali z gazet, radia, a nawet z jakiejś telewizji powiatowej. Szczególnie zajadły jest jeden dziennikarz... ma takie dziwne nazwisko...

— Niwa?

— O, właśnie! Niwa. Pan go dobrze zna?

— Aż za dobrze. Najlepiej mu powiedzieć, że umarłem. Będzie miał o czym pisać. Już widzę, jak się ślini, wymyśla szokujące tytuły. *Policjant o podejrzanym koneksjach nie żyje* albo *Wypadek czy zemsta mafii*.

— Na razie, panie komisarzu, to dla takich ciekawskich mamy jedną wersję. Pana na moim oddziale w ogóle nie ma. Doktor z pogotowia musiał być albo pijany albo mocno zmęczony, jeżeli twierdzi, że tu pana przywieziono.

— Rozumiem. Tajności w tajnościach, poufne łamane przez ściśle-tajne-spec-znaczenia. A kierowca i sanitariusze?

— Z tego, co wiem, już następnego ranka byli przekonani, że im się to wszystko tylko przyśniło.

— Pieniądze czy groźby?

— Panie Wroński — lekarz zrobił zboląłą minę — kogo pan wypytuje? Czy ja jestem jakimś agentem, pracownikiem wywiadu, kontrwywiadu czy innych służb specjalnych? Wyglądam na takiego?

— A jak taki wygląda? Na czole ma to wypisane? Uważam, że wie pan więcej niż się wydaje. I nie zdziwiłbym się, gdyby był pan bardzo mocno związany z tym wszystkim.

— A pan jest bardzo niebezpiecznym człowiekiem.

Michał uśmiechnął się, chociaż daleko mu było do wesołości.

— Co pan chce przez to powiedzieć?

— Tylko tyle, ile powiedziałem. A teraz proszę odpoczywać. Siostra zaraz poda panu nową kroplówkę i antybiotyki.

Został sam ze niewesołymi myślami. Po chwili zjawiła się pielęgniarka, ale ani ona nie była specjalnie rozmowna, ani on nie miał ochoty na konwersacje. Zamknął oczy, starając się zasnąć. Był pewien, że nie da rady. Sen nie przyjdzie na zamówienie, nie pojawi się Morfeusz gotów ukoić skołatany umysł. Ale musiał być bardzo wyczerpany, bo zanim zdążył do końca wyrazić w myślach wątpliwości, spał jak dziecko.

\*

Oczywiście zapowiedzianym gościem był Baliński. Rozsiewał wokół siebie nieodparty urok osobisty i zapach drogiej wody kolońskiej. Przy nim nawet leniwa i ślamazarna siostra Maria dostała przyspieszonych ruchów. Michał z niechętnym uznaniem musiał przyznać, że facet ma styl

i może się podobać kobietom. Właśnie, kobietom...

— Co z Dorotą? — spytał od razu.

— Jest jeszcze w szpitalu.

— Coś poważnego? — próbował się podnieść, ale opadł z jękiem. Poszarpane wnętrzności dawały o sobie znać przy każdym, najmniejszym nawet ruchu.

— Już nie. Ale było z nią krucho. Ten facet zostawił ją ze szmatą na głowie. Zmoczona została taką samą substancją jak ta, którą próbował ciebie przyhaczyć.

— Kto to w ogóle był. Udało się ustalić?

— Właśnie to jest najciekawsze. Nie do uwierzenia. Rodzina zupełnie nic nie wiedziała o jego podwójnym życiu. Wszyscy zostali nawet przebadani wariografem. Nic, rozumiesz? Zero, null! Ani żona, ani córka, ani nawet syn! Na syna liczyłem najbardziej, bo przecież powinien być najlepiej zorientowany w poczynaniach tatusia, nawet gdyby to była bardzo mglista orientacja. Żadnych śladów, żadnych poszlak. Zwyczajny pracownik gazowni. W biurze siedział od gwizdka do gwizdka, żadnych skoków w bok, czasem poszedł z kolegami do knajpy, ot i wszystko. Niczego wielkiego w życiu nie dokonał, nie wyróżniał się. Taki powinien być doskonały strażnik tajemnicy. Została nam po nim tylko szmata. Znaleźliśmy w piwnicy balon wypełniony podejrzaną cieczą, tą samą, jaką nasączył materiał. I nie zgadniesz, co się okazało. Skąd, a raczej z jakiego okresu jest receptura na to świństwo!

— A może jednak zgadnę? — uśmiechnął się przekornie Michał. — Mogę? Świetnie. To jakieś chemikalia z drugiej wojny światowej. Jak przypuszczam, używała czegoś takiego w tajnych akcjach Abwehra, gestapo albo SS, a może nawet wszyscy po kolei.

— Brawo — kapitan pokiwał z uznaniem głową. — Naprawdę bystry jesteś. To mieszanka różnych egzotycznych środków. Można tym oszołomić słonia, można też zabić. Kwestia przyjętej dawki. Przy tym szybko się rozkłada i ulatnia z organizmu...

— Te trupy, które miały we krwi śladowe ilości jakiejś trucizny...

— Właśnie. Nasz przyjaciel od studni pracował kiedyś na pewno dla enerdowskiej komórki wyodrębnionej do pilnowania, żeby ktoś przypadkiem nie wygrzebał cennych hitlerowskich skarbów. Wiemy o tym wydziale niewiele, a właściwie prawie nic. Jeszcze się nie zdarzyło,

żeby któryś wpadł w ręce policji czy kontrwywiadu i dał się przesłuchać. Wolą śmierć. Czego jestem pewien na sto procent to tego, iż wraz z upadkiem komuny jego mocodawcy nie przerwali działalności. Mówiłem już o tym przed tą całą rozpierduchą. Inne pozostałości po służbach informacyjnych byłego NRD przeszły w pełni pod zarząd różnych sił, jedni zaprzękali się zachodniemieckim agencjom, drudzy CIA, inni KGB czy GRU, jeszcze inni brytyjskiemu MI6, ale ci od ochrony zbrodniarzy wojennych i pilnowania miejsc ukrycia tajnych akt to inna kasta. Byli uformowani w osobne struktury, zaprzysiężeni na wzór koterii faszystowskich i, oczywiście, ściśle współpracowali z ludźmi po drugiej stronie żelaznej kurtyny, ze zbrodniarzami nazistowskimi, którzy uniknęli kary. Nawet nie jesteś sobie w stanie wyobrazić, jaki procent gospodarki światowej znajduje się w rękach tych spadkobierców myśli Hitlera i ich dzieci. A jak się konspirują! Nawet najlepsi pracownicy instytutu Szymona Wisenthala nie są w stanie ich dosięgnąć. Kazałem dokładnie zbadać przeszłość rodziny tego Witka. Może to nam coś wyjaśni. Na pewno korzystał z kilku nieznanym nikomu innemu wejść do korytarzy. Tę tajemnicę, niestety, zabrał do grobu. Może kiedyś wasze miasto zainwestuje w poszukiwania takich rewelacji. Warto by było. Przecież te korytarze pod miastem to coś niesamowitego. A teraz, kiedy przestały być pilnie strzeżone, można by z nich zrobić prawdziwą atrakcję turystyczną. Nazwać je... bo ja wiem... Labiryntem... na przykład...

— Von Brauna — odpowiedział Wroński. — To ładnie brzmi. Labirynt von Brauna.

— Faktycznie nieźle brzmi, mogłoby się przyjąć.

Michał zrobił sceptyczną minę. Jeśli nie ma pieniędzy na pilny remont elewacji zamkowej, tym bardziej się nie znajdą na taką kosztowną inwestycję, nawet jeśli po kilku latach miałyby się zwrócić z nawiązką. Tak to już jest w tej Oleśnicy.

— Nie do uwierzenia, ilu ludzi było zaangażowanych w tę sprawę — powiedział w zamyśleniu. — Przecież za każdym z was, agentów, stoi cały sztab ludzi.

— Bo to jest jak z atakiem dywizji pancernej — kapitan uczynił szeroki gest, jakby chciał za jego pomocą uzmysłowić obszar koniecznych działań. — Dziewięćdziesiąt procent energii i środków idzie

w przygotowania, a reszta w akcję.

— A ten twój Flap, to znaczy Wiesiek, był agentem GRU. Czyżby KGB nie brała w tym cyrku udziału?

— Brała, brała. Służyła szeroko pojętym wsparciem, udostępniła między innymi swojego człowieka w waszej komendzie. Zresztą doskonale zakonspirowanym, bo mimo fiaska ich operacji, nie zdołaliśmy go namierzyć. KGB i GRU rywalizują ze sobą, ale metody i cele mają właściwie identyczne. Tutaj chodziło nie o jakieś tam informacje, ale sprawę kluczową dla gospodarki i wojskowości. Sądzę, że tym razem ogłosili zawieszenie broni i w pełni współpracowali. Ale ten też doskonale się ukrył. Nabrałem pewnych podejrzeń, kiedy przyniosłeś tę sowiecką pluskwę. Ale nie mogłem jeszcze wtedy odgadnąć, kto za tym stoi. Najbardziej pasował mi twój komendant. Ale on okazał się czysty. Przynajmniej jeśli chodzi o działalność agenturalną, bo w innych sprawach... ale to nie moja rzecz. Najważniejsze, że wykonywał polecenia z centrali, sekował cię i starał się utrudnić ci życie. Reszta to sprawa służb dyscyplinarnych. Potem prześwietliłem twojego partnera, Jerzego. Ale ten, poza tym, że z niego tchórz i konformista, także był poza podejrzaniem. Wprawdzie miał powiązania z wywiadem francuskim, ale jego działalność nie mogła nam specjalnie zaszkodzić, tym bardziej, że nie wiedział zbyt wiele. Trochę się zacząłem miotać, szukać na oślep...

— Dlaczego nie mówisz wprost wszystkiego? Nie rób takiej miny. Mnie też podejrzewałeś.

— Zgadza się. Ale dużo wcześniej, na samym początku. Przyjechałem cię przypilnować, a raczej sprowokować do działania. Ale myślałem raczej, że pracujesz dla Amerykanów. Bo na moje oko byłeś za inteligentny jak na prowincjonalnego krawężnika, a z drugiej strony zbyt subtelny jak na ruskiego agenta. Stąd twoje zatrzymanie po wizycie u Ramiszewskiego, a potem to drugie, niby z inicjatywy wydziału wewnętrznego, po zabójstwie doktora. Próbowaliśmy cię nastraszyć, zmusić do popełnienia błędu. Ale już w chwili kiedy przyniosłeś podsłuch, zrozumiałem, że nie pracujesz agenturalnie. A tak właściwie to wtedy, gdy próbowałeś dowiedzieć się czegoś o szpiegowskim sprzęcie od tego starego esbeka, właściciela sklepu. Prawdziwemu wywiadowcy byłoby to niepotrzebne. Każdy z nas doskonale orientuje się w tych gadżetach.

— Podśłuchaliście jednak tamtą rozmowę? Wiedziałem, że jego kodowane łącze to jakiś kiepski bajer.

— Boże broń. Łącze było jak najbardziej profesjonalnie ekranowane, nie do ruszenia bez prawdziwej elektronicznej ciężkiej artylerii. Ale nie poczta, którą mu wysłałeś. Janusz pofatygował się więc do niego z Darkiem. Legitymacja naszej agencji potrafi zdziałać cuda, szczególnie u osób zorientowanych w zagadnieniach szpiegostwa. Wyśpiewał wszystko, odtworzył cały wasz dialog. Wyobraź sobie, na wszelki wypadek go nagrał. Ale dzięki jego nielojalności niechcący odsunąłeś od siebie podejrzenia. Gdybyś założył w tym momencie ręce pod tyłek i siedział cicho, pies z kulawą nogą by się już tobą nie zajmował. Ale nie! Musiałeś się zrobić piekielnie ruchliwy. A potem ten mail od człowieka z Centralnego Laboratorium Kryminalistyki...

— Dodaj, że zupełnie mi już niepotrzebny.

— A jednak przyszedł. Nie wiem, jak zdołałeś wysłać tę szmatkę do ekspertyzy, ale przechytrzyłeś nas. Nie tylko mnie, zauważ, ale także Rosjan i diabli wiedzą kogo jeszcze. Co się dziwisz? Oni też się tobą interesowali. Byłeś pierwszym policjantem, który odważył się łączyć zagadkowe zgony, na dodatek wbrew wyraźnej niechęci przełożonego. Taki gieroj musi budzić zainteresowanie wśród ludzi, którym bardzo zależy na zachowaniu incognito. To samo było w latach pięćdziesiątych, w sprawie, której szukałeś w archiwum.

— Wtedy też odbyła się taka hekatomba? Padło tyle trupów w podziemiach?

— Nie. Wtedy nikt nie dotarł do korytarzy. Czasy były mniej sprzyjające, a naziści lepiej pilnowali tajemnic.

— Nie pytam już nawet, kto zabił Ramiszewskiego, jego córkę i profesora. Twój Wiesio z kolegami...

— Profesora Walberga tak. Konkretnie Wiktor. Ale doktora... raczej nie oni. Zupełnie kto inny, jednak w tej chwili nie wiem, kto. Może Niemcy, może Amerykanie? Cholera wie, czy nie Azjaci, bo metoda działania była charakterystyczna dla nich. Te tortury. Pewnie się już nie dowiem, bo przecież wszyscy albo nie żyją, albo dawno uciekli.

Wroński zamyślił się. W ciągu paru dni został wciągnięty w międzynarodową aferę szpiegowską. Wydarzenia następowały tak szybko, że nie zdążył jeszcze zdać sobie sprawy z niesamowitości

nowego położenia.

— Powiedz mi tylko, dlaczego King Kong powiedział w podziemiach, że jest z brytyjskiego wywiadu? Kapitan parsknął.

— A ty byś na jego miejscu przyznał się, że pracujesz dla Ruskich? Ludzie z KGB czy GRU mają odpowiednią reputację, na którą sobie zapracowali przez kilkadziesiąt lat. Anglików wykończyli już wcześniej, dlatego akurat na nich się powoływał. Muszę przyznać mu jedno. Sprytnie wykombinował numer z Wiktorem. Ten blef, że w każdym korytarzu ktoś siedzi...

— Ale ty przecież już wiedziałeś. Zdawałeś sobie sprawę, że Wiesław kłamie i że to może być podpucha. Przecież za nami był tylko ten Niemiec, Marcus...

— Ale go załatwiłeś — przerwał kapitan. — Sam bym tego lepiej nie zrobił, a pamiętaj, że nas uczą brutalnych metod walki, jak unieszkodliwić przeciwnika najskuteczniej, jak wyeliminować.

— Nie wiem, czego was uczą, ale musiałem się przedtem przed nim bronić, a miał pistolet i nóż. Miałem się bawić w honorowy pojedynek zgodnie z przedwojennym kodeksem? Wyzwać go formalnie, wymienić wizytówki i polecieć po sekundantów?

— To by było zabawne — roześmiał się Baliński. — Ale on mógłby jednak tego nie zrozumieć.

— Teraz odpowiedz wreszcie. Dlaczego wyszedłeś z innymi? Mogłeś prysnąć.

Baliński spoważniał, przyjrzał się uważnie komisarzowi.

— Pewnie, że bym nie wylazł. Ale kiedy zobaczyłem ciebie, wiedziałem, że odsiecz już nie przyjdzie, a trzeba mieć rękę na pulsie. A poza tym domyśliłem się, że żyjesz. Byłem najbliżej i nie widziałem, żebyś oberwał...

— Ale chyba powinienesz... obowiązek...

— Ty ryzykowałeś życie dla mnie, a ja zaryzykowałem dla ciebie. Moja praca może być brudna jak stare wiejskie szambo, ale mimo wszystko trzeba przestrzegać pewnych zasad. Milczeli przez dłuższy czas, każdy pogrążony we własnych myślach.

— Komendant wezwał kontrolę z województwa — powiedział wreszcie Baliński. — Wściekł się strasznie i na mnie, i na ciebie. Załapał w końcu, że nie mam wiele wspólnego z policją. Ty zaczęłaś to



podejrzewać już na początku, prawda? Byłem zbyt nieporadny.

Komisarz skinął głową na potwierdzenie.

— I co teraz? — zapytał.

— Będą grzebać. Na to nic nie poradzę. Sprawdzą wszystko to, czego nie sprawdziliby normalnie. Pewnie się nawet zorientują, że to za moją przyczyną twój szef próbował tuszować kwestię czy znalezieni nieboszczycy należą do serii zdarzeń.

Znów zapadła cisza.

— Przypuszczam — tym razem przerwał ją Wroński — że cała ta sprawa jest bardzo tajna. W ogóle jej nie było, prawda? Żadnej strzelaniny w podziemiach, żadnych trupów, nic.

— To oczywiste. Mnie zasadniczo też w ogóle nie było. To znaczy każdy, kto zechce odnaleźć inspektora Marka Balińskiego, srodze się zawiedzie.

— Domyślam się. Ale gdybyś mógł odpowiedzieć na jedno pytanie.

— Wal śmiało.

— Jak się naprawdę nazywasz?

Kapitan zaczął się śmiać. Po chwili nagle spowaźniał.

— Dobre pytanie. Czasem sam nie pamiętam. Ale tobie powiem. Jacek Bzowski. Kapitan Jacek Bzowski.

Z trudem wspinał się na drugie piętro komendy. Pierwszy dzień po chorobie. Według oficjalnych danych przebywał w klinice, owszem, ale nie wojskowej, tylko Akademii Medycznej, na Chałubińskiego. Przeszedł skomplikowaną operację usunięcia guza okrężnicy. Tak mówiły dokumenty, więc nikt tego nie próbował podważyć. To ciekawe, jak ważne są papiery. Nie tak dawno przecież rozmyślał na ten temat, a smutne wnioski znalazły teraz potwierdzenie w odniesieniu do jego osoby. W zasadzie nieistotne, co wydarzyło się naprawdę. Liczy się pismo wypocone przez jednego z drugim gryzpiórka. Po kilku miesiącach pamięć ludzka blednie, a fikcja zamienia się w prawdę. To się chyba nazywa relatywizm.

Co dwa stopnie przystawał. Rana w udzie nie doskwierała specjalnie, ale cały czas ciągnęło w brzuchu. Nie ma się co dziwić. Dolny płąt płuca, jelita i wątrobę miał jak sito. Kula weszła pod kątem i tylko dlatego nie oberwał jakimś odłamkiem w okolice serca, że impet poszedł w drugą stronę.

Wreszcie dowlóknął się pod gabinet szefa. Sekretarka z chmurną miną wskazała drzwi. Stary siedział jak zwykle rozwalony w fotelu, z obojętną miną dłubał wykałaczką w zębach.

— O, nasz bohater — uniósł brwi. — Witaj, komisarzu.

Michał rozejrzał się za jakimś krzesłem. Ale wszystkie stały pod ścianami. Komendant specjalnie tak to urządził. Wroński, niewiele myśląc, skierował się ku najbliższemu.

— Nie pozwoliłem usiąść — rzucił ostro stary.

— Mam to w dupie — mruknął komisarz. — Chory jestem, nie widać?

— Widać czy nie, jeszcze cię nie wylałem z pracy, żebyś bezkarnie występował przeciwko regulaminowi.

— A ja myślę, że już mnie wylałeś.

Komendant na chwilę zaniemówił.

— Nie wiedzia... — wykrztusił — nie wiedziałem, że jes... teśmy na ty. Od kiedy?

— Od teraz. Przecież zostałem wezwany tylko po to, żebyś mi osobiście mógł wręczyć informację o dyscyplinarnym zwolnieniu.

— Ktoś ci powiedział?

— Po wizycie prawdziwego wydziału wewnętrznego nie mam złudzeń.

— Zgadza się — stary odzyskał rezon. Zaczął zaginać palce — Ukrycie dowodu to raz, skorumpowanie pracownika laboratorium w Warszawie to dwa. Tak, tak, pogrzebali w twoim komputerze i odtworzyli, co trzeba. Nie sformatowałeś dysku, więc specjalista bez trudu odtworzył wyrzucone dokumenty. Niesubordynacja i samowolne działanie, to trzy. Brak współpracy z przełożonymi, to cztery. Podejrzana obecność przy zabójstwie Walberga i znów zatajenie dowodów, to pięć. Gdyby nie jakieś naciski z samej góry, siedziałbyś teraz w areszcie. Wyliczać dalej?

— Nie trzeba. Daj ten papier i pozwól mi nie oglądać więcej twojego szlachetnego oblicza.

— W policji pracy już nie znajdziesz — sapnął z satysfakcją komendant.

— Nie zamierzam szukać.

— W tym mieś... mieście też nikt cię nie zatrudni.

— Jestem naprawdę zrozpaczony. Do widzenia.

Drzwi zamknął ostrożnie, cichutko, żeby przypadkiem nie stuknęły. Niech szef nie myśli, że go to wszystko cokolwiek obeszło. Komendant długo jeszcze patrzył na puste krzesło. Potem trzasnął w klawisz interkomu.

— Pani Renato, nie ma mnie dla nikogo! Nikogo, ale to zupełnie!

Następnie wydobyl z szafy butelkę i duży kryształowy kieliszek.

\*

— Synu! — ojciec otworzył ramiona. — Rany boskie, gdzie byłś tyle czasu? Komendant coś bredził o delegacji, a Magda w ogóle nie chciała z nami gadać. Między wami koniec, czy co?

Wroński przymknął oczy. Ją też na pewno zobowiązano do milczenia.

— Nie wiem, tato. Ale myślę, że tak. Wyprowadziła się ostatecznie.

— Jak ty wyglądasz? — matka stanęła w progu, załamała rękę. — Chodź, siadaj. Zjesz coś? Na pewno zjesz.

Zanim zdążył odpowiedzieć, popędziła do kuchni. Po chwili przez Michałem stał talerz z parującym bigosem, szklanka herbaty, a ojciec nalewał piwa w szklanki.

— Mamo — uśmiechnął się. — Przeszedłem poważną operację.

— Co się stało?

— Oficjalnie miałem raka. Ale naprawę byłem ranny. W tajnej akcji. Tylko tyle mogę powiedzieć, a wy musicie tę informację zostawić dla siebie. To dlatego nie dawałem znaku życia. A mój szef wielkie gówno o tym wiedział. Jak by nie było i na co bym nie miał ochoty, mogę najwyżej wypić herbatę. Gorzką. A z jedzenia jeszcze przez miesiąc chleb, serek i rosół z manną.

— Zaraz zrobię!

Matka znów zniknęła w kuchni. Ojciec patrzył z troską.

— Co ci się właściwie stało?

Michał westchnął. Jakże by chciał powiedzieć mu wszystko, a nie może podać nawet paru szczegółów.

— Może kiedyś, tato, będę mógł coś powiedzieć. A może nigdy.

— Rozumiem. Ale nie wpakowałeś się w kłopoty, w jakąś sytuację bez wyjścia?

Uśmiechnął się, położył rękę na ramieniu ojca.

— Nie ma sytuacji bez wyjścia. Tego przynajmniej nauczyłem się ostatnio.

— Zmieniłeś się synu,

Tak, pomyślał Michał, zmieniłem się. Każdy by się zmienił po podobnych przeżyciach. Ciekawe jak taki Baliński... to jest Bzowski radzi sobie po akcjach. Przecież traci partnerów, kolegów, przyjaciół..

\*

Wrócił do pustego domu dobrze pod wieczór. Po długim spacerze przestrelona noga zaczęła pobolewać, raniony bok też dawał się odczuć. Tyle tylko, że domowy rosół jakby nieco ukoił połatanę wewnętrznosci. W głowie krążyły niewesołe myśli. Dołączy dzisiaj do grona pozbawionych pracy. Ale zwyczajny bezrobotny ma zazwyczaj jakieś perspektywy. A jemu w tym mieście nie grozi widmo zatrudnienia. Trzeba się będzie chyba stąd wynieść.

I zaraz przyszło przypomnienie następnego problemu. Co z Magdą? A właściwie co z małym? Przecież to nie może się jednak tak po prostu

skończyć. Wyrzucił ją za drzwi w szpitalu, ale to przecież nie jest sposób, nie są na świecie tylko we dwoje. Trzeba jednak sobie wszystko wyjaśnić. Będzie trudno, bo żona cały czas siedzi u kochanka, ale trzeba. Wiedział, że w pracy wzięła bezpłatny urlop. Pewnie już nie zechce do niej wrócić. Skwapliwie skorzystała z jego ostatnich słów. Odeszła, a związek zakończy się rozwodem. Został sam. Ale już przywykł. W szpitalu leżał w osobnej sali, na ogólną przeniesiono go pod koniec pobytu. Mała to jednak była pociecha. Leżał z jakimiś dwoma braćmi, strasznymi milczkami. Przez dwa tygodnie zamienili dosłownie kilka zdań. Potem doszedł bardziej rozmowny pacjent, ale ten z kolei chciał wiedzieć za dużo. Wroński nabrał nawet podejrzeń, że go z nim umieścili, by sprawdzić, czy potrafi trzymać język za zębami. Baliński-Bzowski, jeżeli to drugie też nie było kamuflażem, pojawił się jeszcze tylko raz, a przez ostatni miesiąc w ogóle nie odwiedził rannego. Widocznie dostał nowe zadanie albo po prostu zapomniał. Michał wrócił potem do pustego domu. Smutek zdominował wszystkie uczucia. Jakże mocno brakowało dziecięcego głosu, irytującej często aktywności synka. Magda musi pozwolić się z nim widzieć! Musi się zgodzić, żeby go zabierał do siebie!

Następna myśl. Ciekawe, co u Doroty... Musi się do niej odezwać, zapytać o zdrowie. Na pewno dawno wyszła ze szpitala.

Poszedł do kuchni. Trzeba przyjąć przepisana porcję leków. Podobno w ciągu trzech miesięcy powinien wrócić do jakiejś takiej formy, jeśli będzie przestrzegał zaleceń lekarza. Wlał w szklankę niegazowanej wody, powlókł się do pokoju. Ciekawe, co w telewizji.

Sięgnął do włącznika światła i zamarł, zanim zdążył wdusić klawisz. Na kanapie ktoś siedział! W mdłym świetle ulicznej lampy bez trudu można było dostrzec nieruchomą postać. Gdyby był w lepszej formie, po prostu skoczyłby za drzwi, pognął po jakiś nóż do kuchni. Ale tak jak teraz, mógł jedynie czekać. A myślał naiwnie, że to już koniec! Skąd jest ten człowiek? Którą stronę reprezentuje? Co za różnica... W sumie są przecież tylko dwie — on, komisarz Wroński i wszyscy inni.

— Czego chcesz? — spytał. Zastanawiał się przez chwilę, czy cisnąć szklanką w intruza.

— Niczego — odpowiedział znajomy głos.

Wroński pstryknął wreszcie włącznikiem.

— To ty?! Baliński... znaczy Bzowski?

— To ja — gość roześmiał się głośno. — Zdziwiony? Pewnie myślałeś, że mam cię głęboko w poważaniu, co? Nic z tego, kochany. Ode mnie się tak łatwo nie uwolnisz.

— Tak właśnie myślałem. Murzyn zrobił swoje, murzyn może odejść. Nie odwiedzałeś mnie bardzo długo, panie kapitanie.

— Majorze — uśmiechnął się Bzowski. — Awansowałem dzięki tej sprawie.

— Gratuluję. A podobno powinieneś mieć kłopoty... Myślałem, że może to przez nie o mnie zapomniałeś.

— Miałem kilka spraw do załatwienia. Na przykład przekonać wydział kontroli wewnętrznej z komendy wojewódzkiej, żeby nie wszczyła idiotycznego dochodzenia przeciwko tobie.

— No to wiele nie wskórałeś. I tak dobrali mi się do tyłka. Straciłem nawet przez to pracę.

— Wiem — odparł kapitan dziwnie zadowolony. — Pan komendant jest przeświadczony, że będziesz miał jeszcze większe, wprost niebotyczne kłopoty, może nawet proces.

— A nie będę?

— Nie.

— Fajnie — Wroński roześmiał się ponuro. — Ale to nie zmienia faktu, że jestem bez pracy. Teraz i na wieki wieków. Przynajmniej w tym mieście.

Bzowski długo mu się przypatrywał.

— Niekoniecznie — powiedział w końcu. — Jesteś inteligentny, uparty, odważny. Nawet brawurowo odważny. Kiedy trzeba, potrafisz być bezczelny. Gorzej, że bez potrzeby też, ale nikt nie jest doskonały. Posłuchaj uważnie. Przez czas, kiedy rozpracowywałem sprawę, byłeś kimś, kogo nazywamy figurantem. Masz pojęcie, o czym mówię.

— Mam. Niewiele się zmieniło od czasów komunistycznej bezpieki. Trochę nas uczyli w Szczytnie o pracy tajnych służb. Figurant to ktoś, kogo otaczacie specjalną opieką podczas pracy operacyjnej.

— Zgadza się. Bardzo często trzeba się przy tym posługiwać metodami werbowania osób z otoczenia takiego człowieka, ścisłą obserwacją i prowokacjami. Właśnie takie prowokacje urządzali świętej pamięci Flip i Flap, a Darek działał w ukryciu.

— Domyśliłem się. Zrozumiałem to od chwili, kiedy powiedziałaś, że

to twoi ludzie. Powiedz mi jeszcze jedno. Wysłałem żonę i dziecko...

— Prosto w ramiona kochanka.

— Nic na to nie poradzę.

— Co z wami będzie?

Michał wzruszył ramionami.

— Nic. Pewnie skończone. Mam tylko nadzieję, że będę się mógł widywać z synem. To strasznie boli, wiesz? Tęsknię okropnie. Co dziwniejsze nie tylko za dzieckiem, ale i za nią. Niby uczucie wygasło, a jednak gdzieś w środku pozostały świeże rany. Wiesz jak to boli? Gorzej niż moje poszarpane bebechy. Jakby wyrywać serce bez znieczulenia.

— Nie wiem... a może po prostu zapomniałem? Nie mam dzieci. Żona mnie opuściła rok po ślubie. Praca wywiadowcza to zajęcie akurat dobre dla kawalera. Ale miałeś o coś zapytać.

— Później, leżąc w szpitalu, po tej całej łomotaninie, kiedy zobaczyłem, na co stać agentów, uświadomiłem sobie, iż naiwnością było sądzić, że wyjazd ją przed czymś uchroni. Czy gdybyście potrzebowali ode mnie informacji albo współpracy, posunęlibyście się do szantażu? Mogliście ich wyjąć niczym ryby z saka.

Bzowski roześmiał się

— Rzeczywiście. Ale już dużo wcześniej zorientowałem się, że więcej z ciebie pożytku, jeśli się zagrywa po dobroci. No i że jesteś czysty, nie pracujesz dla żadnego obcego wywiadu. Nie, mój drogi. Nie zamierzałem cię szantażować rodziną. Powiem więcej, kazałem zapewnić im ochronę, żeby kto inny się nie połakomił. Myślisz, że pozostali gracze nie wysłali za nimi swoich ludzi? W tym wypadku rzeczywiście wykazałeś się kosmiczną naiwnością.

— Ochronę? Jaką ochronę? Kto?

— Najpierw pojechał za twoją połowicą Darek, a potem zluzowali go przysłani z Warszawy najlepsi ludzie i pilnowali Magdy z dzieckiem jak oka w głowie. Jak myślisz, dlaczego tak szybko została sprowadzona do szpitala?

— Nie pomyślałem o tym — mruknął Michał.

— Żałuję teraz, że Darek nie został tam dłużej. Może ocaliłby w ten sposób życie... Ale spieszył się z powrotem, bo sprawy nagliły — Zapatrzył się w obraz na przeciwległej ścianie. Nagle potrząsnął głową, odrzucając niepotrzebne w tej chwili refleksje. — Dobrze. Przejdźmy do

rzeczy. Jak już powiedziałem, jesteś inteligentny, uparty i odważny. A teraz na dodatek wolny. Gdybyś był zainteresowany, mam propozycję.

— Słucham? Jaką propozycję, panie majorze?

— Nie wygłupiaj się. Dokładnie wiesz, o co mi chodzi. Po ostatnich wydarzeniach mamy kilka wakatów w moim wydziale. Ale zastanów się dobrze. Załatw ostatecznie swoje sprawy z żoną, znajomymi, nie wiem... panną Dorotą Walberg. Bardzo o ciebie wypytywała, muszę powiedzieć między nami. Skontaktuj się z nią, bo warto. A jak się już namyślisz, znajdziesz mnie pod tym telefonem — rzucił na blat ławy karteczkę. To jak? — spytał po chwili. — Zastanowisz się?

— Zastanowię. Ale niczego w tej chwili nie obiecuję. Muszę nabrać dystansu.

— Nabieraj. Masz sporo czasu, zanim wyzdrowiejesz do końca. Ale pamiętaj o jednym. Cokolwiek postanowisz, zawsze możesz liczyć na moją pomoc. Nie dam ci zginąć... — zawiesił na chwilę głos, a potem dopowiedział — przyjacielu.

— Dziękuję za propozycję i w ogóle za wszystko... przyjacielu.



# Spis treści

[Strona tytułowa](#)

[Prolog](#)

[1](#)

[3](#)

[4](#)

[5](#)

[6](#)

[7](#)

[8](#)

[9](#)

[10](#)

[11](#)

[12](#)

[13](#)

[14](#)

[15](#)

[16](#)